

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/224

1966



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. ŁOBODOWSKI : **SĄD NAD UMARŁYM**

W. A. ZBYSZEWSKI : **STANISŁAW
MACKIEWICZ**

J. MIKORSKI : **WATYKAN A ŚWIAT
KOMUNISTYCZNY**

SPIS RZECZY

Józef Łobodowski:	<i>Sąd nad umartym</i>	3
Wasył Symonenko:	<i>Urywki myśli</i>	9
Wasył Symonenko:	<i>Z „Brzegu wyczekiwań”</i>	12
Czesław Miłosz:	<i>Notatnik</i>	19
W. A. Zbyszewski:	<i>Stanisław Mackiewicz</i>	27
Czesław Dobek:	<i>Bolesław Chrobry z Whitechester</i>	57
Jadwiga Maurer:	<i>Zygmunt</i>	71

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Polityka wyrzeczeń</i>	83
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	87

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bogusław Miedziński:	<i>Wojna i pokój (II)</i>	93
----------------------	---------------------------------	----

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Jan Mikorski:	<i>Watykan a świat komunistyczny</i>	105
---------------	--	-----

SPRAWY I TROSKI

C. D.:	<i>Piętnaście lat młodości</i>	115
Jan Wójcik:	<i>O nosso Professor</i>	117
Bogdan Czaykowski:	<i>Jeszcze o „Indukcji w izolacji”</i>	126

WSPOMNIENIA

Włodzimierz Sznarbachowski:	<i>Jan Olechowski — poeta uczuć prostych</i>	124
Janusz Laskowski:	<i>Jerzy Ponikiewski</i>	136

KRONIKA KULTURALNA

Zygmunt Turkiewicz:	<i>Plastyka</i>	139
—	<i>Komunikaty</i>	144

KSIĄŻKI

Adam Czerniawski:	<i>„Białe kwiaty” Norwida</i>	145
Tadeusz Świąciecki:	<i>Notatki z dyletanckiej lektury</i>	148
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	153
W. Gombrowicz, Zb. Grabowski, K. Górski, J. Laskowski, J. Płoski, A. Raciński, W. Ryser-Szymański, St. Zarzewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	154

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec-Juin

1966

INSTYTUT



LITERACKI

Nina Olechowska z synem (Arlington, Va., USA) w dziesiątą rocznicę śmierci swego męża, śp. *Jana Olechowskiego*, żołnierza i poety 2 Korpusu, nadesłała nam kwotę

F. 1715,15 (dol. 350,—)

pisząc, że uważa iż najlepszym uczczeniem pamięci zmarłego Męża będzie nie postawienie mu nagrobka, lecz dar na Fundusz „Kultury” i że wobec tego uzupełnia do 350 dol. sumę 175 dol., zebraną w swoim czasie przez przyjaciół Męża i całość nam przekazuje.

Ten dar przyjmujemy z wielkim wzruszeniem.

REDAKCJA

WPLATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Frank Strociak, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 24,50
Lech Krysiwicz, Montreal, Que., (Kanada), po raz trzeci	F. 18,00
Anonimowo, Bloomington, Ind. (USA)	F. 57,80
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz ósmy	F. 37,50
Janusz Laskowski, Paryż, po raz siódmy	F. 20,00
Anonimowo, Wallington, N.J. (USA)	F. 9,50
Irena Skrobik, Westmount, Que., (Kanada), po raz siódmy	F. 54,00

DZIĘKUJEMY!

Sąd nad umarłym

W kilka tygodni po głośnym procesie moskiewskim Siniawskiego i Daniela, odbył się w Kijowie inny proces, bliźniaczo do tamtego podobny pod wieloma względami, choć były, naturalnie, także poważne różnice. W Moskwie sądzono i skazano pisarzy rosyjskich, oskarżonych o pisanie „antysowieckich, oszczerczych książek”, przemycanie ich i wydawanie pod pseudonimami zagranicą. W Kijowie sądzono i skazano dwóch ukraińskich krytyków literackich, oskarżonych o szerzenie poglądów, sprzecznych z oficjalną linią partii, a zatem „wrogich ludowi”.

Przebieg pierwszego procesu jest dobrze znany, omawiała go również prasa sowiecka, rozgłoszono go na cały świat; o przebiegu procesu kijowskiego można się tylko domyślać, w prasie sowieckiej było o niej głucho, oddźwięk zagranicą był nieporównanie mniejszy. Ale najważniejsza różnica polega na tym, że w wypadku Switłycznego i Dziuby zasadniczą rolę odegrała ich ukraińskość, piętnowana zawsze i wszędzie jako „nacjonalistyczne odchylenie”.

Wymienieni krytycy nie tylko bronili pisarzy, zwłaszcza młodych, przed unicestwiającymi prawdziwą twórczość zakusami partyjnej biurokracji, nie tylko upominali się o prawo do żywych kontaktów z kulturą zachodnią, nie tylko zdobywali się na ostrą krytykę uświęconych przez partię i reżym, więc nietykalnych arcykapłanów soc-realizmu, ale ponadto do tych trzech niewątpliwych „zbrodni” dorzucili czwartą, najgorszą; występowali w imieniu odrębnej literatury narodowej.

Ostatnio dotarł na Zachód tekst przemówienia, wygłoszonego przez jednego ze skazanych, Iwana Dziubę, na publicznym zebraniu literackim, w obecności wysokich dygnitarzy, zasiadających w prezydium. Oto krótki ale wystarczająco wymowny urywek, dobrze wprowadzający w istotę zagadnienia:

„Kiedys Dostojewskij zapytywał: Czy zgodzilibyście się zbudować hałmionię świata na jednej jedynej łzie jednego tylko bezbronnego dziecka? Więc i my zapytujemy: czy może istnieć harmonia świata, czy może istnieć ogólno-światowa społeczność, czy może istnieć ogólno-ludzka sprawiedliwość, jeżeli dla ich osiągnięcia potrzebna jest najmniejsza niesprawiedliwość w stosunku do jednego tylko narodu, w danym wypadku do ukraińskiego?”

W tym pytaniu zawarta była odpowiedź i zarazem oskarżenie: narodowi ukraińskiemu dzieje się w Związku Sowieckim niesprawiedliwość. Powyższe słowa, w warunkach sowieckich nie tylko odważne, lecz wręcz prowokujące, wygłoszone zostały na zebraniu, poświęconym pamięci przedwcześnie zmarłego poety, Wasyla Symonenki. I gdy po kilkunastu miesiącach, Iwan Dziuba zasiadł, wraz z Iwanem Switłyčnym, na ławie oskarżonych, na sali był obecny cień nieżyjącego poety. On także siedział na tej ławie, jego także sądzono, jego również skazano, tyle że pośmiertnie.

Symonenko żył zaledwie 28 lat. Podobnie jak inni wybitniejsi pisarze młodego pokolenia — Lina Kostenko, Iwan Dracz, Mykoła Winhranowskyj, Witalij Korotycz, i inni — od pierwszych debiutanckich kroków wyłamał się z soc-realistycznego szablonu. Nie miał czasu na osiągnięcie pełnej dojrzałości, ale z tego, co po nim zostało, można wybrać wiązanekę dobrych wierszy — wśród nich kilka doskonałych. Nie piszę tu recenzji literackiej. Chodzi o postawę, o anty-konformizm, o bezkompromisowe poszukiwanie nowych dróg, o wyraźny bunt przeciw sowieckiej rzeczywistości. Bunt zarazem artystyczny, społeczno-polityczny i narodowy.

Urodzony w roku 1935, gdy ukraińska wieś już była skolektywizowana, a rozpacziwy opór chłopów barbarzyńsko spacyfikowany, lat przedwojennych nie mógł pamiętać, zaledwie lata wojny. Więc mamy do czynienia — i to napawa największą otuchą — z buntem pokolenia, wychowanego w twardych trybach komunistycznej ideologii, poddanego ścisłej kontroli, a w razie nieposłuszeństwa bezwzględny represjom.

Mimo to, a może właśnie dlatego — nie podobna zdobywać się na oceny kategoryczne — po tylu latach, gdy dozorcóm więziennym zaczyna wydawać się, że mogą spać spokojnie, budzi się i kiełkuje bunt. Różnie się to może zaczynać, gdyż duch tchnie tam gdzie chce. Jakieś opowiadania starszych, jakaś przypadkowa, nieprzewidziana w oficjalnym programie lektura, jakaś ustnie przekazana tradycja rodzinna — któż wie, co jeszcze? — może stać się pierwszą iskrą, skrzesałą na uśpione prochy.

Ale najbardziej decyduje zdrowie moralne — bez tego żadne iskry nie pomogą — przeniesione przez wszystkie trzęsawiska sowieckiego wychowania. Tylko obecność takiego zdrowia wa-

runkuje zrodzenie się spontanicznego protestu przeciw systemowi, gwałcącemu samą naturę człowieka. Młoda, niewykrystalizowana do końca, poszukująca ostatecznego kształtu liryka Symonenki jest takim właśnie protestem i to protestem wielostronnym: człowieka, który nie mieści się w ciasnym gorsecie koszarowego kolektywu; artysty, który nie dopuszcza zewnętrznej, natrętnej ingerencji do swoich przeżyć i wzruszeń; Ukrainca, który widzi na każdym kroku krzywdę i poniżenie swojej ojczyzny.

A więc poetycki bunt w imię wolności człowieka i wolności w niemniejszym stopniu uciemżonego narodu. Bunt niekiedy zakamuflowany w tak powierzchowny, czy może świadomie niezręczny sposób, że aż dziwić się należy naiwności, albo bałaganiarskim niedopatrzniom cenzury. Trzeba jej przyznać, że starała się wiersze Symonenki, które dostały łaski druku, odpowiednio dopasować do obowiązujących strychulców. W swoim dzienniku poeta skarży się, że redaktorzy „znęcają się nad wierszami”. Jakże to wyglądało?

Poemat, zaczynający się od słów „Znów się zapatrzyłem w twoje oczy...” — czytelnik znajdzie go w przekładzie z oryginalnego tekstu w dołączonym poniżej wyborze — został przez cenzurę zredukowany z ośmiu zwrotek do czterech. I jedna „nie-winna” zmiana. W zakończeniu ostatniej zwrotki autor napisał: „Jeszcze jedną kroplą krwi upadnę na twój sztandar. Sztandar twój najświętszy!” Mowa o Ukrainie. Cenzor zmienił jedno tylko słowo: zamiast „najświętszy” — „czerwon y”. A czerwony sztandar — wiadomo.

Zupełnie nonsensownego zabiegu dokonano w stosunku do wiersza, zamykającego mój wybór, mianowicie zaopatrzone go w tytuł „Proroctwo 17 roku”. Że niby ta gniewna inwektywa dotyczy carskiej Rosji. Trochę to dziwne, takie namiętne wypadki liryczne przeciw czemuś, co było rzeczywistością na dwadzieścia lat przed przyjściem na świat autora, a poza tym skąd ten czas terażniejszy, a zapowiedź zemsty i kary w czasie przyszłym? Z równą racją i logiką można by inwektywę skierować przeciw czasom Iwana Groźnego.

W innych wypadkach zrezygnowano w ogóle z jakichkolwiek zabiegów kosmetycznych — po prostu uznano wiersze za nie nadające się do druku i odrzucono. W załączonym wyborze, składającym się z dziesięciu krótkich utworów, połowa z nich należy do odrzuconych i mniej lub bardziej przefastrygowanych przez cenzurę.

Za życia Symonenki wyszedł tylko jeden zbiór poetycki „Ci-

sza i grom”, drugi, „Ciężenie ziemi” — ukazał się już po śmierci. Ale jednocześnie w licznych odpisach krążyły wiersze zakazane i przerobione przez cenzurę, w oryginalnych, nielegalnych tekstach. Razem z intymnym dziennikiem poety — „Urywki myśli” — przedostały się zagranicę, częściowo zostały wydrukowane w ukraińskim miesięczniku emigracyjnym „Suczasnist” („Współczesność”), a potem ukazały się w osobnym zbiorze, pod tytułem „Brzeg wyczekiwań”.

Nie trzeba było długo czekać na gniewną reakcję prasy sowieckiej w języku ukraińskim. Z artykułów, ogłoszonych w czołowych czasopismach literackich, wynika, że należy bronić pamięci Symonenki przed nadużyciem jego imienia ze strony emigracyjnych „burżuazyjnych nacjonalistów”. Wykrecono kota ogonem, pisząc, że zmarły poeta był przez swoje krótkie życie „dobrym komunistą”, zaś pewne „wątpliwe” akcenty zjawyły się w jego twórczości „przypadkowo”. Resztę zwalono na tendencyjną interpretację przez wrogów Związku Sowieckiego.

Wystarczy przecież nawet pobieżny rzut oka na wiersze i na dziennik zmarłego, aby przekonać się, że nie ma tu nic „przypadkowego” i nie ma mowy o interpretacji niezgodnej z intencją autora. Gdy młody poeta, zwracając się do Ukrainy, woła — „Ponad światem najstraszniejsza bitwa o twe prawa i o życie samo...”; gdy w innym wierszu stwierdza — „Mój naród żyje! Nie podda się, nie ugnie się przed niczym!” — a zaraz potem rzuca patetyczne słowa: „Już naród jedna rozjątrzona rana...” — ktoś może mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że chodzi o codzienność, namacalną rzeczywistość, a nie o żadne retrospektywne wycieczki w przeszłość.

„Gdyby dać mowę wszystkim oszukany, zamordowanych gdyby z grobu zbudzić...” — o kimże mowa? Niezdarne, humorystyczne wysiłki, by te wiersze odnieść do epoki przedrewolucyjnej, ośmieszają się same przez się, skoro zaraz na następnej stronie Symonenko, zwracając się do matki-Ukrainy, pisze: „Nie odeszły jeszcze wszystkie diabły, tyle ich wałęsa się po ziemi...”

Carские, burżuazyjne diabły odeszły wraz ze zwycięstwem rewolucji; diabły kułackie — wraz z kolektywizacją; hitlerowskie — również, o jakie więc diabły mogło Symonence chodzić? Czyły słuchacz dośpiewuje sobie w duszy bez trudu. Cenzor także sobie dośpiewał, skoro wiersze te wykreślił z poematu czerwonym ołówkiem, nie pytając o zgodę autora.

Soc-realizm ustanowił na Ukrainie ściśle przestrzeganą regułę, że każdy pisarz, deklarując swój ukraiński patriotyzm, powinien nakrywać go ogólnosowieckim daszkiem: obowiązuje zawsze wiernopoddańczy ukłon pod adresem Moskwy, kremłowskich gwiazd, dawnej także Stalina, dziś, bardziej ogólnie, pod adre-

sem partii, a jeżeli przy tym wspomni się ciepło o Gruzinach i Uzbekach, Estończykach i Mordwinach, tym lepiej; lojalność wszech-sowiecka zostaje uwypuklona jeszcze bardziej. Wspólnym mianownikiem musi być jednak miłość do „starszego brata”, do „wyzwalającej i prowadzącej” Rosji.

U Symonenki tego nie szukajmy. Przeciwnie, w tym samym, cytowanym już poemacie znajdziemy dumny, wyzywający wiersz: „Co mi tam głos Rosji i Ameryk..!”, również wykastrowany przez cenzurę. Znowu trzeba orientować się dobrze w warunkach sowieckiego życia, by właściwie ocenić całą prowokacyjną wymowę tego wzgardliwego zwrotu. Poeta nie tylko nie chce słuchać głosu Rosji, ale stawia ją na równej płaszczyźnie z Ameryką. Proszę zwrócić uwagę: z imperialistyczną Ameryką!!!

Tu konieczny jest krótki komentarz. Nonsensowna w wielu wypadkach nowa pisownia zaciemnia niejednokrotnie sens, tu — całkowicie. Powinno być nie Rosji, lecz R o s y j — liczba mnoga, analogicznie do A m e r y k. Rosjanin powie „Ech, te wasze J e w r o p y!” — i to ma wyraźny odcień lekceważenia i pogardy. Symonenko z całą premedytacją użył tego zwrotu — „Rosje i Ameryki”, właśnie w liczbie mnogiej, jakby tych Rosji było wiele, obojętnie jakich, ale zawsze odrzucanych przez świadomego swej odrębności Ukraińca. To niby tylko niuans, zwrot retoryczny, ale w tym retorycznym niuansie zawiera się wszystko.

Gdyby krytyka sowiecka nie uparła się odgrywać nad grobem poety ponure, małpiarskiej farsy, musiałaby przyznać, że „burżuazyjni nacjonałiści” na emigracji, wydając te utwory, i legalne i zakazane, czy okaleczone, przywracając im autentyczność, nie popełnili żadnego nadużycia, po prostu potraktowali poetę jako s w o j e g o. Ale to byłoby jednoznaczne z rzuceniem na zmarłego komunistycznej anatemy, a tego ze względów propagandowych nie uznano za wskazane. Więc trzeba stroić dobrą minę do złej gry i upierać się, że autor „Brzegu oczekiwań” był „dobrym komunistą”, chwilami tylko zdezorientowanym, co ostatecznie wolno złożyć na karb niedowarzonej młodości, a może nawet postępującej w ostatnim okresie choroby. Trzeba ratować twarz, choć i tak każdy widzi, że krzywa.

Symonenko — nie orientuje się, w jakim stopniu świadomie — nawiązał swoją postawą do pisarzy ukraińskiego odrodzenia lat dwudziestych, słusznie potem określonego — czy nie Jurij Ławrynenko ma prawo do ojcostwa? — jako „rozstrzelane odrodzenie”, do kijowskich neo-kłasyków, do wczesnego Tycyny, zanim ten załamał się i przyjął dworską liberię, a chyba przede wszystkim do Mykoły Chwyłowego. I to po trzydziestu latach przerwy, wypełnianej swędem prop-agickiej paplaniny! Dowód, że drzewo zostało ścięte toporem bezpośredniego terroru, ale nie

wykarczowane. Teraz wypuściło młode pędy, a więc żyje, a więc komunistyczne próchno nie zdołało dostać się do korzeni.

Pisząc o procesie Switłycznego i Dziuby, prasa zachodnia połączyła go ściśle z przemyceniem przez kordon i opublikowaniem na emigracji utworów Symonenki: wierszy i dziennika. Miesięcznik „Współczesność”, który pierwszy drukował te utwory, w styczniu ubiegłego roku, stawia tę wersję pod znakiem zapytania, uważając, że proces kijowski jest normalnym objawem zaostrzonego kursu w stosunku do literatury i sztuki w ogóle, a ukraińskiej, zawsze podejrzewanej o nacjonalizm, w szczególności.

Jak podkreśliłem na wstępie, przebieg procesu na emigracji nie jest znany, wszelkie supozycje więc mogą być uznane za dowolne, tak samo słuszne jak niesłuszne. Wydaje się jednak, że nawet jeśli sprawa opublikowania utworów Symonenki nie była punktem wyjścia, to za szczelnie zamkniętymi drzwiami trybunału musiano o niej wspominać i brać pod uwagę. Są na to oczywiste i bardzo poważne poszlaki.

Gdy Dziuba wygłaszał swoje niezwykle odważne przemówienie na zebraniu ku czci Symonenki (16 stycznia 1965), o wydrukowaniu jego utworów za kordonem nic jeszcze w Kijowie nie wiadano. Ale niewątpliwie to wystąpienie przypomniano sobie we właściwym czasie i zapisano ryzykanckiemu mówcy jako dług do spłacenia.

Iwan Switłycznyj obciążony był znacznie mocniej i zapewne dlatego sąd potraktował go surowiej. 5 kwietnia 1965 roku „Sowiecka Ukraina” ogłosiła list matki zmarłego poety, Hanny Szczerbań, zwracający się do Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Ukrainy, z prośbą, żeby pamięć jej syna wzięto w obronę przed tymi, którzy, nadużywając jej dobrej wiary, „przywłaszczyli sobie jego rękopisy” i „puścili w ruch”. Prosta, niepiśmienna kołchoźnica wiedziała nawet o tym, że teksty tych „wyłudzonych” rękopisów są nadawane przez zagraniczne radiostacje. Rzecz prosta, list został zredagowany przez samych adresatów w łonie Centralnego Komitetu, a nieszczęsnej Hannie tylko kazano go podcyfrować, kto wie, czy nie trzema krzyżykami.

Jako nieuczciwych „przywłaszczycieli” list wymienił z imienia i nazwiska dwie osoby, a jedną z nich jest właśnie Switłycznyj. Tak publiczny pręgierz z oskarżenia, sfingowanego jako prywatne, niezmiernie utrudnia obronę. Gdyby Switłycznego zaatakował któryś z partyjnych dziennikarzy czy dygnitarzy nawet, można by próbować jakoś przeciwdziałać, ale jak tu dyskutować na

taki temat ze starą kobietą, co do której wiadomo, że jest tylko podstawioną figurantką!

Zwłaszcza ten incydent z listem świadczy, że proces obydwu krytyków łączy się najbardziej intymną pępowiną ze sprawą Symonenki. Nie znaczy to, że bez niej tego procesu by nie było, ale publikacja emigracyjna „Brzegu wyczekiwań” nie mogła nie rozjątrzyć partyjnej góry, nie mogła nie przyczynić się do zaostrzenia kursu i represji. Dziuba i Switłycznyj to duchowi bracia Symonenki; gdy ich sądzono, również pośmiertnie sądzono i jego, wyrok w pełni dotyczy także i tej przedwcześnie przerwanej twórczości.

Nie ma więc żadnej przesady w twierdzeniu, wyrażonym w tytule tego szkicu: wczesną wiosną 1966 roku, w starym Kijowie odbył się sąd nad żywymi, ale tylko formalnie; faktycznie był to także sąd nad umarłym.

Józef ŁOBODOWSKI

Wasyl SYMONENKO

Urywki myśli

18. IX. 1962

Zaczynam ten dziennik nie dlatego, abym pragnął zabawić się w wielkiego człowieka. Potrzebny mi jest przyjaciel, z którym mógłbym zawsze dzielić się wszystkimi wątpliwościami. A nie znam bardziej wiernego i serdecznego druha, niż papier.

To już od dwudziestu ośmiu lat ziemia unosi mnie dokoła słońca. Mało pięknych i dobrych rzeczy zdołałem dokonać w tym czasie. Za to nauczyłem się ostrożnego milczenia tam, gdzie należałoby krzyczeć. A co najstraszniejsze, nauczyłem się nieszczęśliwości...

19. IX. 1962

Dzieciom zdarza się niekiedy wypowiadać nieświadomie znakomite uwagi. Przypominam sobie, że przed rokiem spacerowałem z Ołesiem koło Kazbetskiego targu. Ujrzawszy pomnik tyrana, zapytał mnie:

— Tata, a to kto?

— Stalin.

Przyglądał się przez chwilę i jak gdyby mimochodem zapytał: — A po co on tam wstąpił?

Istotnie, Stalin nie wszedł na piedestał, nie ludzie go postawili, lecz wstąpił sam — dzięki wiarołomności, podłości, krwawo i zuchwale jak każdy kat. Teraz ten tygrys, który żywił się ludzkim mięsem, zdechłby ze wściekłości, gdyby dowiedział się, że jego niezdarne, tandetne pomniki budzą zainteresowanie tylko u zbieraczy metalowego złomu...

8. X. 1962

Jeżeli marksizm nie obroni się przed rozszalałą ofensywą dogmatyzmu, skazany jest na to, żeby stać się religią. Żadna nauka nie ma prawa na monopolizację duchowego życia ludzkości. Nie podzielam idei politycznych Einsteina, chociaż dokonał odkryć, które wstrząsnęły nauką.

16. X. 1962

Nie ma nic bardziej strasznego od nieograniczonej władzy w rękach ograniczonego człowieka.

Przewodniczący kołchozu we wsi Jeremienkowo krzyczał na zgromadzeniu w bezsilnej wściekłości:

— Ja wam tu urządzę nowy 33 rok!

Oczywiście, nikt nawet nie pomyślał, żeby tego nikczemnika schwycić za kołnierz. A przecież ten dureń jednym idiotycznym zdaniem zniszczy skutki pracy dziesiątków rozumnych ludzi. Gdyby nasi wodzowie posiadali więcej rozsądku, tego rodzaju krzykacz zachwyciliby się widokiem nieba zza krat...

21. X. 1962

Nienawidzę aż do nieprzytomności urzędniczej, patentowanej, wyhodowanej mądrości. Niezależnie od argumentów, jakimi różne beztalencia podpierają swoją mądrość, zawsze stoi ona poniżej normalnego człowieka. Podobnie jak przestrzeń jest nie do przyjęcia bez pojęcia ruchu, tak poezja jest nie do przyjęcia bez myśli. Cóż to za przestrzeń, w której nie można się poruszać? Poezja — to piękno i mądrość.

Jakże spłycał nasz humor, jak zubożała satyra! Mandolinarze, przekupki, wąskie porcięta i modne fryzury — czy warto, żeby poważni ludzie tracili na to nie tylko słowa, ale i nerwy? A ile naujadano pod adresem kiepskich krytyków literackich! Nigdy nawet nie próbowałem pisać gruntownych, pogłębionych ocen płytkich utworów. W kałuży nie potrafisz dać głębokiego nura, choćbyś był japońskim poszukiwaczem pereł.

21. VI. 1963

Bodaj od pół roku nie zaglądałem do tego zeszytu, chociaż

wydarzenia, które zaszły w ciągu tych sześciu miesięcy, należało jakoś utrwalić.

Ledwie się nie udusił w prochowym dymie bitw ideologicznych. Realizm odniósł kolejne zwycięstwo, co prawda, nie na polu twórczym, lecz dzięki administracyjnym zabiegom.

A w ogóle niebezpieczeństwo formalistyczne groziło pozornie. Przynajmniej na Ukrainie nie spotkałem żadnego zwolennika abstrakcjonizmu czy jakiegoś neo-futuryzmu. Natomiast, jak i przedtem, istnieje niebezpieczeństwo formalistycznego braku myśli w literaturze. Bo czyż to nie formalizm, gdy setki pisarzy obcmokują, według z góry przygotowanych schematów, tuzin tak zwanych wiecznych idei — kochaj pracę, szanuj tatusia i mamusię, nie patrz spośród na sąsiadów...? Tam gdzie kończy się myślenie, zaczyna się formalizm.

Jeżeli poeta nie daje nowych myśli i emocji, staje się formalistą, choćby najbardziej reklamował swoją rzekomą przynależność do realistów. Podskakiewicz nie tworzył realizmu. Był realizm, uprawiany przez Szewczenkę, i realizm, który korzysta z usług Dmiterki. A to zupełnie inne rzeczy! Ci dmiterkowie nie są spadkobiercami literatury. Żyją z niej, nie dla niej.

Wątpię czy można mi zarzucić formalizm, a jednak nie chcą drukować.

6. VII. 1963

Nie wiem, czy to właściwe każdemu, czy tylko dzieje się tak ze mną. Często wątpliwości niszczą pewność własnego męstwa. Nie wiem, jak się zachowam, gdy na moją głowę spadną prawdziwe próby. Czy będę nadal człowiekiem, czy też oślepną nie tylko oczy, ale i rozum? Utrata męstwa to utrata godności, którą stawiam ponad wszystko. Nawet ponad życie. A iluż — rozumnych, utalentowanych — ratowało swoje życie, rezygnując z godności i zastępując ją nikomu nie potrzebną vegetacją. I to właśnie najstraszniejsze.

W ubiegłym tygodniu byliśmy w Odessie, gdzie miejscowe twarde łby rozweselały nas swoim idiotycznym strachem: żeby tylko coś się nie stało. Zabroniono nam występować na wieczorze szewczenkowskim. Wypada, że niektórzy boją się Tarasa jeszcze i dziś. Mieszczuchy od rewolucji.

22. VII. 1963

Jak się zdaje, zaczęło się moje dogorywanie. Fizycznie jestem prawie bezsilny, chociaż pod względem moralnym jeszcze się jakoś trzymam. Myśląc o śmierci, nie odczuwam żadnego strachu. Może dlatego, że jest jeszcze daleko? Dziwna rzecz: śmierci nie chcę, ale nie odczuwam specjalnej chciwości życia. Dziesięć lat — to dla mnie aż nadto.

Z ironią oglądam się wstecz; wkrótce skończę dwadzieścia dziewięć lat, a czego dokonałem, czy bodaj zacząłem coś poważ-

nego? To nie życie, lecz pasmo drobnych kłopotów, drobnych niepowodzeń, drobnych rozczarowań i drobnych sukcesów!

Nie, marzyłem żyć nie tak, jak żyję. Szczęśliwy ten, co niewiele żąda od życia — ten nigdy się nie rozczaruje. Najprostsza i najkrótsza droga do tak zwanego szczęścia — stać się mieszczuchem. Mózg, zdolny do tworzenia myśli, nie jest w stanie dać szczęścia swemu posiadaczowi.

3. IX. 1963

Lato, które przebiegło pod znakiem fizycznej i moralnej bezsilności, jest już poza mną. Jesień na progę i z nadzieją spoglądam w jej przejrzyste oczy. Uboga, skąpa jesień w tym roku! Czegóż oczekiwać od takiej żebraczki? Gotowa poskąpić nawet kawałka chleba.

Przyjaciele przycichli, nie odzywają się ani słowem. Czasopisma na coraz niższym poziomie i bardziej zuchwałe: „Literacka Ukraina” kastruje mój artykuł, „Ukraina” znęca się nad wierszami. Każdy lokaj postępuje według swego widzimisię. Jakże tu nie palić się wdzięcznością, jakże nie modlić się co wieczora i co ranka za tych, co obdarzyli cię taką swobodą. Do tego można dodać, że w kwietniu odrzucono moje wiersze w „Zmianie”, zerznął je „Zowteń”, potem przyszły harbuzy z „Dniepra” i „Ojczyzny”.

Ach, ach, jak wesoło! Wszyscy jesteśmy pod prasą. Tak właśnie potrzeba w imię postępu.

5. IX. 1963

W Czerkasach czuję się teraz jeszcze bardziej samotny... Przyjacielskie ścieżki, łączące mnie z Nehodą i Ohłoblinem, pozarasowały, rzec by można, bujnym sporyszem. Jednemu byłem potrzebny, dopóki mogłem w czymś pomóc, drugi okazał się zwyczajną chorągiewką na dachu. Nie wątpię, że będzie mnie szczuł z takim samym zapałem, z jakim uprzednio wychwalał. Już to udowodnił z kilku trybun, na różnych zebraniach.

Ale — trzeba nadal robić swoją robotę.

Z „Brzegu wyczekiwań”

Hej, Kolumbie nowy, Magellanie,
żagle marzeń rzuć na wiatr ochrypty!
Oczekując nas na oceanie,
w cichy port uderza huczny przyptyw.

Kto powiedział, że już wszystko znane?
Po cóż przyśliśmy i weszli w naród?
Nie wymierzyć wyszczerbionym dzbanem
naszych młodych dążeń i zamiarów!

Wichrze marzeń! Już się rwą okręty!
W podróż! Ogniem serce me wybuchaj!
Na ojczyzny mapie nieobjętej
odkryjemy nowe wyspy ducha!

Wyrwać z mułu zardzewiałą kotew!
Żeby rdzewieć, mamy sił zbyt wiele.
Silna pierś na wichry i spiekotę,
wyruszają z portów karawele.

Żaden wichur Słońca nie wyziębi,
wszędzie lądy jeszcze nienazwane!
Ukraino! Póki życia, w głębie
twoich tajemnic wchodzić nie przestanę!

Ciągle szukać — w burzy i w pożarze,
żyć w marzeniach, jak w płomiennym hymnie!
A jeżeli potknąć mi się zdarzy,
przyjaciele, wy będziecie przy mnie...



Młodość innych — zawsze tajemnicza.
No, a własna — jej sekrety mniejsze?
Taki jest już jej uparty zwyczaj,
że odkrywa prawdy najśmieszniejsze.

Zawsze niewstrzymana i krzykliwa,
podejrzliwa, wszystkich wkoło bodzie,
wciąż do pojedynków się wyrывa
i z rozsądkiem ciągle jest w niezgodzie.

Więc daremnie utyskiwać łzawo:
— Cóż za dzieci — żal się, Panie Boże! —
Młodość ma do niepokojów prawo,
na niepokój nic tu nie pomoże.

Opór nie zda się na czas zbyt długi,
postęp niesie nowe ideały.
Młode pokolenia — nie papugi,
by to samo w kółko powtarzały!

Młodzież uczy się, to ją nauczcie,
lecz wołają do was czujne usta:
— Nie podchodźcie do niej, nie podchodźcie
z starym łokciem tępego Prokrusta!

Znów się zapatrzyłem w twoje oczy,
tak już, trwożna, w myślach mych pozostań.
Błyskawice krzeszesz, grom z uroczysk
rewolucji, buntów, bitw i powstań.

Ukraino! Oto do ostatka
dni mych tobą będę się zachwycał!
Urodziwa moja, dumna matka,
najmilejsza, czuła miłośnica.

Dzięki tobie dźwięk tych pieśni szczerych,
com dokonał, tylko tobie w darze.
Co mi tam głos Rosji i Ameryk,
kiedy z tobą, ukochana, gwarzę.

Precz, wrogowie! Idźcie precz, podstępni!
Przyjaciele, dajcie chwilę czasu!
Krew synowska w moich żyłach tętni
i mam prawo z matką być sam na sam.

Nędzne dni, kalekie i osłabłe
i bez rozmów twoich jakże źle mi.
Nie odeszły jeszcze wszystkie diabły,
tyle ich wałęsa się po ziemi.

Widzisz — w walce z nimi syn się zaciął,
styszysz — stare grzmi pobojowisko!
Jakże mi się obejść bez przyjaciół,
by ich oczy, dłonie były blisko?

Ukraino, z tobą w tych modlitwach
twoja rozpacz i odwieczny lament.
Ponad światem najstraszniejsza bitwa
o twe prawa i o życie samo.

Płoną chmury bure i bezładne,
wszystko jedno — niechaj mrok się piętrzy —
jeszcze jedną kroplą krwi upadnę
na twój sztandar. Sztandar twój najświętszy!

Gdzieście, oprawcy mojego narodu?
Już wasza wielkość, siła wasza na dnie.
Na jasne gwiazdy i na ciche wody
już wasza czarna wściekłość nie opadnie.

Mój naród dalej idzie poprzez dzieje,
próżno złość wasza jego moc wykrusza.
Pod słońcem wciąż dojrzewa i młodnieje
jego okrutna i łagodna dusza.

Mój naród żyje! Naród zawsze będzie!
Nie podda się, nie ugnie się przed niczym!
Nadejdzie koniec zdrajcy i przybłądzie,
i zczezną w mroku hordy napastnicze.

A wy, bękarty, hańba was powita,
nie zapominajże, rodzie borsuczy:
— Mój naród żyje! W jego tęgich żyłach
kozacka krew przelewa się i huczy!

Tam, gdzie się drogi skrzyżowane wiodą
przez step, jak klingi mieczów wyciągnięte,
za dnia i nocy, ostrogami bodąc,
czas niewstrzymany niesie się z tętentem.

Milczą nad nimi niebiosy dalekie
i ścieżka w trawy wdziera się jak w ranę.
O, ileż losów przecięty na wieki
tych dróg pradawnych miecze skrzyżowane!

Jeszcze idziemy. Jest cisza bezpieczna
w tych słowach, w twej urodzie jakież spój!
Lecz mów:

Czy po tych skrzyżowanych mieczach
bez lęku poszłabyś przy moim boku?

SAMOTNOŚĆ

Samotnością naśladowając Robinzона,
wypatruję, czy się okręt nie pokaże.
I myśl moja bezradnie kona
w grzązkim bagnie próżnych słów i marzeń.

Na tej dzikiej wyspie, zaszyty
w skóry z martwych złudzeń zbyt wielu,
wciąż urągam nieba błękitom:
— Gdzieżeś jest, Piętaszku, przyjacielu?

Krzyk rozpaczy gardło mi zaćmił,
dudni głucho w dali nieobeszłej:
— Jeśli, Boże, przyjaciela nie chcesz dać mi,
to przynajmniej wroga mi zeszluj!

SĄD

Za stołem paragrafów liczne grono
siedziało ciężko za kodeksu grzbietem.
Cytaty twarde oczy wbity w oskarżoną
i każdy ostrym groził jej bagnietem.

Cyrkularz wpatrzył się przez okulary,
tłum załączników rozparł się na ławce,
coraz to nowy rozkaz widmem szarym
w telefonicznej zjawiał się słuchawce.

— Jest obca — paragrafy zgodnie rzekły.
— Nie nasza jest — cyrkularz nie pochwalił.
— Szalona — załączniki głosem wściekłym.
I krzyk i lament podniósł się na sali.

Ale cyrkularz spojrzął na nich srogo
i zaraz krzyk się w szmer strwożony zniżył.
Przeto rozpięto ją, niebogę,
na paragrafach jak na krzyżu.

Próżno biedaczka we łzach się prosiła
i przysięgała, że całkiem niewinna.
Z sędziami logiki żelaznej siła:
w żadnych się znanych ramkach nie mieściła,
bo to myśl była nowa. Była inna!

NA UWĄŻNEGO

Czemuż kierujesz zaraz ostrze twych podejrzeń
w takich, co wątpliwości swe zwierzają ludziom szczerze?
Jeżeli prawdzie służyć chcesz we wszystkim,
czemuż ci szczerłość zda się buntem albo spiskiem?
Przy ludziach nigdy wróg do gardła ci nie skoczy,
bo tylko szczery druh otwarcie rębie w oczy.
Więc w podejrzeniu pilnym raczej tych zachowaj,
co zbyt ostrożnie ważą myśli swe i słowa.

Jak nie kręcić,
a na jedno wychodzi —
zakarbować katom czas już przecież:
można mózg przestrzelić,
że w nim myśl się rodzi,
ale myśli nie zamordujecie!

Grobowców granit w strutyach mgieł szarudze
czołgał się długo — i stanął w pół drogi.
Tak na cmentarzu rozstrzelanych złudzeń
zabrakło miejsca dla ostatnich mogił.

Wiara milionów — wkopana w czarnoziem.
milionów losy — zamienione w próchno.
Pali się mózg i serce w srogiej grozie
i nienawiścią wściekły wiatr wybuchnął.

Gdyby dać mowę wszystkim oszukanym,
zamordowanych gdyby z grobów zbudzić,
to jużby niebo zdarte na łachmany
z przekleństwem zawałiło się na ludzi.

Drżycie, mordercy, drżycie, stugi cudze,
życia nie zdusić wam edyktem srogim.
Stójcie i patrzcie! Na cmentarzu złudzeń
zabrakło miejsca dla ostatnich mogił.

Już naród — jedna rozjątrzona rana,
już ziemia dziko od jej krwi skowycze,
i już każdego kata i tyrana
tego spleciony oczekuje stryczek.

Już idą czynić sąd — pomordowani —
zaszczone, we krwi stratowane ludy —
niesamowici, głodni, skatowani,
przekłęci, własną męką obłąkani;
to za nich dla was szubienice, za nich,
apostołowie zbrodni i obłądki!

Z ukraińskiego przełożył Józef ŁOBODOWSKI

Nowość

W BIEŻĄCYM MIESIĄCU UKAŻE SIĘ
TOM CXXIX BIBLIOTEKI "KULTURY"

Seria - "Archiwum Rewolucji"

BORYS LEWICKYJ

POLITYKA NARODOWOŚCIOWA W ZSSR

W OKRESIE N.S. CHRUSZCZOWA

Str. 312.

Cena 16,50 F. (dol. 3,50; 24/6)

W SERII „ARCHIWUM REWOLUCJI” UKAZAŁY SIĘ
DOTYCHCZAS NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

Walter G. KRYWICKI — *Byłem agentem Stalina* (wy-
czerpane)

Ignazio SILONE — *Wybór towarzyszy*

Borys LEWICKYJ — *Terror i Rewolucja*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI — *Inny świat*

Arthur KOESTLER — *Fragmenty wspomnień*

Michel GARDER — *Agonia reżymu w ZSSR*

Notatnik

Zdawałoby się, że wszyscy ludzie powinni paść sobie w objęcia, krzycząc, że nie mogą żyć, ale żaden krzyk nie potrafi wydostać się im z gardła i jedyne co jako tako umieją, to kłaść słowa na papierze albo farby na płótnie, całkiem świadomi, że tzw. literatura i sztuka są zamiast.



To był urok, iść ścieżką przez ten las na zboczach, olbrzymi, poplątany, buchający paprociami spomiędzy wykrotów, z przenikliwym zapachem bobkowych liści („proszę pięć deko bobkowych liści”) i myślałem sobie, że litewski las mego dzieciństwa, choć przyozdobiony wyobraźnią, wydałby się mały i szary, jednak później, na suchych wyżynach, gdzie tylko teraz, na wiosnę, kwitną pola dzikiego łubinu i kalifornijskich maków, widząc w dole dziesiątki mil morskiego brzegu, powiedziałem, że znów niezmiernieść i że to za dużo.



Ile jest krajów, w których wyobraźnia człowieka jest z konieczności geologiczna i obozowiska ludzkich domów ukazują się jako kolonie wszy w fałdach olbrzymiej, pomarszczonej skóry słonia?



Z tego, co mi opowiadał Antoninus, zrozumiałem, jak bardzo jest amerykański i kalifornijski, bo kiedy był chłopcem, nie znał nic prócz Natury i, jak powiedział, jej przedstawicielki, kobiety,

czyli dwóch potęg dwuznacznych, wzywających, żeby się z nimi zjednoczyć, w nich zniknąć a zarazem wrogich, którym jesteśmy przeciwstawieni.

Czytając na tym wieczorze współczesną poezję polską w przekładzie na angielski, cieszyłem się z wibrowania słuchaczy, ale równocześnie myślałem, że ta jej śmiałość i czystość rysunku wynikła z zacierającej się już intensywności historycznego doświadczenia i że dziś ta poezja zmierza do zwinięcia się w trąbkę, w suchy orzech, czyli do tego, co poezja anglosaska ma w nadmiarze.

Jakiś rok temu jeden z moich studentów, matematyk i poeta, napisał na egzaminie, że tacy poeci jak Różewicz powinni zdechnąć a on będzie tańczyć na ich grobach, co mogłem zrozumieć, bo nieokrzesana, naiwna i często głupawa poezja „beatu” jest przeciwieństwem nihilistycznej melancholii, tzn. buntem przeciwko molochowi i wiarą w wolnego Adama.

Turlali się ze śmiechu na dywanie słuchając jak jeden z nich czytał głośno „Tractatus Mathematico-Logicus” Wittgensteina, który jest dla nich przykładem, do jakich aberracji może dojść człowiek zupełnie wewnątrznie „zatkany”.

Mówię, że chciałbym napisać taką książkę, która by ludziom pomogła, porządkując i rozjaśniając, a na to M., z wyżyny swoich dziesiętnastu lat, że *faith* jest tylko ważna, a każdy *belief* jest głupstwem i że takiej książki nie można napisać, bo *faith* nie jest już połączona z żadnymi *beliefs*, które się rozpadły.

Jak piękna jest ta młodzież, jak piękna jest jej muzyka, jej tańce!

Konflikt anty-komunistów z młodym pokoleniem w Ameryce i w Zachodniej Europie na tym polega, że, podobnie jak ko-

muniści, niewiele rozumieją z tego, co odbywa się w tych społeczeństwach.

Z polskiej prozy ostatnich lat dziesięciu należałoby wyciągnąć wnioszek, że głównym zajęciem Polaków jest sex, ale uprawiany na ponuro, z zemsty na świat, w przekonaniu, że robi się coś świńskiego i brudnego.

Nikt się jakoś nie zastanawia, że to coś znaczy, jeżeli biały człowiek omijał do końca osiemnastego wieku Kalifornię jako region nieprzychylny, mglisty na brzegach zimnego tu oceanu, sprzążony na skałę w głębi lądu, i jeżeli tutejsi Indianie nie zdobyli się na żadną cywilizację, jak ci dalej na północ i ci dalej na południe.

Kiedy pierwszy raz byłem kilka dni w Kalifornii z Wandą, wiele, wiele lat temu, nie przypuszczałem, że ten kraj jest mi sądzony, ale już wtedy uchwyciłem, nie przywiązując do tego wagi, bo po co, wymykającą się słowom energiczną apatię, ruchliwe zniżenie, nudę przykrytą złudzeniami kultury, i miałem się przekonać, że jeżeli słowo „alienacja” ma w ogóle jakiś sens, to tutaj.

Zasadniczą niemożność pisarza w Ameryce starałem się tłumaczyć po swojemu, brakiem miasta i brakiem wsi, podczas kiedy podział na miasto i wieś nawet dotychczas jest w Europie tym piecem od którego zaczyna się tańczyć.

Fałszywa interpretacja na tym polega, że w moich różnych fascynacjach historią mniej kierowałem się sumieniem i tp. szlachetnymi pobudkami, a bardziej manichejskim strachem mego dzieciństwa, tak że, jak powiedziałem sobie, człowiek może albo mówić o historii albo milczeć, bo nagie sedno rzeczy jest nie do zakomunikowania.

Nieprawda, w każdym razie w zastosowaniu do wielu z nas, że ukształtowali nas polscy romantycy, bo wcześniej niż ich, w dzieciństwie, czytało się Fenimore Coopera i Nataniel Bumppo,

zwany Tropicielem, Pogromcą Zwierza, Skórzaną Pończochą, stał się pierwszym naszym romantycznym bohaterem.

Tragedia Tropicieła, który uciekał od ludzi do nieskazanej Natury, ale przez to właśnie torował ścieżki dla posuwającej się cywilizacji, powtarza się do dzisiaj w Ameryce, gdzie mizantropiczni poszukiwacze naturalności instynktów, wściekli na cywilizację, są przez tę cywilizację przechwytywani i użytkowani.

Fenimore Cooper był słabym pisarzem i niesposób go dzisiaj czytać a przecie nic dla mnie nigdy nie miało takiej wyrazistości poetyckiego obrazu jak ten dom na łodzi, na środku jeziora, w którym mieszkały ze swoim ojcem, emerytowanym piratem, Kora i Judyta, stąd pewnie, później, moja wrażliwość na Świtezę i śródjeziorną wieżę Króla Popiela.

Od rozdętych władz naszego ego, ambicji i pychy, nie można uchronić się zapewniając siebie, że ich nie ma, ale może można zapchać im gardło, jak karmi się psy żeby zostawiały nas w spokoju?

Najważniejsze co osiągnąłem uciekając z Polski, to chyba demokratyczność odruchów, to znaczy stosunek do ludzi poza zaświatami i towarzyskim snobizmem, co zresztą niczego nie ułatwia, bo jak ustalić własną tożsamość kiedy jest się jednym z wielu?

Zazdrościłem Edkowi i wiele wtedy dałbym, żeby być takim jak on, to był mój sekret, ale teraz spostrzegam, że mogę mówić o tym bezpiecznie, bo nie żyje bodaj nikt z tych, którzy wiedzieli by kogo mam na myśli, a jego arystokratyczne samobójstwo, z nadmiaru wstrętu, gdzieś w 1950 roku, nie jest odnotowane w żadnych kronikach.

Kiedy miałem trzy lata, kochałem się równocześnie w dwóch dorosłych dziewczynach, jednej jasnowłosej, drugiej czarnowłosej,

i byłem bigamistą, w czym przejawiały się dialektyczne skłonności mego umysłu.

Mówiłem moim studentom o charakterologicznych źródłach dialektyki Hegla według Brzozowskiego, który przypuszczał, że młody, ubogi Hegel, wyrzekając się z oszczędności tytoniu albo kupienia skrzypiec, kochał tym bardziej tytoń i skrzypce, tak że negacja i negacja negacji miały w jego umyśle równe natężenie.

Nagły wyrzut sumienia z powodu I., jakby przestroga dla wszystkich, którzy sądzą, że erotyzm to bardzo proste, bo ona nie była dla mnie żadną tajemnicą osobowości w którą się przenika poprzez miłosny uścisk, powodowała mną ambicja i nią powodowała ambicja, to było dawno i obyśmy mogli to sobie powiedzieć, znów nadzy, w ogniu czyścowym.

Kim jestem, nie wiem, kim byłem, nie wiem, wtedy, w Wilnie, kiedy miałem pokój w Związku Literatów, w Bazylińskich Murach, tuż obok celi w której przed-epileptycznie olśniony Konrad wygłaszał Wielką Improwizację, i w łóżku, z lekką gripą, zabrałem się, ze snobizmu czy obowiązku, do „La Chartreuse de Parme” Stendhala, nie wierząc w olśnienia powieścią i nie wiedząc, że zawsze będę to wspominać jako największy dziw lektury.

W Dolinie Śmierci (*Death Valley*), gdzie jest cisza, zaiste, śmierci, a nad pustynią stoją góry barwy żółci, krwi i grynszpanu, całą siłą sprzeciwu, to jest siłą słyszalnego niemal tutaj własnego pulsu, ucpepiłem się pamięci o pewnym minionym mieście, ale pomieszały mi się jego epoki, 1812, 1820, 1930.

Kto honorować będzie miasto bez imienia, kiedy jedni umarli, inni płuczą złoto albo handlują bronią w oddalonych krajach?

Jaka surma w powijakach brzozowej kory otrąbii na Ponarach pamięć nieobecnych, włóczęgów, tropicieli, braci z rozwiązanej loży?

*Tej wiosny, na pustyni, za masztem obozowiska, a cicho było
aż po litą skałę gór żółtych i czerwonych, usłyszałem w szarym
krzaku brzęczenie dzikich pszczół.*

*Mijały z prądem echo i bierwiona płytów, mężczyzna w czapce
z kozyrkiem i kobieta w chustce czworgiem rąk napierali na wiel-
kie wiosło sterowe.*

*W bibliotece pod wieżą malowaną w znaki zodiaku Kontrym
brał z tabakierki szczyptę i uśmiechał się, gdyż mimo Metternicha
nie wszystko było stracone.*

*I krętą koleiną pośrodku ludzkiego traktu jechały żydowskie fur-
manki a cietrzew tokował stojąc na kasku kirasjera Wielkiej
Armii.*

*Z flecikami, z pochodniami
i beben bum-bum.*

*O, to ten co przegrał nad Bosforem tam na przedzie.
Swoją pannę za pod rękę tutaj wiedzie
i jaskółki nad nimi latają.*

*Wiosła niosą albo kije liśćmi owinięte
i znad Jezior Zielonych bukiety.
Coraz bliżej Ulicą Zamkową
i już nic, to tylko stoi obłok
nad Sekcją Twórczości Oryginalnej
Koła Polonistów.*

*A książek tośmy całą bibliotekę napisali.
A krain tośmy co niemiara zjeździli.
Bitew dużośmy, dużo wydali.
Aż i nie ma, ni nas ni Maryli.*

Doświadczenie można określić jako wędrówkę od podziwu nad naszą wyjątkowością i od rozpaczki z powodu naszej nienormalności do uświadomienia sobie, że nie jesteśmy ani wyjątkowi ani nienormalni, i może najdziwniejsze w poezji Zbigniewa Herberta jest to właśnie, że od początku przemawia w niej człowiek doświadczony.

W tasowaniu własnej przeszłości, w zacieraniu śladów, w nazywaniu na przykład chłopca Albertyną, na czym polega wszelka *fiction*, jest jakaś nieprzyzwoitość, choćbyśmy wiedzieli, że jakkolwiek pamiętnik kłamałby dziesięć razy więcej.

Robiąc korekty do drugiego wydania „Doliny Issy” rozmyślałem nad sztuką łudzenia czytelnika, który gotów jest, jak świadczyło choćby mnóstwo wycinków z prasy niemieckiej, brać tę powieść za rodzaj autobiografii, a także nad tym, że spłaciłem dług wdzięczności wobec autorów zapomnianych, nie zaliczanych do tzw. literatury.

To prawda, ma się te zalety najzupełniej antyanglosaskie, bezpośredniość, otwarcie się na drugiego człowieka, tak że wtedy, kiedy spotkaliśmy się z J., Jugosłowianinem, zaczawszy gadać w południe skończyliśmy o północy, ale ta słowiańskość w nas, pijanych ryków, ślinień się, łażenia na czworakach, przechwałek i wyznań, jest może jeszcze gorsza niż milczące psychologiczne gry.

Kiedy mój ojciec wrócił z Rosji skarżył się, że w Polsce brak przestrzeni i wszystko jest żarciem się o jakieś drobne kości, ale to jest właśnie, jak przekonałem się później, cały problem polskiego piśmiennictwa, w którym wybiegi i gry zrozumiałe dla niewielu wtajemniczonych urastają do bóg-wie-jakich osiągnięć i kiedy znika cały system odniesienia, mało znaczą.

A może naprawdę wybitne dzieła powstają jedynie wtedy, kiedy czuje się, że nie ma już nic do zyskania i nic do stracenia?

Najpiękniejsze co napisał Siniawski — Abram Terc — to jego krótkie „myśli wrozpłoch” wydane przez „Kulturę” pod tytułem „Myśli niespodziewane” i nie mogę pojąć, jak tyle razy nie mogłem pojąć, dlaczego to co powinno ludzi poruszyć nie znajduje natychmiastowego oddźwięku.

To jedno wystarczy, żeby uznać Siniawskiego za odnowiciela wielkiej rosyjskiej tradycji:

„Podróżny szedł przez las. Naprzeciwko — trzech w łapciach. Podeszedł do nich i powiada:

— Braciszku, boję się was. Was — trzech, a ja sam jeden.

— No, to — powiadają tamci — siądziemy na trawce, żebyś się nas więcej nie bał. A ty stań sobie opodal, na jakieś dziesięć kroków, i porozmawiamy.

Usiedli i pytają:

— Masz trochę chleba? Od trzech dni nic nie jedliśmy.

Podróżny oddał im wszystek posiadany chleb i poszedł. Potem schwymano ich i rozstrzelano w mieście”.

Czesław MIŁOSZ

Stanisław Mackiewicz

Musiało to być w Londynie, wkrótce po wojnie. Mackiewicz pisał właśnie swego „Stanisława Augusta”: dzisiaj mogę zdradzić, że, według niego, miało to być dzieło historyczne *à clef*, a mianowicie klucz do ówczesnej roli i polityki Augusta... Zaleskiego. Mackiewicz mieszkał wówczas na Chalk Farm, w małym dwupokojowym mieszkanku, przesiadywał, gruby i spocony, w koszuli i w szelkach w wielkim fotelu, i częstował mnie „boczkiem”, co uważałem za afektację: sam mówiłem zawsze „bekon”. Jak zwykle, był bardzo przejęty tym co pisał: był to jeden z jego uroków. Cytował swe liczne lektury z końca XVIII-go wieku, polemizował z Kalinką czy Korzonem, jakby to byli współcześni. W pewnej chwili zawołał: „Więcej bym się dowiedział o Stanisławie Augustie, gdybym mógł z nim przez kwadrans rozmawiać, niż z całej biblioteki o nim”.

Miał rację. Piszę to wspomnienie o Stanisławie Mackiewiczu z myślą o danie przyszłym historykom konterfektu, wizerunku tego niezwykłego i niepospolitego człowieka, którego nazwisko będzie jednym z kilkunastu nazwisk polskich, które po naszej epoce zostanie. Chciałbym dać możliwie najwięcej wspomnień i impresji osobistych, by zastąpić potomnym brak osobistego zetknięcia z człowiekiem, który był przede wszystkim potężną indywidualnością, potem szaloną odwagą, potem kolosalnym talentem, a dopiero na czwartym miejscu bardzo wielką inteligencją. Chciałbym, by moje świadectwo uznano nie tylko za serdeczne, przyjazne, oddane, płomiennie, ale także za bezstronne.

Pisząc mniej więcej w tymże czasie, także w Londynie, także po wojnie, jedną ze swych niezliczonych książek o Piłsudskim, Staś Mackiewicz rzucił mi jeszcze jedno nieoczekiwane a oryginalne wyznanie. „Co można powiedzieć o człowieku, póki się

nie zna jego życia prywatnego, uczuciowego?” — wołał. „Na przykład mówimy o Piłsudskim: w tym roku redagował 'Robotnika', w tamtym zakładał 'Organizację Bojową', etc. A może właśnie w owym czasie dużo większą rolę odgrywała dla niego jego pierwsza żona, o której nie wiemy nic. Albo też później pani Lewicka, o której znowuż nie wiemy nic”. Nie potrafię ocenić, czy te uwagi były trafne co do Piłsudskiego: były na pewno trafne co do samego Mackiewicza, i to aż do jego zgonu. To właśnie sprawy z zakresu jego życia prywatnego, bardziej niż cokolwiek innego, zdecydowały go do powrotu do Polski w roku 1956. To znowuż sytuacja z tej dziedziny sprawiła, że nie żałował tego kroku, że mimo wszystko był w Warszawie dużo pogodniejszy, dużo szczęśliwszy, niż go kiedykolwiek widziałem na emigracji.

Pamiętam doskonale chwilę, gdy po raz pierwszy w życiu usłyszał o istnieniu Stasia Mackiewicza. Musiało to być w roku 1924. Byłem wówczas studentem prawa na U.J., i najmłodszym w dziejach współpracownikiem „Czasu”: dwa razy na tydzień przyjmował mnie sam Excellence Władysław Leopold Jaworski, najmądrzejszy i najznakomitszy człowiek, którego znałem. Jaworski mówił z głębokiego, wolteriańskiego fotela, w którym jego drobna postać całkowicie tonęła, swym niezapomnianym chrapliwym głosem, przez swą rurkę: „Na tym fotelu, na którym pan teraz siedzi, siedział dzisiaj rano Mackiewicz, redaktor wileńskiego 'Słowa'. To takie litewskie 'wilczę’”. Jaworskiemu, wielkiemu artyście słowa, musiał się ten termin „wilczę” podobać, bo kilka razy go powtórzył, i oczy mu się figlarnie uśmiechały, jak to zawsze robił, gdy sądził, że znalazł właściwe określenie.

Ale Mackiewicza wówczas nie poznałem. W redakcji „Czasu”, gdzie co dzień bywałem, znajdowało się oczywiście „Słowo”, oczywiście było uważane za organ „bratni”, ale, zdaje się, że nikt go nie czytał. „Czas” był, jak „Times”, instytucją dla siebie, ponad zwykły padół ziemski, i uważał całą pozostałą prasę konserwatywną za mutacje prowincjonalne stołecznego organu. Poza tym w latach 1924-26 Beaupré był zajęty Skrzyńskim, a Estreicher Sikorskim, i na śledzenie działalności Mackiewicza nie mieli pewno czasu. Dość, że nie przypominam sobie, bym w tych latach krakowskich kiedykolwiek usłyszał nazwisko Mackiewicza, poza już wspomnianą uwagą Jaworskiego, ani też, bym czytał choć jeden jego artykuł czy w ogóle jakiś artykuł „Słowa”. Stomma w swym nekrologu o Mackiewiczu w „Tygodniku Powszechnym” wspomina obszernie boje, które w przedmajowym Wilnie prowadziło „Słowo”, wspomina olbrzymi wpływ, który ówczes-

ny młodzieńcki Mackiewicz wywierał na ówczesną wileńską studenterię. Otóż dla mnie są to wszystko zamknięte księgi. Moje *formative years* upłynęły całkowicie i wyłącznie pod egidą krakowskich Stańczyków, i ślady tej odmiennej formacji odczuwałem zawsze. Miałem stale dla Mackiewicza ogromny podziw, respekt dla jego niezwykłego talentu, rozmowa z nim należała do największych rozkoszy w moim życiu. Ale do jego „szkoły” nie należałem nigdy, i fakt, iż pomimo fundamentalnej różnicy poglądów, a nawet więcej, bo podejścia do wszystkich zjawisk politycznych, prawnych i socjalnych, tyle nas dzieliło, a tak mało łączyło, świadczy, że przy dobrej woli i przy pewnej kulturze towarzyskiej i umysłowej ludzie różnych przekonań, odmiennego temperamentu mogą pozostawać przyjaciółmi, mogą się widywać z radością i mieć wzajemnie dla siebie dużo prawdziwego uznania.

Wiem niezmiernie mało o pochodzeniu, dzieciństwie i młodości Stanisława Mackiewicza. Mackiewicz był żyjącym nawastwieniem procesów historycznych ostatnich dwóch stuleci na ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, więc jego pochodzenie i dzieciństwo musiały mieć wielki wpływ na jego rozwój i jego charakter. Wiem, że urodził się w grudniu 1896 roku w Petersburgu, i tam chodził do gimnazjum. O ile mi wiadomo, rodzina jego pochodziła z niewielkiej szlachty, co miało w owych czasach, i w kołach konserwatywnych, w których się obracał, pewne znaczenie. Zdaje się, że jego przodkowie należeli do tak zwanych wojsk albańskich Księcia Panie Kochanku: w każdym razie tradycje ówczesnego zamku nieświeskiego były u St. Mackiewicza niesłychanie żywe. Kiedyś — znowuż było to po wojnie, w Londynie — mówił mi zupełnie serio, jakby chodziło o spór wczorajszy w Radzie Narodowej czy w „Ognisku”: „Kukiel jest bardzo porządnym i miłym człowiekiem, ale cóż, nie możemy się porozumieć: on należy do Familii, a ja do Radziwiłłowskiej Demokracji Szlacheckiej”. A jednocześnie miał wychowanie i wykształcenie panicza nie z drobnej, ale z zamożnej szlachty: mówił z domu, nie ze szkoły, po francusku, tak samo jak i jego brat, w dzieciństwie był w Paryżu, i na Riwierze, a w warunkach zaboru rosyjskiego, specjalnie Kresów, były to niemyślne oznaki pokaźnej zamożności. O ile mi wiadomo, ojciec Stanisława, Antoni, był kolejjarzem: dochrapał się wysokich godności w kolejnictwie, skończył w Petersburgu jako wysoki dygnitarz ministerstwa kolei, bodajże z tytułem „prewaschaditielstwa”, i jako emeryt przeniósł się do rodzinnego Wilna, gdzie kupił piękną kamienicę, i miał jakieś wcale pokaźne kapitały: wszystko to

przepadło w czasie pierwszej wojny i inflacji, i stąd Mackiewicz należał klasowo do tej licznej warstwy, która nadała ton Polsce Dwudziestolecia a specjalnie okresu sanacyjnego, mianowicie do zubożałej, zradykalizowanej szlachty. Ogromna część tej szlachty-ex-ziemiańskiej, zrujnowanej i zubożałej, przygłęła do radykalizmu sanacyjnego, tak jak poprzednie pokolenie tejże warstwy, zawsze arcylicznej w kraju bankrutów, jakim była i jest ubożuchna Polska, poszła do „socjalizmu”, a następne do ONR'u. Fakt, że Mackiewicz utkwiał w konserwatyzmie, a nie w radykalizmie sanacyjnym, uczynił go omal unikatem w swej sferze i w swym pokoleniu, i stanowił jedną z jego cech najbardziej oryginalnych, tak jak byłem ja, na dużo mniejszą oczywiście skalę, też oryginałem, tkwiąc przy liberalnym konserwatyzmie mych Stańczykowskich mistrzów, zamiast utkwąć w Endecji czy ONR'ze, jak to się stało losem olbrzymiej większości zubożałej inteligencji mego pokolenia.

Mackiewicz był archaiczny, był anachroniczny: to stanowiło jego słabość, jako polityka, i jego niesłychany urok, jako pisarza, jako *causeur'a*: był w pewnym sensie wcieleniem historii Polski, a specjalnie Wilna ostatnich lat dwustu. Stąd jego kult dla magnatów, ale tylko litewskich, Radziwiłłów, Tyszkiewiczów i Sapiehów, przy lekceważeniu dla wzbogaconych w XIX-ym wieku rodzin litewskiego „podśmietania”, a bezgranicznej pogardzie dla tegoż „podśmietania” z innych dzielnic, nawet Królestwa, cóż dopiero Galicji czy Poznańskiego. Specjalnie jego stosunek do Radziwiłłów zawsze mi przypominał stosunek japońskich samurajów do „Daimjo”, czyli do ich panów feudalnych: był to stosunek jak najdalszy od normalnego snobizmu, i stąd zamiast być śmiesznym i kabotyńskim, był pełen romantycznego uroku. Ci co nie znają, nie czują Polski szlacheckiej, barwnej i żywotnej, soczystej i oryginalnej, prapolskiej mimo wszystkich przywar, nigdy nie mogą ocenić Mackiewicza, cóż dopiero gustować w nim, czy w jego twórczości.

Obok tej bazy staro-szlacheckiej tkwiły w Mackiewiczu inne pokłady historyczne. Zawsze mnie dziwiło, że, przy zaledwie siedmiu latach różnicy, gdy chodzi o wiek, Mackiewicz był o tyle bardziej ode mnie człowiekiem *de la belle époque*, człowiekiem obyczajowo sprzed 1914 roku. Te jego cechy były mniej sympatyczne, niż jego szlacheckie archaizmy, i dużo bardziej mu zaszkodziły. Miał on erotyzm *belle époque*, miał także obzarstwo tej epoki, miał jej hedonizm, miał jej brak zrozumienia zjawisk ekonomicznych i socjalnych, jej przekonanie, że podział klasowy i społeczny jest niezmienny, że bogactwo — to jest użycie, i nic

więcej. Mackiewicz był skąpany, jako wydawca i redaktor, ale był zawsze gotów wydać nie tylko co miał, ale i czego nie miał na zaprosiny i poczęstunki: zarobiłem na nim niezmiernie mało, jeśli chodzi o honoraria, i nieprawdopodobnie dużo na mnie wydał, oczywiście przed wojną, zapraszając mnie na kolacje. Już przed wojną niesłychanie mnie irytowały jego wieczne „kaczuszki” u Simona i Steckiego, a tak samo, gdy go widział po raz ostatni w Paryżu, w roku 1963, musiałem ciągle walczyć z jego manią szukania drogich restauracji i drogich potraw. Smakoszem Mackiewicz nie był, lubił tylko drogie, kosztowne potrawy, zamawiał kolosalnie dużo, a zawsze szalenie wiele zostawiał na talerzu. Wyrzucał pieniądze przez okno, a całe życie był zaniebany, był abnegatem; przez kilka lat w Londynie chodził w zimie, w najgorsze mrozy i wichury, bez płaszcza, bo nie miał na kupno nowego, a stary mu się podarł na strzępy, a gdy miał parę groszy od razu wszystko wydawał na „winko” czy na złą kolację, ale w drogiej restauracji. Szalenie mu to szkodziło. Nasi politycy i dostojnicy zawsze źle gospodarowali, źle administrowali funduszami publicznymi, trwonili je najgłupiej, ale za to mieli przedziwny talent zaciskania pasa, także swych żon i dzieci, i tym spartańskim trybem życia odkupywali w opinii dużo gorsze przywary i przewinienia. Mackiewicz robił sobie nieograniczoną ilość wrogów tym szastaniem pieniędzmi. W społeczeństwie emigracyjnym, które, pod wpływem Anglii, stało się i purytańskie, i bardzo centusiovate, te Schönheitsfehlery Mackiewiczowi szkodziły. Brakowało Mackiewiczowi żyłki do ascetyzmu, która politykom jest zawsze pomocna. Swoim *côté Belle Époque* Mackiewicz stale i niepotrzebnie narażał się na łatwe zarzuty. Ale próżno było z nim na ten temat dyskutować: uwagi nie miały żadnego efektu. Nawet go podniecały *à rebours*. Kiedyś, w czasie wojny mi powiedział: „Taki jesteś oszczędny, tak strugasz tego małego tłumacza w Strattonie, tak się boisz o swą posadkę, a ja jednak zarabiam bez porównania więcej od Ciebie”. No pewno, że tak zawsze było. Mackiewicz zawsze potwornie narzekał na swą nędzę, a faktycznie zawsze zarabiał stosunkowo bardzo dużo, tylko zawsze wydawał jeszcze więcej, i zawsze bez sensu. Gdyby był człowiekiem rządym w interesach, nie byłby Mackiewiczem, nie byłby wielkim pisarzem ani wielkim publicystą, ale byłby człowiekiem dużo szczęśliwszym, i jako polityk miałby dużo większe wpływy.

Przeżyciom jego młodych lat należy może przypisać jego dwuisty stosunek do Rosji: antypatię polityczną i głębokie wycucie antagonizmu cywilizacyjnego polsko-rosyjskiego, a jednocześnie

namiętne zainteresowanie kulturą i myślą rosyjską a już prawdziwe umiłowanie, prawdziwą pasję do literatury rosyjskiej. Gdyby Mackiewicz nie był dziennikarzem i publicystą, gdyby życie skierowało go na karierę naukową, uniwersytecką, to zostałby rusycystą, zapewne największym rusycystą polskim XX wieku, i tylko w tej dziedzinie, poza publicystyką mógł on znaleźć i laury, i wewnętrzne zadowolenie. Kontrast między stosunkiem politycznym a uczuciowym i intelektualnym Mackiewicza do Rosji a stosunkiem endeków do Niemiec powinienby być przedmiotem specjalnego studium. Mackiewicz rozumiał Rosjan, w pewnym sensie ich podziwiał, nawet przeceniał, czuł się im bliski, znał ich język wybornie, nawet fenomenalnie, w mowie i piśmie, znał ich historię, ich literaturę, ich obyczaje, nawet ich religię: prawosławie kochał, bronił go zawzięcie, i nad wyraz je szanował. Zacytuję zdanie, które Mackiewicz kiedyś wobec mnie wygłosił, już bardzo dawno, jeszcze przed wojną. „Endecy są u nas tym, czym są Duchobory w Rosji, są kwintesencją narodu, ale tak samo jak Duchobory nigdy nie doszli do rządów w Rosji, i zawsze byli uciskani przez cerkiew prawosławną, choć byli esencją prawosławia, tak i u nas endecy nigdy nie dojdą do władzy, zawsze ich jakaś lewica czy jacyś Żydzi wykiwają”.

Nieraz się zastanawiałem, dlaczego moje reakcje wobec Rosji i kultury rosyjskiej były tak różne, tak diametralnie odwrotne od stosunku nie tylko St. Mackiewicza, ale także Józefa Czapskiego do samego zjawiska rosyjskości. Myślę, że na moją najgłębszą nie to już antypatię, ale jakby biologiczną odrzę wobec Rosji, wpłynęła bardzo silnie tradycja Stańczykowska: w Krakowie wszystko co rosyjskie było *eo ipso* barbarzyńskie i wschodnie, ohydne i nikczemne, obrzydliwe i godne tylko pogardy. Echa tej tendencji można było znaleźć też u Stan. Kota, który na użytek prywatny był bardzo anty-rosyjski, gdy tylko zapominał, że antyrosyjską była także „sanacja”. Ale myślę, że na filorosyjskość Mackiewicza i Czapskiego wpłynęły dwa momenty. Po pierwsze, obaj poznali Rosję w Petersburgu, a stolica zawsze ma uroki i siłę atrakcyjną, której nie ma prowincja: Anglia wydaje się też atrakcyjniejsza z Londynu, niż z Bradford, a Francja z Paryża, niż z Noeux-les-Mines. Carski system ucisku, tępota, brutalność, chamstwo caratu znacznie bardziej rzucały się w oczy w prowincjonalnym Humaniu czy Kijowie, niż w eleganckim, wysztyftowanym, powierzczośnie zeuropeizowanym Petersburgu. Powtórę najwrażliwsze lata, gdy się pierwsze poglądy zaczynają formować, to znaczy okres 13-15 roku życia, przypadł u Mackiewicza i Czapskiego na najbardziej liberalne lata caratu, ostatnie lata pokoju, dobrobytu, kiedy stara powłoka mongolska trochę znikła pod polem zewnętrznym. Gdy ja doszedł do tych lat, widzia-

łem na Ukrainie rewolucję, wojnę domową, terror CZEKA. Ja w gimnazjum rosyjskim zapoznałem się tylko z „Chrestomatją”, oni, Mackiewicz i Czapski, z literaturą rosyjską. Tym się tłumaczy odmienność reakcyj Mackiewicza i Czapskiego od reakcji pokolenia nie tylko odrobinę młodszego, jak moje, ale także starszego: Piłsudskich, Kucharzewskich, Studnickich. Ci mogli się niekiedy wydawać zruszczeni, może nimi byli, ale oni poznali Rosję nie w Petersburgu, ale w „Priwislińskim” czy „Siewerno-zapadnom kraje”, i dla nich Rosja — to był policjant i żandarm, i ucisk, a nie „szczegolajuszczuje” złoci młodzieńcy Petersburga, czytający Błoka czy Mereżkowskiego, Filosofowa czy Sołowjowa.

Wrócę jeszcze kilkakrotnie do tego kulturalnego „rusofilizmu” Mackiewicza, który sprawia, że między jego „rusofobią” a „germanofobią” endeków nie ma żadnej wspólnej miary. Przeciwnie, jeżeli Mackiewicz miał jakieś szanse dogadania się z jakimś narodem, prowadzenia z nim rozmów — to tylko z Rosją, a za to przeniżył z Niemcami.

Nic nie wiem o latach uniwersyteckich Stasia. Wiem że studiował prawo w Warszawie, że słuchał głównie wykładów prof. Petrażyckiego. O tym Petrażyckim lubił mówić, nieraz się na niego powoływał, twierdził, że to był wielki umysł i genialny prawnik. Ze wstydem się przyznaję, że dzieł Petrażyckiego nie znam i nic o nim nie wiem, poza tym, że był wychowankiem jakichś rosyjskich uniwersytetów: miał być w ogóle wielce zruszczały. Moi profesorowie krakowscy jednomyślnie uważali go za szarlatana i nieuka: to żaden prawnik, mówili zgodnie Zoll, Fierich, Rostworowski, Estreicher. Mackiewicz zawsze się rzucał i oburzał, gdy mu te opinie cytował. Uważam Mackiewicza za fenomenalnego publicystę, wielkiego pisarza, znakomitego rusycystę, ale prawnikiem był bardzo słabym: czepiał się szczegółów, miał mentalność kazuiperdy, a nie jurysty: nigdy nie rozumiał *uniwersalizmu* prawa, które nie zna wielkich ludzi, ani racji stanu, ani celów politycznych, które albo musi być nadrzędne, albo go nie ma. Kult jednostki nigdy i nigdzie nie da się pogodzić z rządami prawa. W ogóle, mimo swego magisterium z prawa, Mackiewicz robił na mnie zawsze wrażenie samouka. Wiedział szalenie dużo, bo szalenie dużo przeczytał, i miał świetną pamięć, ale metody naukowej czy prawniczej zawsze mu brakło. I specjalnie, choć lubił mówić i pisać o prawie, zwłaszcza konstytucyjnym, robił w tej dziedzinie wrażenie amatora, a więc fantasty.

Większe od Petrażyckiego piętno wycisnęło na nim zapisanie się do „Zetu”, który był jakimś tajnym związkiem studenckim, wyrosłym z Endecji, a który potem przerodził się w tak zwaną

„Naprawę”. Nie wiem doprawdy, co sprawiło, że Mackiewicz zapisał się na uniwersytecie warszawskim do „Zetu” a nie do POW, która była ostatnią kadram, z której rekrutowali się „autentyczni” Piłsudczycy. Gdyby był do tej POW wstąpił, całe jego życie potoczyłoby się inaczej. Tak samo nigdy nie zrozumiałem, co sprawiło, że się z tych konwentów Zetowych wyłamał, dlaczego później Naprawy tak nienawidził, i co jej zarzucał. Wiem z całą pewnością, że jej wpływy i znaczenie nieprzypadkowo przesadzał. Tak jak dla wielu endeków tajemniczy „masoni” tłumaczyli wszystko i byli uosobieniem „Zła”, tak Mackiewicz do końca węszył konspirację Naprawiaczy i podejrzewał, że knują najgorsze intrygi. Podejrzliwość, iście litewska, była jedną z jego cech wrodzonych, ale gdy chodziło o „Naprawiaczy” nie było dziwactwa czy dziecinnady, w którą by Staś nie uwierzył, jeżeli ktokolwiek mu powiedział, że za tym kryje się ręka Naprawy. W jego oczach Naprawiacze wyrastali do tytanów, stanowili groźną mafię, obejmującą mackami jeżeli nie cały świat, to całą Polskę. Przez lata Kazimierz Okulicz miał być wodzem tej straszliwej mafii „Naprawy” w Wilnie, i czego się nasłuchiwałem na jego temat! Inna sprawa, że Okulicz wydawał w Wilnie pismo codzienne, a to Mackiewicz uważał zawsze za jakby zamach na jego pierworodztwo, za osobistą obrazę: gdy Okulicz stracił „Kurier Wileński”, od razu cała nienawiść Mackiewicza do niego znikła, i zamieniła się w najserdeczniejszą przyjaźń: nie wątpię, że był mu najbliższym człowiekiem na emigracji i tym do którego miał najwięcej zaufania. Słuchając tych bajek o Okuliczu, wyobrażałem go sobie, jako groźnego węża: wzrok dziki, suknia plugawa. Poznając w Londynie tego tak doskonale, tak idealnie wychowanego człowieka, tak dystygowanego, tak przystojnego, tak rasowo-szlacheckiego, nie mogłem wierzyć, że to miał być ten przerażający radykał, naprawiacz, spiskowiec, ten supermason i Książę Mocy Piekielnych. Zdaje mi się, że Sławek podzielał te hyzie na temat Naprawiaczy, i sam Mackiewicza w nich utwierdzał: w każdym razie doskonale pamiętam, jak w 1934 roku Mackiewicz stałe z uporem mi tłumaczył, że jest potworny spisek przeciw Sławkowi, że Naprawa ciągnie wszystkie sznurki tego spisku, i że na czele jego stoi... Prystor. Henryk Łubieński i ja (bo obaj byliśmy wówczas dopuszczeni do tych przerażających konfidencji) truchleliśmy, słysząc o tej „zbrodni niesłychanej”, i czasem wtracaliśmy nieśmiało: „Ależ Stasiu, to niemożliwe”. „Tak, tak, na pewno” zaperzał się Mackiewicz, „z całą pewnością Prystor stał się narzędziem Naprawy, by wykończyć Sławka u Marszałka!” (Mackiewicz nigdy, na szczęście, nie używał pretenjonalnego „komendanta”, „dziadka”, „Ziuka” i innych zwrotów: po wojnie już zawsze mówił tylko „Piłsudski”).

Ale i w tej antypatii do „Naprawy”, która go cechowała do końca życia, Mackiewicz też nie był konsekwentny. Niby to się kłócił z Katelbachem, który miał być jednym z przywódców Naprawy, a wiecznie się z nim kumał. Co ważniejsze, miał pewnego rodzaju kult dla samego „wodza” Naprawy, którym był niejaki Kazimierz Wyszyński, radca naszej ambasady w Moskwie, potem w Berlinie, gdzie umarł nagle na serce przed wojną. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie tylko Mackiewicz miał rodzaj kultu dla tego Wyszyńskiego, ale tak samo drugi mój niezapomniany przyjaciel, Adam baron Heydel, profesor U.J., zamordowany w Oświęcimiu, który dla odmiany był namiętnym endekiem, a do Mackiewicza odnosił się nader namiętnie: otóż Heydel też wpadał w rodzaj transu, gdy była mowa o Wyszyńskim, głosił, że to wielki człowiek, że to kolosalna inteligencja. Spotkałem K. Wyszyńskiego i w Moskwie i w Berlinie, miałem zaszczyt wysłuchać parę razy jego monologów, i wydał mi się bardzo przeciętnym, mętnym umysłem, oderwanym od rzeczywistości, mówiącym banały w sposób skomplikowany. Musiał mieć chyba coś z hipnotyzerą, ze swą czarną bródką i zamglonym wzrokiem, którym patrzył jakby w jakiś punkt niewidoczny, bo inaczej nie mogę sobie wytłumaczyć tej admiracji dla niego dwóch ludzi tak naprawdę wybitnych i niepospolitych jak Mackiewicz i Heydel. Nawet po wojnie Mackiewicz czasami wspominał Wyszyńskiego, i zawsze z atencją, i zawsze z jakby wewnętrznym *coup de chapeau*.

Łatwiej sobie mogę wyobrazić głębokie bruzdy, które w duszy Mackiewicza wyorała jego służba wojskowa w partyzantce Dąbrowskiego, później już w randze porucznika, a nie prostego ułana, w 13-ym pułku ułanów wileńskich. Tu wszystko jest zrozumiałe. Dla młodego chłopaka ze szlacheckiej rodziny cóż naturalniejszego, niż wsiąść na koń w obronie rodzinnego kraju? Tę partyzantkę Mackiewicz kochał wszystkimi fibrami swej duszy: wszak to było tylko nowe wydanie pospolitego ruszenia, a także „Trylogii”, cóż mogło bardziej stwarzać iluzję, że oto znowu powstanie Wielkie Księstwo! Myślę, że te dwa lata szabli i konia, gwizdu kul i podjazdów, zasadzek i szarż — to były dwa najszczęśliwsze lata w życiu St. Mackiewicza, te które najbardziej ukochał, najgłębiej przeżył: dały one, a także jego bratu, bezcenne podłoże artystyczne i uczuciowe: żaden z nich bez tej kampanii, może jeszcze bardziej 1919, niż 1920 roku, nie doszedłby do wyżyn artyzmu, który stał się obu braci udziałem. Różnice w ich charakterze, w ich twórczości tłumaczą się m.in. tym, że Staś został do końca wpatrzony w kampanię 1919 roku, kampanię

piękną, pogodną, szczęśliwą, a Józio przeżył całą potworność dwuletniej okupacji sowieckiej, której Staś szczęśliwie uniknął. Gdyby Stanisław nie uciekł zaraz do Kowna i na Zachód, a ukrywał się w Wilnie w latach 1939-41, to by też jego stosunek do Polski dzisiejszej nabrał innego tonu, skurczu nienawiści, zacieklej nieublaganej wrogości.

Nasza wojna 1919-20 roku była ostatnią wojną romantyczną, a więc ostatnią wojną którą można opiewać, jako piękną, jako „wojenkę”, a nie widzieć w niej odrażającej i haniebnej rzezi. Literacko ta wojna opłaciła się w wielu utworach niezwykle pięknych, może się opłaci jeszcze kiedyś w jakiejś nowej „Trylogii”. Ale politycznie zapłaciliśmy za nią wysoką cenę w 1939 roku: zaryzykowaliśmy lekkomyślnie walkę, w której nie mieliśmy ani jednej szansy zwycięstwa, zaufaliśmy aliansom z ludami, które pamiętały nie partyzantki i picie wody z „kowszyków” koło ukwieconych chat chłopskich, lecz błocko, i okopy, i trupy Verdun i Flandrii.

Bez tej kampanii 1919 r., Mackiewicz jest nie do pomyślenia, jego kult Piłsudskiego, jego partytyzm Wielkiego Księstwa byłyby niezrozumiałe. Tak samo głęboki mir, którym się cieszył w Wilnie i w całej Polsce. Bitwy są dziełem nie tylko wodzów, ale także prostych żołnierzy. Gdy jedno z pism londyńskich umieściło plugawą i nikczemną napaść na grób Mackiewicza, w obronie jego pamięci pierwsi stanęli jego dawni koledzy z oddziału Dąbrowskiego i z 13-go pułku ułanów. To świadczy, że w naszym emigracyjnym społeczeństwie elementarne i szlachetne poczucie koleżeństwa broni nie wygasło, że honor żołnierski, bez którego armii być nie może, jeszcze nie wymarł. Być może kiedyś jakiś dowódca polski odda hołd żołnierski wolontariuszowi tych walk zamierzchłych a chwalebnych. Przekreślanie minionych zasług wojennych, z powodu różnic politycznych czy to w wypadku wyboru miejsca dla grobu Pétaina, czy to w wypadku pogrzebu Weyganda, czy zgonu Mackiewicza, zawsze się zemści. Wobec śmierci nigdy nie można być dość rycerskim. Specjalnie żołnierze wobec śmierci dawnego żołnierza.

Tylko z jego opowiadań wiem coś o pierwszych krokach Mackiewicza, gdy w wieku lat 26 zakładał „Słowo”. Znowuż był to krok, który decydująco zaważył na jego życiu. Prawie wszyscy nasi czołowi publicyści mieli za sobą służbę państwową, profesurę, albo zawodową karierę wojskową. Mackiewicz nigdy nie był ani przez sekundę urzędnikiem, i to także było w zurzędniczałej Polsce pomajowej, cóż dopiero powojennej, zupełnym wy-

jątkiem. To znowuż stworzyło pewien dystans pomiędzy Mackiewiczem a przeciętnym jego czytelnikiem: tylko w pierwszych latach wychodzenia „Słowa” ziemianie stanowili może wśród nich większość, w każdym razie element poważny, potem było to typowe pismo inteligencji kresowej, zanim się stało, i to wyłącznie dzięki talentowi Mackiewicza, ulubioną lekturą całej opozycyjnej czy frondującej inteligencji ogólnopolskiej. Mimowoli urzędnik, tym bardziej pseudo-dziennikarz, a *de facto* propagandzista, urzędnik prasowy, etc. znajdował łatwiej wspólny język z byłym czy urzędującym ministrem, wiceministrem, generałem czy co gorzej szefem policji, niż z człowiekiem, który nigdy nie potrzebował się nikogo pytać o pozwolenie, o aprobatę, o podwyżkę. Największym luksusem, jaki Mackiewicz sobie zdobył, to była niezależność; i tego luksusu, bardziej niż jakiegokolwiek innego, zazdrozczono mu, i nie chciano mu darować.

Zawód publicysty, zwłaszcza w piśmie codziennym, jak każdy zawód, musi wywołać pewne deformacje profesjonalne. Pisze się za szybko. Pisze się na zbyt wiele tematów, co wywołuje wrażenie powierzchowności. Pisze się często o sprawach zbyt błahych. Z natury rzeczy ten codzienny publicysta musi patrzeć na sprawy i rzeczy przez szkło powiększające. Wszak trudno mu, choćby ze względów komercyjnych, każdy artykuł zaczynać od stwierdzenia, że sprawa jest błaha, że nie warto jej omawiać, że w gruncie rzeczy nic się przez to nie zmienia. Gdy pismo jest bogate, wychodzi w wielkiej stolicy, to łatwiej o tematy. Ale w ubogim, biednym, zafanym, zahukanym Wilnie nic się nie działo. Absolutnie nic. I było doprawdy cudem, że przez siedemnaście lat, w tej zapadłej dziurze, gdzie „Słowo” było jednym tematem rozmów, gdzie „wojny” „Słowa” z wojewodą, z naczelnikiem wydziału bezpieczeństwa, z arcybiskupem, z innymi pismami były jedynym ewenementem w beznadziejnej szarudze codziennej, Mackiewicz potrafił tylko swą pasją, tylko swą inwencją, tylko swymi nerwami alimentować tę ubogą kronikę, stwarzać pozory jakiegoś życia, jakichś sporów, słowem pozory że się coś dzieje.

Ale za to się płaci. Mackiewicz dokonał prawdziwego cudu, przerzucając się po 17-tu latach pisania o północy wstępniaków na broszury, a potem na pisanie książek. Ale, moim zdaniem, nigdy, ani w londyńskich broszurach, ani w londyńskich i powojennych książkach nie doszedł on do tego mistrzostwa, które charakteryzuje jego publicystykę, to znaczy jego artykuły w „Słowie”, specjalnie w latach 1935-39, po śmierci Piłsudskiego, kiedy stał się naprawdę i całkowicie niezależny, tracąc mandat do Sejmu,

przechodząc do najzaciętszej opozycji, która go doprowadziła do Berezy. Najlepszy sposób uczczenia Mackiewicza — to wydanie zbioru jego artykułów wstępnych ze „Słowa”, i to właśnie głównie z lat 1935-39, który to okres stanowi punkt szczytowy w jego życiu i karierze. Trzeba zrobić pewną selekcję, opuszczając rzeczy drobniejsze, trzeba będzie komentarzy, bo przecie to są czasy dzisiaj dla młodego pokolenia niezrozumiałe, omal bajeczne. Może w Warszawie, gdy wreszcie obecne Apuchtiny odejdą, uda się komplety „Słowa” odnaleźć, i może Aleksander Bocheński, który na cmentarzu pożegnał tak serdecznie Mackiewicza, zdoła ten wybór zrobić, i komentarz napisać. Będzie to najlepsza forma uczczenia pamięci Mackiewicza. Po dziś dzień się w duchu śmieję, gdy przypominam sobie, artykuł Stasia o „zakładzie” Friedmana w posesji Zwierzyńskiego, wydawcy pobożnego „Dziennika Wileńskiego”, na Mostowej 1. Ależ się cała Polska wówczas zarykiwała od śmiechu! Albo ta replika Mackiewicza na głupawą wypowiedź jakiegoś wojewody, który polszczył nabożeństwa w cerkwiach prawosławnych, argumentując, że przecie może do takiej cerkwi przybyć w czasie inspekcji sam pan marszałek Piłsudski, i że byłoby skandalem, gdyby musiał asystować nabożeństwu, które nie byłoby w języku państwowym. „Czyż ten kretyń nie wie, grzmiał Mackiewicz, że marszałek Piłsudski nigdy w życiu nie mógł być obecny na nabożeństwie w języku 'państwowym', bo jako katolik, wysłuchuje mszy św. zawsze tylko po łacinie!” Co prawda, było to przed reformami Watykanu II.

Książki Mackiewicza, mimo całego talentu, wydają mi się zawsze kompozycyjnie nieco słabsze, zawsze mi się wydają zbiorem felietonów, czy szkiców, czy artykułów, a nie dobrze przemyślaną całością. Każdy rozdział zwykle kończy się pewnym efektem, co w artykule jest konieczne, w książce razi. Pozbawienie Mackiewicza warsztatu w postaci codziennego dziennika było wyrządzeniem mu najgorszej krzywdy, ucięciem mu skrzydeł, i nic mu jej naprawić nie mogło. Jeśli chodzi zaś o książki wydane przez niego w Polsce, to musiał się bez końca użerać o każde słowo z cenzurą: a ta obcinała mu całe rozdziały. „Jeszcze Piłsudskiego przepuszczają, mówił mi już po powrocie do Polski, w Paryżu, ale z całego rozdziału o Dmowskim nie zostawili ani słowa. Dla nich cała historia Polski, to historia antysemityzmu. Dmowski był rusofilem, tego nie wolno napisać, bo był antysemitą. Natomiast wolno pochwalić Piłsudskiego, bo im się wydaje, że walczył z endecją tylko o sprawę żydowską, a że był antyrosyjski, to, w porównaniu, wydaje się im głupstwem”. Jeżeli kiedyś książki Mackiewicza, te warszawskie, będą ponownie wydane, trzeba będzie koniecznie uzupełnić z manuskryptów brakujące rozdziały i zdania.

Poznałem Mackiewicza w kilka dni po zamachu majowym, zapewne na jakimś konwentyklu konserwatywnym, ale niestety nie pamiętam wcale tego pierwszego zetknięcia. Musiałem tego dnia poznać wiele osób, i wszyscy mi się pomieszali. Wiem atoli, że Mackiewicz zaraz mnie zaprosił do siebie, do Wilna, i stamtąd datują się me pierwsze o nim wrażenia. Był wówczas bardzo szczupły, nosił modne wtedy, tak zwane *pumphoseny*, po angielsku „plus-Fours”, co przy jego bardzo krótkich nogach nie było dla niego twarzowe. To ubranko było koloru ceglastego, do tego dochodziła cyklistówka. Mieszkał już wówczas bardzo wspaniale, w pałacyku Jana Tyszkiewicza z Waki, na Zygmuntowskiej, tuż na brzegu Wilii, tam też poznałem jego żonę, która była bardzo zącną i dobrą kobietą, niestety o walorach idealnych dla dobrego hreczkosieja, ale nie tych, których szukał i potrzebował człowiek tak nerwowy, fantazyjny i kapryśny, jak Mackiewicz. Staś był wobec mnie idealnie serdeczny i koleżeński: był to pierwszy i ostatni raz w życiu, żem poczuł coś co mógłbym nazwać koleżeństwem partyjnym czy ideowym. Wypił ze mną z miejsca brudera, co było dla mnie wielkim zaszczytem: wszak Mackiewicz stał już u szczytu kariery, był redaktorem własnego pisma, wziął udział w zamachu majowym, dyktator go przyjmował, Sławek stale do niego dzwonił, przygotowywał Nieśwież, a miał zaledwie lat 30. Mackiewicz zaprosił mnie też do napisania artykułu wstępnego w „Słowie”: z właściwym sobie wówczas liberalizmem rzekł mi, bym napisał co chcę, i że to wydrukuje, jako artykuł anonimowy, więc redakcyjny. Napisałem, zgodnie z mądrością mych krakowskich mentorów, że byłoby najlepiej, by Sikorski pogodził się z Piłsudskim, i by razem budowali Polskę etc. Gdy Mackiewicz ten piękny elaborat przeczytał, był nieco nieśwój, ale rzekł: „no trudno, dość to ryzykowne, nie zgadzam się, ale obiecałem, niech to idzie”. I poszło. Tegoż dnia Sławek dzwonił do Mackiewicza: „Panie Stanisławie, co się stało, nic nie rozumiem, skąd ten Sikorski, co to ma znaczyć?” Mackiewicz jakoś tę sprawę zagadał, i skończyło się na niczym, mej *identité* Sławkowi nie zdradził. Później, w Londynie, gdy wydawał „Lwów i Wilno”, które przecie nie miało żadnego znaczenia, jak cała prasa emigracyjna, już był się zaraził powszechną manią cenzurowania, i kreślił moje artykuły niemiłosiernie. A cóż tam mogło być? Nie mam dzisiaj pojęcia, ale na pewno nie zabierałem głosu w sprawach „drażliwych” to znaczy personalii londyńskich, musiałem snuć jakieś rozważania na temat Anglii, Stanów, Francji, ale Staś kreślił i ścinał, i nieraz z mego artykułu zosta-

wało tylko 20 linijek, bo, krzyczał, musimy pilnować naszej linii, to nie po naszej linii etc. *Pluralis majestaticus*, a przecie dobrze wiedział, że wiem, iż się z niczyją opinią nie liczy. W 1926 roku istniał jeszcze w Polsce, nawet w Wilnie, świat liberalny XIX wieku, a w 20 lat później nie było go nawet w Londynie.

Ale z pierwszych ośmiu lat naszej znajomości pozostało mi tylko bardzo niewiele wspomnień. Po pierwsze prawie cały czas znajdowałem się przez te osiem lat zagranicą. Gdym wpadał do Polski, widywałem Stasia dość mało; byłem na szczęście człowiekiem normalnym, zajmowałem się kobietami a nie polityką, więc ledwo pamiętam, gdzie go spotykał i o czym była mowa. Dopiero w r. 1934, po moim powrocie z Japonii, nasze stosunki się naprawdę zacieśniły i stały się istotnie zażyłe.

Widywałem go najczęściej w hotelu Sejmowym, gdzie Mackiewicz zatrzymywał się, a jako poseł bywał często w Warszawie. Był już wówczas bardzo otyły, wyglądał mniej więcej tak jak za ostatnich czasów, ze szczupłego młodzieńca nie zostało ani śladu. Miał dopiero lat 38, a wyglądał na pięćdziesiątkę. Zwykle zachodziliśmy do niego z Henrykiem Łubieńskim, który już wówczas współpracował intymnie ze „Słowem”, często Staś zapraszał nas na kolację, albo też odprowadzaliśmy go na dworzec, gdy wyjeżdżał do Wilna. Mackiewicz wtedy wyżywał się w Sejmie, był członkiem komisji konstytucyjnej, i bardzo był przejęty swoją w niej rolą. Oczywiście nigdy na posiedzeniu tej komisji nie byłem, ale sądzę, że jego rola i w komisji, i w Sejmie w ogóle, była bardzo niewielka. Adiutantował Sławkowi, Carowi, Podoskiemu, i na tym koniec. Już mówiłem, iż według mnie Mackiewicz nie miał talentów prawniczych, a tym bardziej nie miał talentów parlamentarnych. Parlament — to sztuka kompromisów, sztuka stosunków, sztuka kuluarów, a przede wszystkim sztuka słuchania nudziarzy, i kaptowania ich cierpliwym wysłuchiowaniem ich banałów, udając zainteresowanie. Na to wszystko Mackiewicz był zanadto niecierpliwy, zanadto też złośliwy, zanadto wreszcie zajęty sobą i swymi pomysłami. Cały jego geniusz polegał na dziennikarstwie i na publicystyce, parlament był dla niego obciążeniem, kulą u nogi, kagańcem, zarówno w postaci Sejmu, jak później Rad Narodowych na emigracji w Paryżu i w Londynie. O ile mi wiadomo, w Sejmie Mackiewicz zawsze się dawał ponieść temperamentowi, wierności, albo pogoni za dowcipem. Poza Sławką, którego szczerze i głęboko kochał, tak jak Piłsudskiego i Janusza Radziwiłła, miał w Sejmie uznanie tylko dla Strońskiego i Miedzińskiego, i cyto-

wał ich dowcipy: reszta go nudziła. Cenił ich obu też jako dziennikarzy, może aż przesadnie. Poza tym zawsze wolał Żydów-nacjonalistów od Żydów zasymilowanych. Niecierpiał Liebermana, a Szwarcbarta szanował i lubił zarówno w Sejmie, jak i w londyńskiej Radzie Narodowej.

W tej smutnej Polsce ostatnich lat Piłsudskiego, nasze rozmowy schodziły często na temat następstwa. Z niesłychanym zażenowaniem Mackiewicz bronił tezy, że następcą Piłsudskiego będzie Sławek. Oponowałem, twierdząc, że wierzę tylko w rozum, i że, w myśl tej teorii, następcą Piłsudskiego będzie Beck albo Matuszewski. Pamiętam, jak na to Mackiewicz nie krzyczał, a ryczał: „w polityce zwycięża nie rozum, a charakter”, przy czym to słowo „charakter” skandował swym wyrazistym i niezapomnianym akcentem wileńskim. „Sławek musi wygrać, bo Sławek — to charakter”. No cóż, omylił się. Dzisiaj kiedy wspomnam te czasy, smutno mi się robi na myśl, jakimi pigmejskimi sprawami zajmowaliśmy się. Ale co się tak bardzo temu dziwić? Czy inaczej wygląda sytuacja we Francji, chociaż kraj to o tyle bardziej wyrobiony, i jego sytuacja jest o tyle miliardów razy lepsza?

Z tegoż okresu pamiętam inny epizod: byłem kiedyś w Wilnie, jako gość Mackiewicza, razem wracaliśmy do Warszawy nocnym pociągiem. Nagle na dworcu przeszedł obok nas Rydz, który wówczas był tylko Inspektorem Armii w Wilnie; szedł w kierunku swej salonki w towarzystwie dwóch adiutantów, Mackiewicz był zaskoczony, bo zauważył go dopiero w ostatniej chwili, i zrobił naturalnie *le grand coup de chapeau*. „Pan Redaktor do Warszawy na posiedzenie Sejmu?” — zapytał poufale Rydz ze swym uśmiechem. Mackiewicz coś bąknął, Rydz uściśnął mu rękę i poszedł dalej. Nasza rozmowa naturalnie zeszała na Rydza, którego Mackiewicz mało znał, ale wyczułem, że go nie lubi, i nie ma do niego zaufania.

Naprawdę najbliższe stosunki wiązały mnie z Mackiewiczem w czasie czterech lat, które upłynęły między śmiercią Piłsudskiego i nieszczęsnym wrześniem. Mackiewicz stracił mandat, a odejście Sławka rozwiązało mu definitywnie ręce: wycofanie się faktyczne księcia Janusza z polityki uczyniło go wolnym jak ptak: przez cztery lata, pisał co chciał, nie liczył się z nikim, folgował wszystkim swym awersjom, antypatiom, i stał się z podrzędnego akolity Piłsudczyzny człowiekiem potężnym, czytany w całej Polsce, zupełnie niezależnym i w dodatku po raz pierwszy i ostatni w życiu stojącym naprawdę świetnie finansowo. Express z Wil-

na przychodził do Warszawy o 2-giej pp., i z miejsca pojawiał się tylko w samym kiosku dworca głównego stos pięciuset egzemplarzy „Słowa”; wszystkie były przed wieczorem wysprzedane. Przed kioskiem, już przed drugą, stała kolejka przygodnych klientów i gości warszawskich redakcyj, które chciały mieć „Słowo” natychmiast. Był to fenomenalny sukces, na Polskę zupełnie zawrotny: gdyby nie Bereza i wojna, Mackiewicz ze swym „Słowem” stałby się szybko milionerem, namyślał się nawet czy się nie przenieść ze „Słowem” do Warszawy, bo oczywiście w Wilnie nakład musiał być ograniczony. Sam był zdumiony swym powodzeniem. „Przysięgam sobie, mówił mi już w rok po śmierci Piłsudskiego, że odtąd nigdy żadnego rządu popierać nie będę, chyba że będę sam jego premierem”. Mackiewicz nareszcie odkrył swe powołanie: wielkiego dziennikarza opozycyjnego, batożącego rząd, nie mającego względów dla nikogo. Rola jego była większa od jego odpowiednika francuskiego, Léon Daudet, którego zresztą całe życie czytał z nabożeństwem: bo we Francji politycy są ludźmi większego formatu, każdy umie pisać, każdy umie wygłosić mowę, a w Polsce poziom polityków, sanacyjnych czy innych, a także dygnitarzy, wojskowych czy cywilnych, był tak nieprawdopodobnie niski, że przy najlepszej woli dzienniki nie mogły cytować tej sieczki, opozycyjnej czy oficjalnej i półoficjalnej. I stąd cała prasa informacyjna, jak „Wieczór” i „Goniec Warszawski” Strzetelskiego, żyły z Mackiewiczem: przedrukowały dzień w dzień całe szpalty jego wstępniaków, plus plotasy Łubieńskiego na pierwszej stronie „Słowa”. Wszystko to zaopatrywano w kłamry: „jak pisze 'zagończyk' Mackiewicz”, i hajda, paręset linijek ściągaczki. Te dwa wieczorniaki robiły na tej ściągaczce wielki interes, a przrządowe Czerwoniaki, którym policja Wyżła zabraniała przepisywać Mackiewiczem, codzień traciły czytelników.

To był ten okres największego znaczenia, największej roli Mackiewiczem, dużo większej, niż kiedy był u Piłsudskiego w Sulejówku i w Druskiennikach, czy był przez niego proszony na Dworcu Wschodnim w Warszawie 13 maja 1926 roku o odszukanie ks. Zdzisława Lubomirskiego (Księcia-regenta, jak go nazywano w Warszawie), by mu w imieniu Piłsudskiego proponować prezydenturę R.P., kiedy był posłem na Sejm i konferował godzinami ze Sławkiem i resztą starszyny legionowej. Mackiewicz był genialnym publicystą, i nieustraszonym opozycjonistą, i na tym punkcie był nie do pobicia, a na każdym innym terenie, sejmowym, tym bardziej partyjnym czy administracyjnym, czy dyplomatycznym, czy ideologicznym, czy prawnym był bezsilny i nieefektywny. Gdyby Rydz go nie zamknął do Berezy, i gdyby do wojny nie doszło, to kto wie, czy by Mackiewicz nie dopro-

wadził do kryzysu w rządzie, tak bowiem potrafił zdepopularyzować Rydza i rząd Sławoja. Czy by natomiast potrafił wpłynąć, by następny rząd składał się z ludzi mu miłych, to inna sprawa. Jego talenty były negatywne. Był straszny w ataku, dużo słabszy w obronie. Jego prawdziwym zadaniem było walczyć w opozycji, stąd powinien być stale i zawsze skrajnym liberałem, wrogiem wszelkiej „silnej władzy”, wrogiem każdego „wodza”, każdego „wielkiego człowieka”. Obrona wolności prasy, prawo do nieograniczonej krytyki, oto były jego dwa szlagiery, jego dwie forty, które powinien był wygrywać całe życie. Niestety tylko przez niespełna cztery lata mógł tę swą naturalną rolę, swe prawdziwe powołanie spełniać. Poza tym miał stale na sobie kaganiec. Przez dziesięć lat, od przewrotu majowego do śmierci Piłsudskiego, sam go sobie na usta nałożył. Potem zajęli się tym redaktorzy, oraz wszystkie sfery „urzędowe” na emigracji, potem reżym warszawski. Mackiewicz doskonale to rozumiał. „Na emigracji byłem upiorem, w kraju jestem niewolnikiem” powtarzał, gdyśmy się widzieli po raz ostatni w Paryżu, trzy lata temu.

Dodam osobistą impresję, co do powodów jego ohydnych porwania i osadzenia w haniebnej Berezie, która obciąża cały reżym sanacyjny. W chwili aresztowania Mackiewiczem nie było mnie w Polsce, siedziałem we Francji, dokładnie na Riwierze. Ale pamiętam doskonale naszą wspólną kolację u Simona i Steckiego, jak zawsze naturalnie z „kaczuszką”, za którą Mackiewicz przepadał. Było wielkie przepełnienie, obok siedzieli liczni nieznajomi, ale Mackiewiczem oczywiście wszyscy znali z widzenia. Pamiętam, jak nieprzytomnie ryczał na Rydza, wymyślając mu od najgorszych słów, że bałwan, że łamie konstytucję dekretem Sławoja, że przyjęciem buławy znieważa pamięć Piłsudskiego, nazywał go bękartem popa z Brzeżan, etc. Pamiętam, że włosy mi stawały na głowie, że z przerażenia nie dotknąłem ani kąska tej świetnej „kaczuszki”, że błagałem go bez przerwy: „Stasiu, na miłość Boską ciszej, przecież na Krakowskim Przedmieściu słyhać co ty wygadujesz, Stasiu, przecież wszyscy ci kelnerzy, to łapsy, mów to wszystko, ale jak wrócimy do twego numeru w hotelu etc.”. Nic nie pomagało, wrzeszczał coraz głośniejsze i coraz zapamiętalej. Pamiętam, jak sam Matuszewski w mojej obecności mu mówił: „Panie Stanisławie, niech pan naprawdę uważa, bo Rydza nie interesuje co pan pisze, on prasy nigdy nie czyta, ale łapsy znoszą mu co pan na niego wygaduje, a na to jest bardzo wrażliwy!”. Nic nie pomagało. Furia Mackiewiczem na Rydza płynęła stąd, że uważał, iż stając się Marszałkiem, drugą osobą w Państwie, pomniejszył on Piłsudskiego, zredukował go do własnych rozmiarów. Atakując wściekle Rydza, Mackiewicz był najgłębiej przekonany, że spełnia święty obowiązek sumienia

wobec pamięci Piłsudskiego, że ratuje jego aureolę przed historią. I nic nie mogło go z tej drogi zawrócić. Podobnie jego furia na Becka płynęła głównie stąd, że uważał on, iż Beck „zdradzał” testament Piłsudskiego, że Piłsudski byłby zupełnie inaczej politykę polską w okresie Monachium, a zwłaszcza potem pokierował.

Już w Londynie, i to po wojnie, zapytałem się kiedyś Stasia, kogo uważa za gorszego: Sikorskiego czy Becka. Odkrzyknął z miejsca: *Ambo meliores*. Ale po chwili poprawił się: „nie, nie, wołał, nie można jednak porównać, Beck był oczywiście sto razy gorszy, Beck — to była w ogóle potworna figura...”



Prawdziwie aktywna rola Mackiewicza, jak i nas wszystkich, skończyła się 1-go września 1939 r.: w dniu tym państwo polskie załamało się, nasza polityka zagraniczna legła w gruzach, zawiodły zarówno pakt nieagresji z sąsiadami, jak i nasze aliansy z Dalekim Zachodem, tradycyjna klasa rządząca, jak i jej *skartabellat* sanacyjny, a więc obie warstwy, z którymi Mackiewicz był nie tylko przeszłością ale i wszystkimi fibrami swej namiętnej natury związany, przestały istnieć, jako siły polityczne. Pozostały, w kraju i zagranicą, akty bohaterstwa, cierpienia, oraz tak zwana propaganda, pojmowana zresztą tak opatrnie i prymitywnie, że poza urzędniczkami-karzelkami nie było w niej dla nikogo miejsca. Mackiewicz nazwał swą historię lat wojennych „Lata nadziei”. To była nieprawda. Od początku Mackiewicz żadnej nadziei nie miał: widział przyszłość tak jak się skończyła, to znaczy beznadziejnie. Od pierwszej chwili, gdy tylko stanął w Londynie, a potem zjawiał się w Paryżu, uważał, że jedynym jego obowiązkiem jest obrona Wilna. Z czterech artykułów *Credo* Mackiewicza — kultu Wielkiego Księstwa, zredukowanego od 1935 r. do fanatycznego patriotyzmu wileńskiego, kultu Piłsudskiego, umiłowania tradycji szlacheckiej, która w jego przekonaniu była równoznaczna z konserwatyzmem, i z ukochania zawodu dziennikarskiego — przywiązanie do Wilna było uczuciowo najsilniejsze, przesądzało o wszystkim: dla niego Piłsudski, to był w pierwszym rządzie Wilnianin, krajan, dopiero potem był zwycięskim wodzem wojny z Rosją, a na trzecim miejscu genialnym, w jego mniemaniu, mężem stanu. Tak samo konserwatyzm Mackiewicza oznaczał w pierwszym rządzie, że Wilno ma pozostać jakim było, z językiem polskim i z sercem litewskim, z Kaplicą Ostrobramską, ale i z Żydami w kapotach, ze swym akcentem, ze swym dialektem; nic go bardziej nie drażniło, niż utożsamianie tych wileńskich zwrotów z rusycyzmami.

Mackiewicz świetnie zdawał sobie sprawę, że nowa starszyna emigracyjna stosuje do granic polskich dwie miary: jedną na Zachodzie, drugą na Wschodzie. Edward Raczyński, który reprezentował, w sposób kulturalny i z wewnętrznym żalem, tezę, że zachód Polski jest ważniejszy, ujmował to w formule: „nie może się cała sprawa Polski kręcić dookoła Wilna, jakby chciał Mackiewicz”. Ale nie można się dziwić, że dla autentycznych Wilnian teza ta była nie do przyjęcia. Poznańscy zawsze podejrzewali Piłsudskiego, że ewentualnie poświęci ich dla Wielkiego Księstwa i Ukrainy, stąd ich głęboka do niego niechęć. Teraz Mackiewicz miał już nie podejrzenia, a pewność, że Wilno, że kresy będą, w razie konieczności wyboru, poświęcone. Całą swą energią poświęcił obronie rodzinnego miasta. My, dzisiejsi Polacy, dzisiejsi „Koroniarze”, nie chcemy uznać, że Litwini są *odrębnym* narodem, że mogli recypować nasz język, ale to nie sprawia, by uważali, że ich ziemie rodzinne znajdują się nagle nad Wartą czy nad Odrą. Wielu Lwowian pogodziło się z tą translokacją, czemu się zawsze dziwię: Litwini są jej nadal przeciwni.

Wszystkie walki, wszystkie akcje St. Mackiewicza na emigracji tłumaczą się tylko i wyłącznie tą obroną Wilna i Wileńszczyzny. Tu tkwiło źródło jego walki z Sikorskim, który osobiście był mu nawet dość sympatyczny. Tu tkwiła jego opozycja wobec Mikołajczyka, którego kaliber i talenty Mackiewicz raczej perwersyjnie i paradoksalnie przeceniał. Tę walkę przegrał nie on: Polska ją przegrała. To Jałta, nie de-uznanie rządu w Londynie, była dla Mackiewicza ciosem ostatecznym.

Jestem przekonany, że gdyby Jałta pozostawiła Wilno w granicach Polski, czy choćby jakiejś Litwy mającej tyleż niepodległości, co Polska pojałtańska, Mackiewicz by zaraz wrócił do Wilna. Zawsze stawiał lojalność wobec Wilna wyżej od lojalności wobec czegokolwiek innego. Dzisiaj, w okresie hipertrofii nacjonalizmów, takie stanowisko wydaje się wielu Donkiszoterią, jeżeli nie „zdradą”. Ale przez tysiąclecia było uważane za naturalne. Wszak sam praszczur dzisiejszej masowej i totalnej demokracji, Jean-Jacques Rousseau, uważał samego siebie tylko za „Citoyen de Genève”.

Mackiewicz był najsympatyczniejszy w Wilnie, potem w Warszawie, potem w Paryżu, dopiero na samym końcu w Londynie. Nie nadawał się na emigranta, ale gdyby los go uplasował w Paryżu, we Francji może by wytrzymał. Z Anglią rzeczywiście nic nie miał wspólnego. Nie wierzył ani sekundy, by nam wyciągnęła dłoń pomocną, by nas kiedykolwiek broniła przeciw Niemcom, cóż dopiero przeciw Rosji! Cywilizacyjnie odczuwał tylko w sposób skrajny obcość angielską. Mówił mi w Londynie parę razy:

„Jedyni Anglicy, którzy są mi jeszcze sympatyczni, to angielscy Żydzi. A i to wolę polskich od angielskich”.

Toteż nie przypisuję żadnego zupełnie znaczenia arabeskom politycznym Mackiewicza na emigracji powojennej. Rzadko z nim na te tematy rozmawiałem, tak mnie to nudziło. Zresztą wkrótce wyjechałem do Monachium, i odtąd Mackiewicza widywałem już tylko bardzo rzadko, raz na rok, raz na dwa lata. Pamiętam, jak go odwiedziłem na Eaton Place, gdy został premierem. Zameldowałem się u woźnego-głodomora, który mnie zameldował u sekretarza-głodomora, a ten, po dłuższej pauzie, mi obwieścił: „Pan Premier prosi”. Wkroczyłem do gabinetu, gdzie pod Ryngrafem z Białym Orłem w koronie, siedział Mackiewicz, gruby, roześmiany, czystszy, niż go kiedykolwiek widziałem czy przedtem czy potem, w dobrze wyprasowanej białej koszuli, z porządnie zawiązanym krawatem. Skłoniłem się do ziemi, wołając: „Moje uszanowanie Panu Premierowi!”. Mackiewicz podał mi dwa palce, ale był uszczęśliwiony całą tą komedią, tak promieniował, jak chyba nigdy. Po chwili naturalnie daliśmy pokój tej obustronnej farsie, i rozmawialiśmy, jak zawsze, przyjaźnie i swobodnie i bez cienia napuszonego. Swoją drogą, myliłem się, gdy uważałem, że całe to premierostwo, to był tylko dobry kawał Mackiewicza. W tym sumarycznym osądzie wyszło na jaw całe moje niedoświadczenie: niedoświadczenie człowieka, który nigdy nie brał czynnego udziału w polityce, nigdy wysokich urzędów i godności nie piastował, i nie zdaje sobie sprawy z mechanizmu ambicji i władzy. Nie tylko, jak słyszę, cała Warszawa, od szoferaków do dygnitarzy reżymu i ex-hrabiów, częstowała go „Panem Premierem” od rana do wieczora, ale także w depeszach o śmierci Mackiewicza, w „Le Monde”, w „New York Herald Tribune”, w „Die Welt”, w absolutnie całej prasie światowej, wszędzie zanotowano to premierostwo w polskim rządzie emigracyjnym. Snobizm ludzki jest zawsze bez porównania większy, niż się zdaje.



Tą polityką emigracyjną Mackiewicz zabijał czas. Ale co mu naprawdę brakowało, to trybuny, to audytorium — jego najgłębszą naturą była publicystyka, polityka była dla niego działalnością wtórną. Pisałem wielokrotnie, że Mackiewicz został na emigracji przez nędznych pismaków zaszczuty. Chcę sprecyzować, co przez to myślę. Mackiewicz miał to szczęśliwe usposobienie, że nic sobie nie robił z ujadania i szczekania małych pieszków, raczej go to bawiło. Gdy w „Radzie Narodowej” rzucali się na niego jakiś Arka-Bożek, jakiś Józwiak, i jakieś trzecie indywiduum, którego nazwiska nie pamiętam (miał on jakieś szurgotowate piśmko

gdzieś na francuskiej prowincji), Mackiewicza to wprowadzało tylko w dobry humor. „Czego się ten idiota mnie czepia?” zapypywał. Ale potrzebował trybuny. Otóż gdy tej trybuny, i to codziennej, do której się przyzwyczał, której potrzebował wszystkimi fibrami, mu odmawiano, bo była zaakaparowana przez błaznów, nicości, durniów. Mackiewicz czuł się rozżalony i zdegotowany. Brak trybuny — to było zaszczucie. A potem — ten brak poczucia hierarchii. Uznajemy ją, jeśli chodzi o gwiazdki generalskie. Uznajemy, jeżeli chodzi o fraki ambasadorskie, ale w dziennikarstwie byle łaps, byle lizus, byle paskudstwo, który kaleczy język, który odstrasza czytelników, który obniża poziom do *niveau* rynsztoka, czuł się uprawnionym — i był uprawniony — do traktowania Mackiewicza z góry. I nędzne łapsy albo „pierekińczyki”, którzy w życiu swym z Piłsudskim nie zamienili słowa, dawali lekcje nie tylko „patriotyzmu” ale jeszcze „wierności wskazaniami Marszałka” człowiekowi, który był ochotnikiem w latach 1919-20, który do Piłsudskiego zgłosił się w 1924 r. w Sulejówku, gdy ten był wrogiem rządu Numer Jeden, który do niego przyleciał gdy tylko usłyszał o wybuchu zamachu, który był w prasie przez lata największym popularyzatorem Piłsudskiego.

To wszystko wywołało w Mackiewiczu gorycz. Do tego doszły sprawy intymne, osobiste. Ten człowiek nie był stworzony na samotność. Gdyby mógł wrócić do Wilna, byłby wrócił dawno przed 1956 rokiem. Sam mi zawsze mówił, i przedtem i potem: podziwiam tylko tych, którzy pozostali czy wrócili do Wilna, to są jedyni prawdziwi bohaterzy. W ostatnim swym artykule w „Wiadomościach” Grydzewskiego (*ex re* książki M. K. Pawlikowskiego) pisał: „Wilno, które się obecnie znajduje pod OKUPACJĄ SOWIECKĄ...”.

Nie byłem w Londynie, gdy Mackiewicz zdecydował się wrócić do Polski, nic o tej decyzji nie wiedziałem, ale odczułem ją niezmiernie głęboko. Przez kilka lat nasze stosunki były *de facto* zerwane. Prywatnie głosiłem na prawo i na lewo: „Każdy rusofil ma prawo wrócić do Polski. Ale człowiek, który w Rosji stale upatrywał największe zło, i największe niebezpieczeństwo, tego prawa nie ma”.

Dzisiaj zdanie o powrocie Mackiewicza zmieniłem. Po pierwsze uważam, że jeden jedyny z „wozwraszczeńców” Mackiewicz wrócił nie po posadę, nie dla korzyści, ale po to, by w Polsce z reżymem Gomułki *walczyć*. Jego obecność była dla reżymu koszmarem, był to wielki błąd, który reżym zrobił, i z pewnością reżymowcy pluli sobie z tego powodu w brodę od rana do wieczora, a wiadomość o śmierci Mackiewicza przyjęli z nieopisaną radością i ulgą. Mackiewicz był powodem fermentu w całej Polsce, był z natury rzeczy i z racji samego swego istnienia szefem

opozycji, był żyjącym wyzwaniem dla reżymu. Reżym zdawał sobie sprawę, że musi go zaaresztować a jednocześnie bał się. To Mackiewicz był duszą protestu „34”.



Po jego powrocie do Polski widziałem Mackiewicza tylko trzy razy: w Paryżu we wrześniu 1960 r., w Londynie we wrześniu 1961 r., w Monachium (przez kilka dni) a potem w Paryżu w marcu 1963 r. Uderzał mnie w nim pewien wewnętrzny spokój, mniej podniecenia, które go cechowało na emigracji, większa pogoda ducha, i to pomimo kalectwa: chodził już stale o kulach, i każdy ruch sprawiał mu ból fizyczny. Zapewne wiek zrobił swoje, ale istotnym momentem było, sądzę, to, że ten wieczny Don Kiszot znalazł wreszcie swego Sanszo Panse. Jego towarzyszką, pielęgniarką i sekretarką, pani Zofia Staniszevska, na pewno była dla niego „Anią” Dostojewskiego: zawsze uważałem, że wszystkie dytyramby, które Mackiewicz w swym (znakomitym) „Dostojewskim” na temat „Ani” wypisał, były krzykiem serca, były tęsknotą do takiej „Ani”, cichej zacnej, ofiarnej, pogodnej, we własnym życiu. W pani Staniszevskiej ją znalazł. Myślę, że to jej zawdzięcza tę względną pogodę ducha, tę możliwość przetrzymania „niewolnictwa” w Warszawie, siłę do wyczerpanej pracy, bo w Polsce napisał coś z 10 książek. Drugim źródłem pewnego jego zadowolenia w Polsce, była poczytność jego książek: wprawdzie nie miał pisma codziennego, musiał walczyć wiecznie z cenzurą, ale miał tę radość, że miał audytorium, że wielkie nakłady wszystkich jego utworów z miejsca się rozchodziły, że czuł, iż ma czytelników. Na emigracji dla każdego pisarza z prawdziwego zdarzenia, ten brak audytorium jest doprawdy koszmarem.

Mackiewicz nigdy nie żałował powrotu do Polski. Jestem przekonany, że mówił prawdę. Gdy Tadeusz Nowakowski wyrobił mu zamówienie w monachijskiej firmie Pipera na napisanie i wydanie „Historii Radziwiłłów”, Mackiewicz niby to wzdychał: „Może ta książka pozwoli mi zarobić sto tysięcy dolarów, i kupić willę na południu Francji, i tam życie zakończyć!” Tak mówił, i było to możliwe: Kennedy wówczas żył, i zainteresowanie Radziwiłłami, *ex re* ich spowinowacenia z Kennedym, było olbrzymie. Sam podsunąłem Mackiewiczowi idealny tytuł na amerykańskie wydanie jego książki o Radziwiłłach: „The in-laws of our President”. Mackiewicz słuchał, niby to potakiwał, a potem wołał, że znacznie bardziej go interesuje, czy te dzieje Radziwiłłów będą się podobać księciu Januszowi, który był, obok Piłsudskiego i Sławka, jedynym człowiekiem, do którego był naprawdę przywiązany. „Mój Stasiu, tłumaczyłem, albo chcesz zrobić przyjem-

ność księciu Januszowi, albo chcesz stu tysięcy dolarów, i willi na Riwierze, tych rzeczy nie da się pogodzić”. Naturalnie napisał książkę, która jak mi mówił w Madrycie Józef Potocki podobała się jego teściowi, ale którą za to Piper odrzucił, bo mogła interesować tylko czytelnika polskiego, nie amerykańskiego, dla którego miała być przeznaczona. Otóż Mackiewicz był człowiekiem szalenie zdolnym, szalenie pracowitym i szalenie szybkim w pracy: gdyby naprawdę chciał tej willi na Riwierze, to by tę historię Radziwiłłów napisał pod gust wydawcy, nie marudziłby z nią aż do zamordowania Kennedy’ego, i umarłby sam na Riwierze. Ale nie chciał. Nie chciał wyjeżdżać z Warszawy. Sam mi to przez telefon z Warszawy wiele razy potwierdził w ostatnim roku życia, gdym go namawiał, by zjechał do Paryża: miałem rzeczywiście wielką ochotę go zobaczyć, stęskniłem się za nim. Mackiewicz ryczał przez telefon: „Putrament mówił mi, że paszport mogę dostać każdej chwili, ale jeżeli wyjadę, to oni mnie z powrotem nie wpuszczą, a ja im nie chcę zrobić tej przyjemności, i chcę umrzeć w kraju, a nie na emigracji”. W moim przekonaniu, chciał nawet więcej, chciał umrzeć w więzieniu. Wszystko robił, by do tego doszło.



Ileż rzeczy mi pozostaje do napisania. O stosunku Mackiewicza do Piłsudskiego, który dla niego był tym, czym modlitwa dla pobożnych chrześcijan. O czułości, z którą był w stanie mówić o „Cieletniku”, oburzać się, gdy słuchacz nie wiedział, że tak się nazywał jeden ze skwerów wileńskich. O jego umiłowaniu historii, zarówno Długosza, którego czytał z rozkoszą, jak i anegdot o różnych osobach, mniej lub więcej znanych, mniej lub więcej wileńskich ostatniego stulecia. O ogromnym *distinguo*, które zawsze czynił między Wilnianami a resztą świata: tylko pierwsi mieli dla niego naprawdę realną egzystencję. Najbliższym mu człowiekiem w emigracyjnym Londynie nie byłem ja, ani nawet mój brat, którego zawsze wołał i wyżej cenił, ale Kazimierz Okulicz, a w Polsce, gdzie na ogół nikt z ludzi u władzy go nie interesował, jeden jedyny Putrament stanowił wyjątek: ten miał w jego oczach żywot realny. Także Giedroyc był dla niego przede wszystkim Litwinem, potem dopiero redaktorem „Kultury”, zresztą Mackiewicz zawsze twierdził, że Mackiewicz pochodzi od Giedroyciów, a przez nich od samego Mendoga. Jeżeli tak straszliwie przeceniał Studnickiego, to znowuż tylko dlatego, że to był Litwin, Wilnianin: wobec Studnickiego z innej prowincji miałby dużo więcej zmysłu krytycznego. Ciekawe, że u niego poczucie więzi dzielnicowej było dużo silniejsze wobec „Litwinów”, niż wobec „Białorusinów”, a wobec „Ukraińców” nie istniało zupeł-

nie. I tak lubił Czapskiego (oczywiście mowa o Józiu!) dużo bardziej, niż Wańkowicza, ale obaj byli dla niego czymś dalszym od prawdziwych „Litwinów”, choćby od takiego Putramenta. Tak samo Mackiewiczowi „Żagary” były bez porównania bliższe, niż cała „Myśl Mocarstwowa”, choć „ideologicznie” powinno być odwrotnie. Zapewne miał on zawsze miłe słowa o Adziu Bocheńskim czy Ksawciu Pruszyńskim: że bardzo mili, zdolni, et coetera. Ale bez porównania bardziej interesowały go „Żagary”, a specjalnie Dembiński. Ten pozostał dla niego problemem do końca; miałem zawsze wrażenie, że proces Dembińskiego Mackiewicz odczuł niesłychanie boleśnie, jako wielką klęskę osobistą, a potem wiadomość o jego śmierci była znowu dla niego głębokim osobistym przeżyciem. Zainteresowania osobiste Mackiewicza, pomijając oczywiście kwestie kobiece, bo tu działały inne kryteria, sklasyfikowałbym następująco: naprzód wszyscy Wilnianie, potem Litwini, potem autentyczni Piłsudczycy, ze Sławkiem na czele, potem konserwatyści z wielkimi rodami litewskimi na czele, potem dziennikarze zawodowi, potem endecja, potem socjaliści, jako dawni towarzysze bojów Piłsudskiego, potem Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, i dopiero na samym końcu chłopci ludowcy: jak wielu konserwatystów starej daty Mackiewicz był bardziej filosemicki, niż filochłopski. Był on w ogóle bardziej liberalny, niż demokratyczny.

Co chwila nasuwają mi się nowe uwagi o tym człowieku tak niebywale oryginalnym, tak wybitnym, tak ciekawym, i — proszę mi wybaczyć to porównanie nie na miejscu — tak szalenie ode mnie różnym. Mackiewicz miał gust ryzyka. W polityce, w dziennikarstwie, tak jak w interesach, trzeba umieć zaryzykować: *qui ne risque rien, n'a rien*. Nigdy nic nie zaryzykowałem, toteż słusznie nic nie mam. A Mackiewicz ryzykował od młodości. Ożenił się z zamożną panną, która miała piękny majątek na Polesiu: zamiast tam gospodarować Mackiewicz zakłada pismo, które ciągnie przez lata w obliczu potwornych tarapatów finansowych. Redakcję mobilizuje z samych oryginałów: takiej kolekcji nigdy nie widziałem, myślę, że nieraz musiał chyba sam cały numer napisać i złamać, bo wszyscy jego współpracownicy leżeli pijani. Nie zapomnę tych typów przedziwnych: Laudyn, Cyrski, Syrewicz, Luboński, wszystko szlachta mackiewiczowska i sienkiewiczowska, utalentowana, ale z innego stulecia. Potem w 1925 roku Mackiewicz stawia na całego na Piłsudskiego, gdy jest banitą w Sulejówku, ryzykuje, że go właściciele „Słowa” wyleją, bo w kołach konserwatywnych był on jedynym namiętnym Piłsudczykiem: wszyscy inni byli znacznie bardziej krytyczni. Potem ryzykuje wojnę z Rydzem i Sanacją, i Berezę. Potem znowu ryzykuje opozycję przeciw Sikorskiemu: o mały włos go Anglicy parę razy nie interno-

wali, a Retinger starał się o to. Wreszcie ryzykuje powrót do Polski, a tam ryzykuje znowu najostrejszy konflikt z reżymem: sam Dominik Horodyński przyznaje to w swoim wspomnieniu, zresztą inteligentniejszym, niż przypuszczałem, ale w którym mimowoli jak na dłoni wykazał całą przepaść, która go dzieli od Mackiewicza: oto Horodyński umieszcza pod koniec kadzidła pod adresem reżymu: że Polska Ludowa to, że obóz socjalistyczny tamto, etc. Mackiewicz nie dodawał zwrotów w które sam nie wierzył, a przecie ktoś uwierzy, że Horodyński bierze te hołdy pod adresem zbankrutowanych oportunistów i karierowiczów spod znaku Gomułki przez jedną sekundę na serio?



Musiabym też obszernie omówić tak zwane germanofilstwo Mackiewicza, choćby dlatego właśnie, że Horodyński — by się przypodobać rządzącej klice — znowu tę bajkę z lamusa niedorzeczności wyciąga. Żydzi w Polsce utożsamiają filogermanizm z antysemityzmem, tak samo Pax i Piaseckiego z antysemityzmem. Wszystko są to smutne i upokarzające uproszczenia. Dla Mackiewicza, jak dla wszystkich Polaków jego pokolenia, sprawa żydowska była sprawą drugorzędną, a nie pierwszorzędną: myślał on innymi kategoriami. Walczył z endecją zaciekle przez długie lata nie z powodu antysemityzmu, ale dlatego, że ideał państwa narodowego był może w teorii dopasowany do ziem na zachód od „linii Curzona”, ale był absolutnie zgubny dla ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tu polonizacja była niemożliwa, a pasywność musiała doprowadzić do zwycięstw wyborczych „Hromady” i utraty tych ziem. Stąd, przez patriotyzm litewski, Mackiewicz był namiętnym filosemitą, i to właśnie w stosunku do biednego, narodowego Żyda czy Żydka, w kapocie, w jarmułce, w pejsach, chciał go pozyskać, chciał mieć w nim alianta przeciw Rosji, przeciw Sowiетom, przeciw komunizującym Białorusinom. Widok Żydów w kapotach i jarmułkach odpowiadał również jego barokowemu zmysłowi estetycznemu: on zawsze Wilno pamiętał z Żydami, i innego znać nie chciał, nie umiał sobie wyobrazić. Najmniejszego zrozumienia dla walki kupiectwa i chłopstwa polskiego z konkurencją czy lichwiarstwem żydowskim Mackiewicz nigdy nie miał, i tak samo był dziwnie ślepy i nieuczulony na judaizację polskiej inteligencji, advokatury, medycyny, kasty urzędniczej. Dopiero w Polsce Gomułki zauważył ten problem, i się nim zaniepokoił: uderzyło go specjalnie całkowite opanowanie przez Żydów cenzury, radia, telewizji, urzędów prasowych, prasy. „W klubie dziennikarzy w Warszawie”, mówił mi wielokrotnie, „są sami Żydzi, poza mną i... kelnerami”. Jeżeli są w Polsce ro-

zumni, poważni Żydzi, a tacy obyć byli, to powinni się nad tym zastanowić: jeżeli ex-ONR'owcy są antysemitami, to to niczego nie dowodzi, ale jeśli się do antysemityzmu skłaniają ex-konserwatyści, to znaczy, że dla Żydów to jest bardzo poważny trzeci dzwonek, i że czas im zrobić poważny rachunek sumienia!



Zadnym germanofilem Mackiewicz nigdy nie był. Germanofilami byli nie tylko Stańczycy, ale w ogóle prawie wszyscy profesorowie krakowscy. Omal wszyscy byli wychowankami uniwersytetów niemieckich, specjalnie Gettyngi, Monachium, Lipska, Heidelberga, czasem Wiednia. Zawsze słyszałem nazwiska profesorów von Savigny, Wundta, Willamowitz von Moellendorf, stu innych, wymienianych jako najwyższe autorytety w dziedzinie prawa, filozofii, filologii klasycznej. Nauka polsko-galicyska była przesiąknięta nauką i filozofią niemiecką. Profesorzy krakowscy mówili po niemiecku świetnie, czytali prawie tylko dzieła niemieckie, po cichu nawet tak zwani endekoidzi mówili mi: „Panie, Francuzi piszą bardzo ładnie, ale to felietoniści, poważna nauka — to Niemcy, panie, Niemcy...”

Mackiewicz był człowiekiem zbyt inteligentnym, zbyt wykształconym, zbyt kulturalnym, by nie wiedzieć, że każdy „filizm” jest umiłowaniem pewnej kultury, pewnej umysłowości. Poza rosyjską znał on tylko kulturę francuską, może zbyt powierzchownie, zbyt anegdotycznie, zanadto od strony fałbanek i des-soussów, kancana i szampana, zanadto od strony pamiętników i *la petite histoire*. Ale w pewnym sensie, Mackiewicz był namiętnym eksponentem kultury francuskiej a raczej paryskiej *de la Belle Epoque*, i jej „Kulturtraegerem” w Polsce. Oczywiście w kulturze francuskiej Mackiewicza były luki: nie zdawał sobie sprawy z całej olbrzymiej gamy intelektualizmu francuskiego, zbyt skłonny widzieć Francję przez pryzmat „Action Française”, którą czytał codziennie z nabożeństwem, ale ostatecznie cóż innego robił... de Gaulle? Mimo wszystko sąd jego o Francji był trzeźwiejszy, niż Strońskiego, który myślał, że Francja — to Louis Marin i Pertinax w „Echo de Paris”, i dla którego katastrofa 1940 roku była piorunem z jasnego nieba, podczas gdy każdy poważny obserwator mógł się jej od dawna spodziewać. Sikorski w ogóle Francji nie znał i nie rozumiał, tak samo jak i Anglii, ale to mu nie szkodziło, bo on miał duszę księcia Józefa, wiernego Rolanda (by nie powiedzieć giermka), a to Polakom się zawsze podoba. Ale prof. Wędkiewicz uchodził w Polsce za znawcę Francji, co już było zupełnym nieporozumieniem. Czterdzieści lat znałem Wędkiewicza: dukał po francusku beznadziejnie, akcent miał po-

tworny, oczywiście miał pewną erudycję, mógł daty czy cytaty korygować, ale jego zrozumienie Francji było równe zeru, w porównaniu z nim Mackiewicz był szczytowym ekspertem od spraw francuskich. Natomiast Niemiec Mackiewicz nie znał, i co więcej nigdy go nie interesowały. Gdym go spotkał w Monachium, nawet nie wychodził z pensjonatu, nie próbował kogoś spotkać czy poznać, zapytał mnie tylko o adres dobrej francuskiej restauracji, i poszedł tam zjeść homara: wiem o tym, bo pytał się, jak homar nazywa się po niemiecku, i zapisał sobie moją odpowiedź: *der Hummer*. Daremnie mu oczywiście tłumaczyłem, że niech zaczeka z tym homarem do Paryża, gdzie homar był i jest zawsze o połowę tańszy, uparł się, i wydał na tego głupiego homara majątek. Mackiewicz znał z literatury niemieckiej tylko pamiętniki Bismarka i Bülowa, i Bismarka nieprzytomnie przeceniał: przypisywał jego manewrom dyplomatycznym zjednoczenie Niemiec, które, w moim przekonaniu, wypływało głównie z Zollvereinu, było tylko jego logicznym skutkiem. Mackiewicz był wpatrzony nie w Niemcy, a w Bismarcka, i wyobraził sobie, że byle by Polska miała takiego swego Bismarka, który potrafi równie zręcznie prowadzić grę dyplomatyczną to będzie mogła stać się mocarstwem takim jak Prusy, tylko trzeba możliwie często przestępować z nogi na nogę. W gruncie rzeczy była to też doktryna Becka, tylko w jeszcze bardziej prymitywnym ujęciu. Mackiewicz nie zdawał sobie sprawy z bezgranicznej słabości Polski, z tego, że wszystkie jej ambicje były nadmierne; sam ukuł wyrażenie „Polska Mocarstwowa”, i dopiero po śmierci Piłsudskiego się opamiętał. Zdał sobie sprawę, że Polska żadnej wojny z Niemcami wygrać nie może, że nie ma prawa jej ryzykować, i to pod żadnym pozorem. Zdawał sobie też sprawę, i pod tym względem pogląd jego był trafny, że Rosja wyzyska każdy konflikt z Niemcami dla zabrania Polsce jej kresów wschodnich, a specjalnie Wilna. Ale to wszystko dopiero *in extremis*: do 1935 roku, Mackiewicz podbijał Polakom bębenek, zamiast im otwierać oczy na własną słabość. W czasie wojny, i po wojnie doszedł szybko do wniosku, że możemy ewentualnie liczyć na coś niecoś przeciw Niemcom, jeżeli te zaczynają przesadzać w swych światoburczych ambicjach, a na nic, gdy chodzi o Rosję. Stąd bez wątpienia uznał, że polityka zagraniczna Polski musi się ograniczać do dylematu Rosja czy Niemcy, i wolał wybrać Rosję, niż opierać byt Polski na hipotetycznym poparciu Anglii czy Francji, czyli, jak mawiał, na przymerzach egzotycznych. Gdzie tu w tym wszystkim jakiś ślad germanofilizmu?

Mackiewicz na pewno się do dyplomacji nie nadawał, a już specjalnie do jakichkolwiek rozmów z Niemcami. Mógł ich tylko przerazić, byłby dla nich zupełnie niezrozumiały. Poza tym szyb-

ko się zniechęcał, był zbyt niecierpliwy, zbyt wiele sobie obiecywał z jednej mowy czy rozmowy, nie zdawał sobie sprawy, że poważna ewolucja dyplomatyczna musi być zawsze długofalowa i powolna i stopniowa, że era gwałtownych *renversements des alliances* już dawno minęła.

Kiedyś, w Londynie, powiedział mi natomiast na ten temat słowa pełne głębokiego rozumu. „My jedni, Wilnianie, możemy doprowadzić kiedyś do porozumienia z Litwinami, bo my jedni ich kochamy, my jedni uważamy ich jeszcze za braci. Tak samo i ja sam nadawałbym się do pojednania nas z Rosją, bo tę Rosję znam i rozumiem, a Kot, Sikorski czy Mikołajczyk nie mają o niej pojęcia. Porozumienie z Ukraińcami będzie tylko możliwe, gdy zajmie się nim jakiś rozumny Polak z Małopolski Wschodniej. Do rozmów z Niemcami nadaje się tylko człowiek, który pochodzi z Poznańskiego i wychował się w Berlinie”. Myślę, że wiem kogo miał na myśli. Tym niemniej jest to prawda. Tę myśl podjęli teraz, niestety nie w Poznańskim i w Brandenburgii, ale w Alzacji-Lotaryngii i w Badenii-Wirtembergii dwaj tamtejsi mężowie stanu: burmistrz Strasburga i były premier Pflimlin, i premier Süd-West-Deutschland, Kissinger. Ci zrozumieli o co chodzi. Troskę o stosunki z Niemcami trzeba pozostawić obecnym i przyszłym Tadeuszom Nowakowskim: oni jedni mogą działać nie narażając się na zarzut „germanofilizmu”. Oczywiście szaleństwem jest próbować powierzać załagodzenie stosunków polsko-niemieckich, tak ropiejących, plemionom trzecim: Francuzom de Gaulle'a, Anglikom Wilsona, Rosjanom Kosygina. Nawet Wilnian trzeba trzymać od tego interesu z daleka i brać autentycznych Poznaniaków, i endeków, a nie Semitów.



Z braku miejsca muszę kończyć, choć materiału mam nie na rozdziały, ale na tomy. Chciałbym na zakończenie powiedzieć, że zgon Stanisława Mackiewicza odczuwam, jako najbardziej osobistą i najbardziej bolesną stratę, jako stratę przyjaciela, jako stratę najwybitniejszego publicysty mego pokolenia niezrównanego bojownika o wolność prasy, o wolność obywatela i człowieka. Myślę, że nie ma nikogo, kto by go mógł zastąpić. Myślę, że trzy pomniki powinny uwiecznić jego pamięć: pierwszy w Wilnie, gdy tylko Wilno przestanie być rosyjskie a stanie się wprost polskie lub choćby litewskie, bo Mackiewicz był fanatycznym patriotą Wielkiego Księstwa Litewskiego i jego stolicy; potem popiersie St. Mackiewicza powinno zdobić lokal każdego godnego tej nazwy Związku Polskich Dziennikarzy, bo w Mackiewiczu mieć będzie zawsze wzór publicysty nieustraszonego w

walce o wolność prasy; i wreszcie, jeżeli kiedyś taka partia powstanie, w siedzibie polskiego stronnictwa konserwatywnego: Mackiewicz nie miał sił, by prawicę polską, konieczną dla zdrowia i równowagi narodu, pchnąć na nowe tory, objąć nią nowe warstwy, wytworzyć nową klasę rządzącą, ale całym życiem dał świadectwo przywiązania do przeszłości i tradycji, bez których żaden naród nie jest godzien wielkich przeznaczeń.

P.S. Już po napisaniu tego nieudolnego szkicu przypomniał mi się jeden epizod spośród tysięcy godzin, które spędziłem z Stanisławem Mackiewiczem, a który był, może najpiękniejszym z tych wrażeń, które mi Staś pozostawił. Było to w czerwcu 1936 lub 1937 roku: wpadłem do Wilna na parę dni, i Mackiewicz zabrał mnie samochodem na wycieczkę do Werek, wraz z Jerzym Wyszomirskim, krytykiem literackim „Słowa”. To był też niezwykle talent, ten Wyszomirski, cygan, bałagała, okropny pijak, ale wielka inteligencja, wielki talent pisarski, wielka finezja, i to był też fenomenalny rusycysta; wojna go kompletnie zmarnowała, już od lat nie żyje. Zajechaliśmy do karczmy zwanej Napoleońską: śliczny był to dworek neo-klasycy, jakby rodzaj Belwederu, tylko dużo piękniejszy, i bardziej malowniczo, bo nad Wilnią i w borach położony. Była noc niezrównana, miesiąc zupełnie biały kołował zwolna po absolutnie przezroczyście niebie, a słowiki wydzierały się jakby chciały cały świat zagłuszyć: takich treli nigdy w życiu nie słyszałem. Siedliśmy w sali na pierwszym piętrze, nie było elektryczności, tylko jakieś łuczywo, czy lampa naftowa, obsługiwał stary kelner w białym kaftanie, obraz godności zaściankowej szlachty, z niezrównanym wileńskim akcentem; pamiętam, że wódka była lepiej zamrożona niż szampan w Paryżu, a do tego było bez końca ogórków kiszonych: nigdy równie doskonałych nie jadłem. Wyszomirski i Mackiewicz pili dużo, Wyszomirski w końcu się urznął, Mackiewicz, jak zawsze, był zupełnie normalny, tylko gdy dużo pił wpadał w pewien jakby smutek, jego twarz stawała się posępna, tragiczna. Milczałem, a Mackiewicz i Wyszomirski rozmawiali cały czas o literaturze rosyjskiej, i coraz to obaj cytowali poetów rosyjskich, Tiutczewa, Niekrasowa, Puszkina, całymi strofami, całymi stonicami, i mówili o rosyjskiej prozie, o filozofii, o krytyce, i widać było, że to wszystko znają na pamięć, że każdy z tych autorów i poetów jest im bliski, jest im drogi. Wiele razy w życiu przysłuchiwałem się rozmowom literatów: często były to popisy erudycji, albo pretensjonalne wymądrzanie się, ale nigdy nie miałem tego wrażenia przeżywania literatury, przejęcia się nią, ukochnia jej, realności literatury w życiu. Pamiętam, że ta rozmowa

otworzyła mi jakiś nowy świat: tak byłem „zachodni”, tak zapomniałem mojej rosyjskiej „chrestomatji” z gimnazjum Naumienski w Kijowie, tak byłem przepojony doktryną, że w Rosji nie może być nic interesującego, żadnej kultury, żadnej cywilizacji, nic tylko dzicz i barbaria, że wydawało mi się, iż trafiłem do jakiegoś innego świata, innej epoki, innej planety. Nagle, ku memu wewnętrznemu osłupieniu, któremu starannie nie dałem wyrazu, cała ta rosyjska kultura wydała mi się autentyczna i nawet wielka. Była to rzeczywiście inna epoka, i inny świat: oto dwaj zażarci „wrogowie Rosji”, Mackiewicz i Wyszomirski, dwaj namiętni „prawicowcy”, dwaj patrioci Wilna i Wielkiego Księstwa, mówili z sobą niemal wyłącznie językiem zaborcy, cytowali tylko jego literaturę, dla której obaj żywili nie tylko podziw, ale i miłość. Tak, cofnęliśmy się o sto lat. Nieraz medytuję tę lekcję z tej karczmy w tych dalekich Wittgensteinowskich Werkach. Jakżeż szalona musi być polityka i dyplomacja rosyjska, by takie atuty potrafić zmarnować! Jak płaskie i śmieszne są próby zastąpienia związków, wyrastających z kultury, z języka, traktatami, czy tym bardziej propagandą!

Mackiewicz całe życie marzył, że można będzie odbudować Wielkie Księstwo Litewskie, że to Wielkie Księstwo połączy się znowu z Polską, że Piłsudski będzie tym geniuszem, który to sprawi. Rozumiał, że polonizacja z urzędu, ciskanie się starostów, wojewodów, policjantów, belfrów, dowódców O.K. może temu procesowi tylko zaszkodzić. Rozumiał, że polskość tych ziem ogromnych NIE musi iść w parze z nienawiścią do Rosji. Gdy chodziło o sprawy narodowościowe, o kulturę i język, to Stanisław Mackiewicz był człowiekiem postępu, chorąży braterstwa ludów. Uważam program restytucji Wielkiego Księstwa za równie utopijny co program restytucji Monarchii Habsburskiej, ale obydwa są szlachetne. I pomimo wszystko wierzę, że w końcu w stosunku między narodami zwycięży nie nienawiść a miłość. Mackiewicz kochał Wschód: więc jego miejsce było tam. My, polscy „zapadnicy”, powinniśmy iść w jego ślady: obnosić po Zachodzie nie nasze nienawiści i podejrzenia, ale ukochać kulturę Zachodu, całego Zachodu, naśladować przykład naszych wileńskich i litewskich braci, którzy walczyli ze Wschodem nie wrogością i zemstą, a zrozumieniem i umiłowaniem.

W. A. ZBYSZEWSKI

Bolesław Chrobry z Whitechester

W całym miasteczku Whitechester liczyła się tylko jedna ulica. Nie była nawet bliska ulicy głównej, czyli High Street; tuziemcy, czy Angole, jak ich nazywali za panem Durulskim, bawalcy Klubu, nic nie wiedzieli o ważności Banners Road, ale dla Polusów olbrzymie znaczenie miało to, że po lewej stronie stał budynek Klubu, a po prawej Dom Parafialny. Patrzyły prawie okno w okno te dwie siedziby dwóch potęg i patrzyły na się wrogo. Wcale nie po chrześcijańsku ani z sympatią jaką winni obdarzać się rodacy na obczyźnie.

Była właśnie noc zimowa. Banners Road siekł lekki kapuśniaczek i poprzycinane drzewa świeciły w blasku latarni gałęziami czarno lakierowanymi deszczem. Zbliżała się godzina jedenasta. W klubie kierownik wydawał z baru ostatnią whisky przed zamknięciem, w parafii ksiądz kanonik Własny pochylał się nad starym Remingtonem wystukując mozolnie ważne zdania swej rozprawy o czytaniu myśli na odległość.

„Czytanie myśli na odległość drzemiące od wieków w organizmach ludzkich dopiero dzisiaj w drugiej połowie XX wieku odkryte. „I posłuchał król Naaman syryjski (jak powiada Pismo święte) rady swojej świty, zanurzył się po siedmiokroć w nurtach Jordanu i wrócił zdrów do swej krainy...”

Mdłe światło oszczędnej żarówki, wszystkiego 40 watt, ledwie pozwalało na odczytywanie rękopisu zwisającego z maszyny. Rozrzucone na stole grube encyklopedie, książki i notatki pokrywał mrok niby kurz zapomnienia. Naprzeciw okna obok żołnierskiego tapczana księdza kanonika nieheblowane deski półtek dźwigały tomy ksiąg i stosy gazet.

Ksiądz kanonik dostukał swoje trzy kropki na zakończenie i westchnął. Musiał oderwać się od poważnej pracy i sięgnąć po notatki do kazania.

RODZINA I JEJ SKARB, NIEWIASTA — wypisane było dużymi literami jako tytuł. Pod nim nic, białe pole. Ksiądz znów westchnął i spojrzął w okno.

Po drugiej stronie ulicy świeciło za szybami przysłoniętymi firanką. Biała kula nad wejściem oświetlała napis i znak Klubu.

— „Rodzina i jej skarb, niewiasta” — powiedział głośno ksiądz kanonik i uśmiechnął się złośliwie. — Dam ci ja niewiastę!

— Panie prezesie — pochylił się kierownik klubu nad stołkiem Jędrola — zamykamy.

Jędrol wyciągnął rękę poprzez goły blat i dotknął dłonią palców Tekli.

— Czy już musimy iść? — przeciągając się zapytała tłusta i senna kobieta. — Powiedz Kazkowi, żeby zagrał Tango Milonga.

— Co ty z tym tangiem Milonga, Tekla — skrzywił się Jędrol. — Młodzi chcą twista tańczyć. Nie widzisz?

Młodych była tylko jedna para. Stali obok jednoramiennego bandyty i pociągali raz po raz dźwignię automatu. Kazek Blacha zasypiał nad swą harmonią i pustym kieliszkiem.

— U księdza się świeci — powiedział Jaciński odwracając się od swego stolika — kazanie przygotowuje. Oj, szykuje się, szykuje.

Prezes Jędrol uderzył dłonią o stół na płask.

— Mam go gdzieś, panie Jaciński. — Mam go gdzieś.

Leniwie, ociągając rozeszli się goście Klubu. Kierownik zamknął bar wypijając na zakończenie jednego na sen. Kelnerka i kucharka w jednej osobie starła stoliki.

— Aby jutro pospać — powiedziała — niedziela.

Zastukały kroki odchodzących po bruku.

— Faktycznie pisze kazanie — powiedział pan Hakowski podnosząc głowę ku oknom Domu Parafialnego. — Sroży się.

— Prawdę rzec — podskoczył mały do młodzieży wciąż zaliczany Bączek — powinni się pogodzić. Właśnie w Millenium.

— Co tam Millenium — gniewnie burknął Hakowski — jakie tam Millenium. Ksiądz całą inicjatywę zagarnął i korzysta z niej jak może.

— A on marudzi — pokazał ręką w stronę prezesa Jacińskiego.

Jędrol już daleko na rogu ulicy prowadził grubą Teklę w stronę domu.

Ulica Banners opustoszała. Angole dawno spali chrapiąc po sobotnim kuflu piwa. Rodziny murzyńskie spod dwudziestego piątego przeciągały się po troje w jednym łóżku marząc o słońcu Jamajki.

Ksiądz kanonik Własny pisał na swym Remingtonie:

„Otóż jak wspomniałem na wstępie tego rozdziału, odczytywanie myśli na odległość niewątpliwie zostanie kiedyś naszym szóstym i siódmym zmysłem przy użyciu audio-wizualnego aparatu”.

I znów zerknął na białą kartkę z tytułem: Rodzina i jej skarb, niewiasta.

— A ja tej niewieście jak szatanowi łeb zetnę — powiedział i dopisał: Od śmierci moralnej, od zgorzenia publicznego, od rozpustników w grzechu żyjących wybaw nas święty biskupie z Miry, opiekunie rodzin.

I zgasił światło.

Tylko jeszcze okno błyszczało na ulicy Banners. Nad żółtym szyldem głoszącym: *General Stores and Continental Food*, na pierwszym piętrze małego domku ruda woda elektryczna zalewała firanki.

W pokoju pustym, jak okradziony skład, mały człowiek pochylał się nad ramą drewnianą obciążoną w płótno.

Obraz był prawie gotów, ustawiony na dwóch krzesłach skosem ku ścianie błyszczał pokładami farby olejnej. Najwięcej było zielonego koloru. Wzgórza, drzewa, murawa rozlewały się po płótnie jasnym szpinakiem, trudne do zdefiniowania i rozgraniczenia. Ukośnie biegła struga niebieskiej farbki a na niej czarne robaczki hieroglifów. Z boku jak naklejona nalepka podróżna barwnie i dokładnie wymalowany był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Niski i zgarbiony człowiek oderwał pędzel od zielonego tła i zamyślił się. Po chwili z trudem balansując całym ciałem wypisywał u dołu swego arcydzieła sentencję:

Zgoda buduje.

Potem w ciemności, w wilgotnej duchocie Banners Road, Whitechester, w deszczu i nocy schła farba owego napisu w samotnej ciemności.

Po nabożeństwie miało się odbyć zebranie Komitetu Millenium. Delegat z Londynu wymógł na księdzu Kanoniku, aby to zapowiedział z ambony. Ksiądz z wściekłą miną zmiął kartkę, którą sobie przygotował i miał kazanie o pokorze. Wierni pochylali głowy tłumiąc mimowolne ziewanie. Tysiąc razy ksiądz grzmiał o pokorze. Tysiąc razy. Ta pokora była niby jakaś zapchajdziura.

Prezes Jędrol powiadał, że to tak zawsze po wypiciu za wiele dzinu.

Siadywał w kościele na pierwszej ławce i czuł się jak pod Monte Cassino wystawiony na bombardowanie z ambony. Jedynym zabezpieczeniem było pozostawianie pani Tekli w domu.

Po co miała wysłuchiwać jak ksiądz kanonik wołał: bezbożnicy i bezbożnice w cudzołóstwie żyjący na obczyźnie. Przeciw takim fałszywym prorokom, fałszywym prezesom buntuje się moja dusza!

W całym kościele jedynie delegat z Londynu przejmował się słowami księdza Własnego.

— Możesz być moznym tego świata — wołał ksiądz — możesz być samym prezydentem Stanów Zjednoczonych, możesz być mądrym jak Sokrates, a wobec Boga jesteś marną okruszynką. Ćwiczcie się, bracia i siostry, w pokorze.

Delegat z Londynu uśmiechał się pod szczołeczką siwych wąsów i gładził różową łysinę. Przypominał sobie trudności, jakie miał z namówieniem księdza, aby zasiadł do stołu obrad razem z prezesem.

— Z bezbożnikami — oburzał się ksiądz — nie gadam. To prezes nie wie, że oni w tej speluncie jawnie rozpustę uprawiają? Z takimi ludźmi...

Nie łatwo było też ze stroną przeciwną.

— Taki to i ksiądz — bił pięścią o stół sekretarz Klubu Wyrzek — nas posądza nie wiadomo o co, a sam kobity w Domu Parafialnym po godzinach urzędowych przyjmuje. Na nas wydziwia, a sam dżinu trzy butelki tygodniowo wypija. Równe trzy. Sam kościelny Guduś powiadał.

— I co złego, proszę pana — piszczął skarbnik — że do nas Angielki przychodzą? Wciąż patriotą nie można być, człowiek ma swoje prawa do zabawy. A że któryś tam jakąś przyciśnie do muru, to co złego? W tym kraju? Pan z Londynu, to pan sam wie, jak w tych parkach na trawie leżą na sobie i żaden ichni ksiądz z ambony nie wyklina. A Polus sobie cichutko przygrucha w Klubie i już awantura jakby Częstochowa się paliła.

Prezes niemo potakiwał robiąc minę pełną ubolewania. Nie odmawiał, owszem, zgadzał się na wszystko, tylko wątpił, czy ksiądz się zgodzi.

A ksiądz Własny nabrawszy oddechu po ostatnim Amen oznajmił solennie.

— Zapowiadam, że dziś o drugiej po południu odbędzie się zebranie publiczne w sprawie tysiąclecia Polski chrześcijańskiej. Nie żadne bolszewickie Millenia ani szkoły tysiąclecia, ani komitety olimpijskie, których namnożyło się jak szarańczy w Izraelu, ale właśnie że to tysiąc lat temu nasi przodkowie chrzest święty przyjęli. Na zebranie, zapowiadam, przyjść może kto zechce, choć

by i taki co do Domu Parafialnego dotychczas nie raczył. To niech teraz raczy. Zapraszamy. I prosimy pamiętać, że to nasza przystań chrześcijańska, póki swego kościoła nie zbudujemy, jedyna przystań pokory i wiary, i ładu w naszym polskim Whitechesterze. Amen.

— Ładnie to ksiądz powiedział — chwalił pobożnie Guduś pomagając kanonikowi zdejmować szaty w zakrystii.

Już szykowało się następne nabożeństwo i piegowaty Irlandczyk, ksiądz MacCulluch, czekał na stułę i albę. Biedny kościółek na przedmieściu niewielkiego miasteczka zbyt był ubogi, aby mieć na każdą okazję po kilka stuł.

— Ja bym nie przyszedł — dogadywał Guduś — jakbym był takim prezesem, to po tych wygaduszkach nie przyszedłbym.

— Przyjdzie — burknął ksiądz — na 11 listopada nie przyszedłby, ale na tysiąclecie przyjdzie.

— Prawda — skłonił się Guduś — jak te anioły do Rzepichy, akurat tysiąc lat temu. A widział ksiądz kanonik? Jego magnifika była. Nie weszła do ławek i tylko stała przy chrzcielnicy, ale była.

— Tysiąc lat temu musiałyby stać w sieni — powiedział ksiądz wcale nie zauważając, że dla własnych celów igra z prawdą historyczną.

Już mieli wychodzić, gdy drzwi do małej zakrystii uchyliły się i pan Bulwek wsadził swój czerwony nos.

— Księżę kanoniku — szeptał podniecony — ja się stawię na zebranie. Stawię i przyniosę, ksiądz wie co. No ja już to przyniosę. Całą noc pracowałem, aby było gotowe i jest. Przyniosę.

Ksiądz jakby nie słyszał. Zwrócił się do O'Ryana, właściwego zakrystiana, i omawiał z nim nabożeństwa w tygodniu. Pan Bulwek znikł.

Dom Parafialny postawił się na całego. Stół nakryto zielonym sukmem, krzesła ustawiono szeregami i nawet lustro nad marmurowym kominkiem wytarto na glanc. Guduś postarał się razem z panią Kaminkową, którą jedni nazywali gospodynią księdza, inni jego zmartwieniem.

Delegat zasiadł po środku, z prawej miał proboszcza, z lewej prezesa. Jak orzeł rozdarty sprzecznymi uczuciami na troje.

Z pewnością ta niezwykła figura dyplomatyczno-polityczna przyczyniła się do dużej frekwencji. Już pan delegat w swej przemowie doszedł do słubów Jana Kazimierza, a jeszcze wpychałi się spóźnieni patrioci. Przeciskali się między krzesłami, szeptałi słowa przeprosin i oczami błagali o przebaczenie i delegata, i księdza, i prezesa.

W pierwszym rzędzie prezes Akcji Katolickiej rozpierał się

obok pani Kaminkowej. Dalej pani Furgajło odsuwała się od krewkiego sekretarza Klubu, Wyszka. Pan skarbnik pocił się za plecami innej podpory parafii, pani Łączkickej. Publiczność wskutek własnej niepunktualności była dość wymieszana, bo kto przyszedł późno, musiał siadać byle gdzie, nawet obok swego wroga z przeciwnej strony Banners Road.

Prelegent mówił o ślubach jasnogórskich.

Miał całą mowę, jak to się mówi, wbitą w łeb na amen, jechał gładko bez potykania się, nie przynosząc ujmy Londynowi. Wiadomo, stolica, chociaż nie ta, ale zawsze.

Otrzymał oklaski w miejscu które dramatycznie kończyło się słowami:

— A my? A my, kochani słuchacze? Tysiąc lat polskiej historii na nas patrzy!

Ksiądz Własny wstał szybko, bo bał się aby prezes nie wyskoczył.

— Tysiąc lat to tysiąc lat — powiedział — i wszystko co mówił pan delegat to prawda. Nie będę się powtarzał, bo to nie kościół i nie ambona, z której we właściwym czasie wszystko jak Pan Bóg i Kościół, Nasza Matka przykazują w bożym duchu wam, kochani parafianie, objaśnię. Tu chodzi o lata obecne. Zebraliśmy na kościół dwa tysiące trzysta czterdzieści pięć funtów i jedenaście szylingów. Każdy może sprawdzić, bo fundusze parafialne są na widoku. Ot na ścianie wykres — pokazał ręką za siebie — wyraźnie pokazuje. Zebraliśmy dwa tysiące, ale to źle. Tysiąc lat temu Polska się ochrzciła, a my na tę rocznicę kościoła własnego nie mamy.

Ksiądz uczynił wymowną pauzę, a panie Kaminkowa i Furgajło wyraźnie chlipały, biorąc jakoby winę na siebie.

— Kościoła nie mamy, ale możemy mieć; nie na tysiąclecie, ale na rok tysiąc pierwszy.

— Możemy założyć klub sportowy Millenium — zawołał z tylnych rzędów Bączek.

Ksiądz Własny skrzywił się. Mógł się czegoś podobnego spodziewać, nawet bez daru czytania myśli na odległość, powinien był przewidzieć takie wystąpienie.

— Proszę nie żartować — krzyknęła piskliwie pani Kaminkowa broniąc swego proboszcza — mówimy poważnie.

— Dlaczegoż by nie klub sportowy? — złośliwie podjął sprawę pan Jaciński — w zdrowym ciele zdrowy duch. Nasza młodzież w pełni zasługuje na taką imprezę.

— Drodzy państwo — wtrącił delegat z Londynu — wasze lokalne potrzeby mogą być zaspokojone w każdym terminie. W związku z tysiącleciem chcielibyśmy, abyście wzięli udział w jakiejś większej, szerszej zakrojonej akcji.

— Wiemy, o co panu delegatowi chodzi — wyskoczył Bączek — pewnie pan delegat chce składki zbierać na Londyn. A my nie damy. My mamy swoje tysiąclecie.

Kanonik stojący przy stole wyglądał jak czarny kloc pozapinany na małe guziczki sutanny. Na słowa Bączka zatrzęsł się z oburzenia.

— Komu to o tysiącleciach rozsądzać — zawołał, podnosząc głos. — Panie Bączek! Wara. Tu chodzi o święcenie chrztu Polski, nie o zabawę karnawałową.

— Ksiądz kanonik wybaczy, że nie rozumiemy — podniósł się z drugiej strony delegata prezes Jędroł i uśmiechnął się jałowicie.

— Mówię wyraźnie — odpowiedział surowo ksiądz — kiedy mowa o chrzcie, to kościół ma najwięcej do gadania. Czyż może być lepszy sposób uczczenia niż wystawienie kościoła? Dwadzieścia lat żyjemy tu na tej ziemi i nie mamy własnej świątyni. Dziś na ten przykład aż wstyd mi było, gdy O. Ryan na mnie zza drzwi kiwał, żebym nabożeństwa nie przeciągał. U obcych się gnieździmy, kochani, u obcych.

— Proszę o głos — zapiszczał dyszkant kobiecy.

— Proszę — ucieszył się delegat — bardzo proszę. Pani...?

— Agnieszka Jacińska — podniosła się sucha kobietka w przekrzywionym kapelusiku — jestem żoną tego samego Jacińskiego, co przeciw księdzu wygaduje...

— Dałabyś spokój, kobieto! — odezwał się Jaciński z drugiego rzędu.

— Ja chcę powiedzieć tylko, że Millenium to jest jedyna okazja, żeby się ksiądz z prezesem pogodzili. Cała Polska się godziła tysiąc lat temu, a my w takim małym Whitechester mamy się kłócić?

— Święta racja, pani Agnieszko — zawtórował gruby głos z głębi sali spod kominka i nagle zerwały się oklaski.

Ksiądz gwałtownie usiadł i wyduł wargi. Jędroł uśmiechał się złośliwie.

— Proszę koleżanek i kolegów — zaczął delegat, ale mu przerwano.

— Tylko bez kolegów — zawołał szyderczy głos.

— Proszę szanownych państwa — poprawił się delegat czerwieniąc — przecież o tę zgodę właśnie chodzi. My chcemy, aby wszystkie ośrodki połączyły się w tej zbożnej akcji, wzywamy do działania ześrodkowanego, razem.

— Kto my? — znowu gruby głos spod kominka zahamował delegata.

— Nie chcemy żadnych akcji z góry, kłóćcie się sami.

— A jutro przyjedzie inny delegat i to samo powie, tylko na odwrytkę.

— My mamy nasze millenium.

Delegat rozłożył ręce bezradnie, spojrzął na kanonika, na prezesa i szepnął pod nosem: Tak zawsze, tak to zawsze.

Jędroł jakby czekał na to zaspuntowanie zebrania, wyskoczył do góry i podnosząc rękę zawołał:

— Wzywam do poważnego traktowania dezyderatów. Pano-
wie i Panie, o każdej rzeczy można podyskutować w odpowied-
nim nastroju. Ja zgadzam się z księdzem kanonikiem, że naj-
większa potrzeba to kościół, nasz własny kościół.

Uderzyły brawa od strony pani Kaminkowej i Furgajto. Ka-
nonik spojrzął koso, podejrzliwie.

— Klub sportowy, panie prezesie — krzyknął Bączek.

— Nie! — machał ręką Jędroł — Kościół, ale w swoim
czasie — tu ksiądz uśmiechnął się złośliwie przejrząwszy taktykę
przeciwnika, a Jędroł dalej chytrze dążył do swego. — Moim
zdaniem to co możemy tu zaraz uchwalić to, niestety, nie świą-
tynia, na pewno nie klub sportowy, nie jakieś mityczne zgody,
ale uczciwie i szczerze powiedzmy, że potrzebujemy klubu dla
naszej młodzieży. Młode pokolenie do nas wyciąga ręce.

— Poślij mu pan paczkę do kraju — krzyknął ktoś z tylnych
rzędów i Jędroł zaczerwienił się gwałtownie.

— O młodych gada, a z kobietą bez ślubu żyje — głośnym
szepem syczała Kaminkowa.

Jedni się śmieli, inni bili oklaski, inni szurali krzesłami.
Ksiądz wesoło błyskał zza okularów. Delegat wzruszał ramiona-
mi i spoglądał na zegarek.

W tę właśnie nieprzystojną zawieruchę wszedł Bolesław Bul-
wek ze swym potężnym obrazem zawiniętym w worek.

Bulwek należał do mężczyzn, którzy zamiast starzeć się powra-
cają do czasów dzieciństwa. Twarz im pełniej, czaszka traci
szywne właki i porasta mięciutkim puszkciem, pod brodą zwisa
różowy walek tłuszczu, rączki stają się maleńkie z paluszkami w
wiecznym ruchu, gotowymi zawsze coś spsościć. Mała korpulentna
figurka też upodabniała go do kilkuletniego chłopczyka. Tyle w
panu Bulwku było tej chłopcęości, że nikt nie nazywał go ina-
czej niż „nasz Boluś”. Nawet angielskie dzieci kupujące lizaki
i lody w jego sklepiku wołały na niego „Bolusz” i nie czuły
dla niego najmniejszego szacunku.

Ale w małym ciele Bolusia żył wielki duch artysty. Michał
Anioł też miał poważny „handicap” w życiu nie posiadając ciała
swego Dawida ani powagi Mojżesza. Boluś tak jak Michał Anioł
nie chciał zadowalać się niczym malutkim, marzył o zamalowaniu
wszystkich ścian w przyszłym polskim kościele, którego zbud-

wanie obiecywał ksiądz kanonik Własny. Tymczasem pędzlował
po blasze stwarzając wielkie herby polskich miast, niezliczone orły
w koronie, naturalnie z krzyżem, tarcze odznak wojskowych i
flagi — wszystko na akademie, które dekorował z wielkim
rozmachem.

W domu wymalował już kilka portretów sławnych ludzi. Sien-
kiewicza z brodą, Napoleona III, Prusa bardzo podobnego do ko-
legi po fachu, Kościuszkę z oczami wzniesionymi w górę i smutny
wizerunek Chrystusa w olbrzymiej koronie cierniowej. Ten po-
bożny i żal w sercu wzbudzający obraz ozdabiał Dom Parafialny
na wszystkich akademiach ku czci Chrystusa Króla.

Trzeba przyznać, że pan Bulwek swe zdolności artystyczne
i płody swego talentu sprawiedliwie rozdzielał na obie strony
Banners Road.

W klubie po lewej stronie baru wisało słynne Bolusiowe
Monte Cassino. Z powodu tego zamalowanego na szaro i czer-
wono płótna wiele wylano łez i wódki.

— Czyś pan zwariował, panie Boluś — krzyczał Jaciński. —
Ja tam był. Ja to widział na własne oczy, a pan takie koszmary
malujesz. Gdzie żołnierze, gdzie bitwa? Czy to są maki? Większe
od głowy byka!

— Zupełnie trafnie oddał nastrój tamtych czasów — opono-
wał Kierownik — tylko ten lewy strzelec peźnie ze złamaną
nogą, czy co?

Podobne uwagi nie gasiły jednak entuzjazmu zwłaszcza wśród
dawnych żołnierzy, którym, krzywa noga czy nie krzywa, maki
czy nie maki, ale obraz przynosił tyle wspomnień, że nagasić się
ich nie mogli zalewając pracowicie.

W sumie trzeba powiedzieć, że Dom Parafialny i Klub i
wszystkie Polusy Whitechesteru dumni byli z Bolusia Bulwka.
Uznawali w nim prawdziwego artystę.

Teraz tryumfalne wejście owego artysty z płonącymi oczami
i wielkim pakunkiem pod pachą poderwało wszystkich.

— Kto to? — spytał delegat Jędroła.

— A, to Bulwek, Boluś Bulwek, nasz malarz nadworny, na
pewno coś nasmarował i chce wszystkim pokazać.

Boluś pchał się do przodu. Odsuwał łokciem natrętów, zby-
wał milczeniem pytających i przeciskał się aż do stołu prezydial-
nego.

— Księżę kanoniku — powiedział unosząc głowę jak naj-
wyżej — panie rodaczki i koledzy! Pomyślałem sobie, że wy
uczciecie nasze tysiąclecie godnie i ja też jakoś muszę i oto ofia-
rowuję komitetowi Millenium ten oto obraz przedstawiający Bo-
lesława Chrobrego największego naszego króla. Gdzie to zawie-
sicie, to rzecz szanownego komitetu, ale ja proponuję, aby to z

czasem wisiało w naszym polskim kościele. Może w zakrystii, może w bocznej nawie, jak będziecie chcieli.

Mówiąc to postawił obraz na stole zasłaniając delegata i Jędroła a kanonikowi grożąc wybicciem oka.

Przez chwilę zapanowała cisza. Wydawało się, że zabrani zostali olśnieni arcydziełem i nie mogą przemówić. Ksiądz kanonik ostrożnie, aby nie zawadzić o obraz, kto wie czy nie „świeżo malowany”, wyszedł przed stół przydzielny i skrecając głowę bokiem przypatrywał się arcydziełu.

— Co to ma być, panie Bolesławie? — spytał łagodnie.

— To jest scena z naszej przeszłości — odpowiedział Bulwek dumnie patrząc na salę — Bolesław Chrobry wbija słupy w Odrę i Nysę.

— Aha — westchnął ksiądz — przypomina to trochę chrzest Polski malowany przez Matejkę.

Już i delegat razem z Jędrołem przeszli na front przyglądając się obrazowi. Kilku siedzących w przednim rzędzie powstało. Z tyłu zaczęto wołać „nie zasłaniać”. Jeden drugiemu szeptał jakieś uwagi krytyczne, jeszcze ściszone i nieśmiałe.

— Faktycznie — odpowiadał Bulwek księdzu — szukałem jakiegoś obrazu na wzór i właśnie w tej książce, co to nasz profesor mi podarował, znalazłem ten o chrzcie. Powiedziałem sobie, że najbardziej się nadaje.

— Szkoda, że pan nie zrobił po prostu chrztu. Bardziej nadawałby się na Millenium — zabrał głos delegat — który, widać było wyraźnie, starał się nie okazywać zdumienia.

— Chrzest, chrztem — wyprostował się Boluś — a dla mnie najważniejszy jest Chrobry. To był potężny król.

— Racja — potwierdził Jędroł — gdyby nie Chrobry, nie mielibyśmy dziś tysiąclecia.

— Panie Boluś — zawołał Bączek — a dlaczego te słupy takie krzywe?

— Dla pana nie ma nic świętego — oburzyła się Kaminkowa — ja tam żadnych słupów nie widzę, tylko Matkę Boską Częstochowską.

Profesor Durulski, naczelny intelektualista Whitechester, powstał z krzesła i podszedł do obrazu. Zamilkli wszyscy oczekując jego opinii.

Profesor zdjął jedne okulary, schował je ostrożnie do kieszonki, a wyjął drugie i przysuwając twarz blisko płótna wodził oczyma po farbie tak blisko, że groziło mu zazielenienie nosa.

— Tak — powiedział wreszcie — gdyby nie ta farba trochę, że tak powiem, zdumiewająco zielona, podobieństwo do Matejki byłoby pełne. Pan, panie Bolesławie, trzyma się raczej jaskrawej strony życia?

— Nie mogłem trawy malować inaczej, panie profesorze — oburzył się z lekka Bulwek — ja na tych nowszych abstrakcjach się nie znam.

— No i Matka Boska — ciągnął dalej profesor odstępując trochę — czy pan zdaje sobie sprawę, że nawet legenda o naszej Czarnej Madonnie powstała w czasach późniejszych niż panowanie Bolesława Chrobrego.

— Dobrze, że jakąś świętość wymalował — zapiszczał lekliwie Guduś — a to niektórzy na to tysiąclecie zupełnie o Panu Bogu zapominają.

— A Chrobry — profesor nie zważając na podpowiadania badał dalej obraz — to moim zdaniem przypomina naszego szlachetnego prezesa. Czy pan zechciał pozować do tego obrazu? — zwrócił się do Jędroła.

Prezes zacerwienił się i zaczął z miną zagniewaną potrzącać to na obraz, to na Bolusia.

— A ten niewolnik, który wali w największy słup — zawołał Jaciński — to kubek w kubek nasz kanonik.

Teraz ksiądz się porwał ku malowidłu równie czerwony ze złości jak prezes.

— Zgoda buduje — przeczytał na głos delegat.

— Panie artysto — po chwili, gdy jakoś ucichło trochę ogólne podniecenie, zapytał delegat Bulwka. — Rozumiem doskonale intencję pana, ale chciałbym zapytać, jak pan planuje wykorzystanie pańskiego dzieła.

— Jak wykorzystać? — spytał zdziwiony Bulwek — Ja to malowałem, a co z obrazem czynić, niech postanowi to zebranie Polaków w Whitechester.

— Taki obraz powinien wisieć w kościele — odezwała się pierwsza Kaminkowa.

— Albo w klubie — zaprzeczył Jaciński. — Chrobry jest patronem żołnierzy nie dewotek.

— W klubie mamy dosyć żołnierzy z połamanymi nogami — wołał Bączek.

— Uważam, że Dom Parafialny powinien od malarza kupić jego dzieło i dla uczczenia Millenium powiesić w wielkiej sali — wydał poważną opinię prezes Jędroł.

Ksiądz kanonik błysnął oczami.

— Jeżeli mamy wydawać pieniądze — zawołał — to wydajmy na rzeczy pożyteczne. Możemy wydrukować broszurę jakąś albo całą książkę.

— O tych myślach, co je księdzu komuniści wykradają — krzyknął Hakowski i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ksiądz zrobił się purpurowy. Delegat schylił głowę w stronę prezesa i Jędroł szeptem mu wyjaśniał, na czym polegał dowcip.

Księdzu było za wiele.

— Panie Bulwek — krzyknął — zabierz pan to paskudztwo i wieszaj pan gdzie chcesz. Najlepiej w Komitecie Olimpijskim, albo w reżymowym towarzystwie Nysy i Odry.

— Hola, księże kanoniku — podniósł się Jaciński. — Tak nie można. Człowiek pracuje w pocie czoła, maluje po nocach i ciężkie pieniądze traci na farbę, a ksiądz go tak postponuje. Panie Boluś, chodź pan stąd. Tu nijakiego wyrozumienia dla artystów i patriotów pan nie znajdzie.

— Chodźmy stąd poderwał się Hakowski, a za nim Bączek.

Nagle ludzie poczeli wstawać i tłoczyć się do wyjścia. Bulwek zarzucił worek na swój obraz i nie patrząc nawet na księdza ruszył do drzwi.

Jędroł pożegnał księdza kanonika ironicznym spojrzeniem i wyszedł, ale przed Domem Parafialnym zatrzymał się i zaczął na delegata.

— No widzi pan — powiedział pokrywając miną pełną ubolewania złośliwą radość jaka go rozpierała. — Z księdzem tak zawsze. Albo tak jak on chce, albo wcale. Hitler w sutannie.

— Może da się jakoś załatać — martwił się delegat idąc powoli ulicą. — Może by inne zebranie? W klubie?

— Kanonik nie przyjdzie do klubu. Żeby to było milioniecie też by nie przyszedł. Pan wie, o co do mnie ma pretensję?

Delegat odwrócił głowę udając, że zainteresował go wielki Jaguar sunący jezdnią.

— Jemu szkodzi, że żyję bez ślubu — zalił się szczerze Jędroł. — A co człowiek może robić? Wojna. Moja żona rozvodu mi nie chce dać, a przecież do Polski nie mogę wracać. Co robić? Życie.

— Tak, tak — potakiwał delegat — życie nas wszystkich łamie wedle praw natury. Nic na to nie poradzimy.



Ksiądz kanonik Własny siedział przy stole i oparłszy łokcie o blat zaciskał palce na skroniach. Nie wierzył, aby to pomagało mu w wysyłaniu myśli na odległość ani zapobiegało wykradaniu ich przez wroga. Po prostu chciał się skupić. Rozdział ostatni traktujący o obronie przed OMO — odczytywaniem myśli na odległość — szedł jak z kamienia.

„Prośmy Boga, aby ujawnienie i wprowadzenie w życie społeczeństwa funkcji OMO nastąpiło w porę. Aby władze kompetentne USA i ONZ zrozumiały niebezpieczeństwo, które światu gotuje piekielna maszyna komunistyczna. Wyczytywanie dokładne myśli i kradzenie ich ludziom takim jak prezydent Stanów, czy kardynałowie może spowodować katastrofę światową...”

Dalej ani rusz nie szło. Jak trudno przystępnie wytłumaczyć to, co się samemu doskonale czuje.

Jak trudno — kanonik mimo woli westchnął na tę myśl — wprowadzić w codzienne życie idee wielkie i świat cały obejmujące. Gdyby posiadał najmniejszy choć aparat OMO, mógłby łatwo dać sobie radę z Jędrołem i jego kolegami.

„Pasterzu, czyń porządek na swym podwórku” — przypomniało mu się to zdanie z pierwszego rozdziału z wezwania do prezydenta Johnsona. Czy ksiądz Własny potrafiłby ten porządek zaprowadzić? Kiedy kazał z ambony rzucając najstraszliwszą broń ludzkości logikę argumentu i wiarę w posłannictwo — myśli swe zdawałoby się niepokonane, to widział na twarzach Jędroła i innych grzeszników uśmiezek szydery. Aparaty OMO nastawione negatywnie broniły ich przed prawdą.

— Nie wystarcza wiedzieć — powiedział głośno podrywając głowę — trzeba jeszcze umieć.

— Niechże kanonik przestanie myśleć i myśleć — zawołała wchodząc do pokoju pani Kaminkowa; niosła filiżankę kakao, bo właśnie na to była pora — z myślenia nic nie przychodzi. Kanonik się denerwuje tylko i ludzi zraża.

— Człowiek więcej myśleniem uczyni niżli pochopnym czynem.

— Ja tam się nie znam na tych mądrościach, które kanonik pisze i pisze — wzruszyła ramionami Kaminkowa. — Pisarze powinni pisać, a księżom to nic po tym. I te jakieś aparaty i ONZ-ety i całe to niezrozumiałstwo. Lepiej jak ksiądz Korobiej leczyć ludzi niż pisać książkę. Ksiądz Korobiej z Castleborough każdego małym palcem wodzi za nos jak chce. Albo robią tak jak jemu się podoba, albo żadnej migreny ani zółci zapiekłej nie uleczy. Szanują go. Czy kanonik wie, że nawet Tekla od Jędroła była u księdza Korobieja, żeby dłonie na nią nakładał?

Kanonik Własny znów podniósł ręce, ale nie do skroni, ale do uszu, które szczerze zatykał, krzywiąc się od mdłego zapachu kakao.



Boluś Bulwek nie mógł zasnąć długi czas. Bolała go cała sprawa i gniewało powszechne lekceważenie. Nawet Jaciński w końcu powiedział, że obraz Chrobrego nad Odrą powinien być przerobiony. Pocięty: część religijna do Domu Parafialnego, część świecka do Klubu.

— A ten napis o zgodzie, to powieś pan u siebie w sklepie.

Wtedy Bulwek postanowił cały obraz zatrzymać dla siebie i z tym postanowieniem zasnął.

Ulica — najważniejsza w Whitechester, choć o tym mało kto wiedział — Banners Road zasypiała i budziła się jeszcze kilka razy i zawsze ta sama bez zmian. Dom Parafialny żył swoim życiem pod komendą Kaminkowej, pod opieką Gudusia i patronatem kanonika męczącego się nad zakończeniem książki o odczytywaniu myśli na odległość, OMO. Klub pusty cały dzień otwierał się wieczorami, hałasował pełen muzyki, przekleństw pospolitych i pisków kobitek.

Postanowiono, owszem, w sferach parafialnych zorganizować akademię i zaprosić na nią biskupa, potem odprawić szereg nabożeństw.

W klubie zapoczątkowano organizację drużyny sportowej „Millenium” i już mówiono o meczu z tutejszym klubem amatorów „Northenią”. Akademię też przygotowywano i prezes Jędroł kurtuazyjnie zgodził się na termin późniejszy po akademii księdza.

— Nie boimy się konkurencji — mówił popijając piwo z Kierownikami i trącając zasypiającą grubą Teklę — jak zawsze nasza uroczyśćość zaćmi te pobożne śpiewania.

— No i Boluś nie będzie kanonikowi dekoracji zawieszał — dodał Hakowski ciesząc się z góry trudnościami parafii.

— A swoją drogą — zauważył Kierownik — na Millenium można by inaczej.

— A czy pan wiesz, co to jest Millenium? — spytał Jaciński. — Bo ja nie rozumiem, o co wszystkim chodzi. Nie było nas był las i koniec. Za tysiąc lat znów wszystko od początku. Czasem zdaje mi się, że rocznice diabeł wymyśla, aby ludzie mieli się o co kłócić.

W sklepie Bolusia Bulwka Sienkiewicz i Prus, dwaj brodaci jęgomoście, zsunięci zostali ku kątom, a w środku zawisł wielki, zielony, szeroko błękitem wód i nieba otoczony wizerunek Chrobrego wbijającego słupy w Odrę.

Mister Wishaw, stary emeryt spędzający wiele czasu w sklepie Bulwka na gadaniu i wyjadaniu cukierków z gablotek, lubił wpatrywać się w krajobraz, jak to nazywał, Polish Highlands. Dzieci zagadywały o malowidło chcąc wkraść się w łaski skleparza.

Mały, dziecinny, patetyczny Boluś Bulwek opierał się o ladę i zaczynał:

— *There was a Polish king very, very strong king...*

I westchnąwszy kończył. Jakże trudno wytłumaczyć obcym to, czego rodacy nie rozumieją.

Napis „Zgoda buduje” zamalował na zielono.

Czesław DOBEK

Zygmunt

Oczywiście, gdyby mi ktoś był w tamtej, już odległej przeszłości powiedział, że będę miała zmartwienie z powodu głupiej bluzki, byłabym go uznała za wariata. Ale tak już jest. Minęły jakieś tam lata, wszystko się gdzieś zapodziało, zwietrzało, wyblakło i teraz jednak przejęłam się tą bluzką. Nie wiadomo czy to dobrze czy źle, ale co tam. Był u nas w Monachium jeden student, przeszedł wszystkie obozy jak należy, a kiedy go o coś pytano, odpowiadał zawsze: — nieważne, ty, nieważne. — Wtedy to była cała jego filozofia życiowa i wystarczała mu najzupełniej. A dziś jest lekarzem w New Jersey i podobno zarabia trzydzieści tysięcy dolarów rocznie. Najlepszy dowód, jak czasy się zmieniają. Trudno. Nie warto o tym nawet mówić.

Powiedziałam bluzkę wieczorem na sznurze we wspólnej pralni na naszym piętrze. Nie wpadło mi wcale, że mogliby mi ją ukraść. Jak to? Dom jest własnością uniwersytetu, mieszkają w nim starci, żonaci studenci i asystenci a poza tym już tylko wykładowcy, sama śmietanka. Okazuje się jednak, że nie tylko arystokracja kręci się po pralni, bo bluzka stanowczo znikła. Rano jej nigdzie nie było. Rozglądam się, pytam, nie do wiary, ale nie ma.

Ten dom to coś jakby hotel. Ciągłe się wprowadzają i wyprowadzają, bo zawsze przecież jest albo początek albo koniec semestru. Każda rodzina ma przynajmniej troje dzieci. Na winde trzeba czekać pół godziny. W korytarzach wiecznie stoją kufry, graty, walizki. Przed dom ciągle zajeżdżają ciężarówki, wozy meblowe. Ponad wszystkim unosi się niecierpliwa, tymczasowa aura niekończącej się przeprowadzki.

Jeszcze w południe byłam zła, ale na podwórku przy huśtawkach zawarłam znajomość z matką trojga rozkrzyczanych dzieci, i ona mnie oświeciła a zarazem pocieszyła, bo jej ukradziono w

wspólnej pralni dużo więcej rzeczy. Pytała jak bluzka wyglądała i wysłuchała uważnie mojego opisu. Że była biała w niebieskie groszki, z dużym kołnierzem i kokardą, właśnie taka najmodniejsza. I droga, bo nigdy nie kupuję nic taniego, choćby mi się nie wiem jak podobało. Nie uważałam za stosowne jej tłumaczyć dlaczego, więc powiedziałam, że z zasady. Dawno zauważyłam, że Amerykanie wielce szanują zasady i ten chwyt zawsze bierze. Jak tylko powiesz, że coś czynisz z zasady, od razu im zamykasz usta. Naprawdę to ślubowałam, że będę kupowała tylko drogie rzeczy, kiedy po mnie przyszli do klasztoru. Miałam wtedy dwanaście lat i nawet w obliczu śmierci widziałam niektóre skrawki życia oczyma zwyczajnej dwunastolatki. Między innymi podziwiałam elegantki śpiewające w chórze kościelnym. To było na sprzymierzzonej z Niemcami Słowacji, to nie była bieda z nędzą jak w okupowanej Polsce. Za korony słowackie można było dostać czego dusza zapagnie, były po sklepach nawet pomarańcze i cytryny (pewnie włoskie). Siostry mnie schowały, Niemcy odeszli, a ja ślubowałam różne takie głupstwa. Jak zwyczajna koza. Byłam wtedy wierząca i z chytrą wierzących starałam się umiejętnie szantażować Pana Boga. Szantaż nie jest tu zresztą odpowiednim słowem, bo przecież taka wymiana ślubów i łask jest zupełnie legalna. Trzysta dni odpustu za odmówienie takiej czy innej modlitwy. Kto wie, może ten ślub został przyjęty skoro żyję. Niestety ten rodzaj wiary zagubiłam z biegiem lat, głównie dlatego, że nie uważam więcej, jakobym miała coś ważkiego do ofiarowania w zamian za miłosierdzie boskie. Gdybym jednak to wszystko chciała wytłumaczyć mojej nowej znajomej, uznałaby, że ma przed sobą osobę pomyloną i nie chciałaby ze mną gadać. A tak kiwa głową ze zrozumieniem i żuje gumę. Włosy ma zakręcone. Amerykanki stale noszą na głowie cały sprzęt fryzjerski: wałki, zapinki, grzebyki. Ja już tego po prostu nie widzę. Ale jak ktoś przyjeżdża z Europy zaraz zaczyna się głośno dziwić, że one tak latają w biały dzień w papilotach.

Przy huśtawkach zrobiło się niesłychanie gorąco. Tu, jak mówią Polacy „na Młdweście”, są takie upały a ja przyjechałam z chłodnej północnej Kalifornii i pot się ze mnie leje ciurkiem. Powiedziałam do widzenia żującej gumę sąsiadce i poszłam czekać na windę.

Wchodzę do mieszkania i widzę, poprzez otwarte na przestrzal wszystkie drzwi, że przy oknie w sypialni stoi jakiś mężczyzna i tłucze młotkiem w parapet. Nie zdziwiłam się, bo oni tu ciągle przysyłają kogoś, żeby coś naprawił, obejrzał, sprawdził czy skontrolował. Raz kontakty elektryczne, raz kran, to znowu piec. Mieszkańcy domu sobie to niezmiernie chwają i uważają, że to jest jak znalazł, bo kosztu robocizny są wysokie a tu za

wszystko płaci uniwersytet i naprawia czy trzeba czy nie trzeba. Ja bym się bez tego obeszła. I jeszcze ci robotnicy malarze, ślusarze, stolarze ciągle czegoś potrzebują od lokatorów i o coś proszą. Czy nie mam śrubki czy nie mam gwoźdźca, albo każą sobie tu i tam podpisać na zatłuszczonych świstkach papieru. Ale kiedy podeszłam bliżej i ten gość odwrócił się od okna poznałam Zygmunta i on mnie też poznał.

Było tak kiedyś, że wszystkie różnice już się właściwie zatarły i byliśmy tam w Monachium jakby tacy sami. I Zigmunt i ja i Heniek, który mówił „nieważne”. Była tylko ta jedna wspólna przeszłość, dokoła której obracają się tysiące błahych, nieistotnych terazniejszych spraw zwanych życiem. Widoczna i namacalna trwała wśród nas, między nami, kiedy wysiadaliśmy w naszej studenckiej stołówce. Była gęsta, otaczała nas jak mgła i przesłaniała miłosiernie wszystko nieznanne, które gdzieś tam tkwiło poza nią. Nawet się nam nie śniło, że trzeba będzie wysunąć się stamtąd na zwyczajny niezrozumiały, obcy świat.

Stoję teraz w oslepiającym blasku południa i patrzę na Zygmunta. Myślę o Heńku, który bądź co bądź podobno zarabia trzydzieści tysięcy dolarów rocznie i o tym że Zigmunt tłucze młotkiem w parapet. I nie zdaję sobie sprawy, czy aby można się już dziś dopatrzeć między nimi jakiejś różnicy. Niezdecydowana wazę w myśli to i owo, ale nie dochodzę do żadnego wniosku. Ale Zigmunt po pierwszych powitaniach zaraz zaczyna sam.

— No widzisz, nie ukończyłem studiów.

Wtedy się zdawało, że to wszystko jedno. A może rzeczywiście wszystko jedno.

— Namówili mnie na emigrację. Żeby nie odkładać. Że niemieckie dyplomy nic nie warte.

— Pewnie i tak dobrze zarabiasz.

Jakoś nie wiem co dalej. O czym właściwie mam z nim mówić. Zigmunt odkłada młotek.

— Pamiętasz Helę?

— Tak. I co?

— Nic. Jej dobrze. Jest w Izraelu. Tam dopiero jest życie.

Podejrzewam, że życie dla Zygmunta jest tam gdzie jego nie ma.

— Rozwiódłem się z Helą.

— Nie wiedziałam wcale, że pobraliście się.

Patrzy na mnie nieobecny dalekim wzrokiem, któremu nie ufam. Coś widzi, gaje pomarańczowe, pustynię, palmy, morze. Idąc w duchu za jego spojrzeniem także coś, posłusznie widzę, ale niewyraźnie, bo nigdy w Izraelu nie byłam. Z podwórka dolatują piski bawiących się dzieci. Pomimo tego tu w mieszkaniu

cisza dzwoni w uszach. Koszula Zygmunta lepi się do ciała. Wokół nas drga dostrzegalnie rozżarzone powietrze.

Nagle Zygmunt uśmiecha się zwyczajnie i porozumiewawczo.

— Muszę się śpieszyć. Boss mi da szkołę. Robi się późno.

I znowu wali młotkiem w parapet, a potem podnosi go na wysokość głowy i uderza nim potężnie w framugę. Przechodzą mnie ciarki.

— Szyba wyleci.

— To nic. Przyślą inną i sam ci ją wstawię. — W głosie jego brzmi wyraźna nuta triumfu. Niby się tak przed chwilą śpieszył, ale teraz znowu odkłada młotek i zwraca się do mnie.

— Ożeniłem się z Helą. Ale to nie było dobre małżeństwo. Mówię ci, co to za rozkosz mieć własny kraj.

— Więc po co tu przyjechałeś?

Nie odpowiada. Nie sądziłam zresztą, że odpowie na takie prawie retoryczne i nietaktowne pytanie. Siadam na łóżku i ocieram pot z czoła. Zygmunt patrzy mimo mnie tym swoim dalekim obłąkanym wzrokiem. Tym razem nie widzę nic i nawet nie chcę wiedzieć na co patrzy. Ale widocznie znowu na te gaje pomarańczowe, bo zaczyna:

— Wiesz, idziemy raz z Helką ulicą. Helka gryzie czekoladę. Zjadła całą tabliczkę, staniol zwinęła w kulkę i schowała do kieszeni. Nie, mówię do niej, tak nie należy robić. Zabrałem jej kulkę, rozprostowałem świecący papier i położyłem na samym środku chodnika. Na znak, że mamy własne państwo. Że panuje wolność. Symbolicznie.

Może sobie kpi ze mnie. Ogarnia mnie uczucie niewypowiedzianej nudy. Przypominam sobie teraz, że zawsze dużo gadał. Nikt wtedy na nikogo nie zwracał uwagi. A dziś mnie to razi. Wszystko stało się inne, tylko on jeden jest jakby taki sam.

— A co u ciebie słychać?

Opowiadam mu o sobie. Niby słucha, ale widzę, że nic nie słyszy.

— Może byś mnie wyswatała z jakąś studentką — przerywa mi naraz. — Chcę się ożenić.

Nie wiadomo dlaczego przypomina mi się bluzka.

— Ukradli mi bluzkę.

— Kupisz sobie inną. Więc co? Przedstawisz mnie jakiejś dziewczynce. W celach matrymonialnych. Żadna lipa.

— Zobaczę. Przyjdź wieczorem. Pogadamy.

Nareszcie się zabiera do wyjścia. Poukładał w podręcznej walizeczce narzędzia do wstawiania szyb, naprawiania okien, czy czegoś tam. Przyglądam się jak zatrząskuje wieko. Od progu się odwraca.

— Nie musi być ładna. I nie taka najmłodsza. Chcę się ożenić, nie romansować.

— Nie znam tu jeszcze nikogo.

Diabli go nadali na ten Midwest. Nie może siedzieć w Nowym Yorku, jak każdy porządny emigrant. Zapomniałam się dowiedzieć, co tu właściwie naprawiał. Nie wydawało mi się, żeby coś było zepsute. Okno zostawił uchylone, żar bucha z zewnątrz. Co za fajtlapa, myślę ze złością mocując się z oknem.

Przyszedł wieczorem, potem znowu i w ogóle zaczął do nas zagładać. Mąż go polubił. Zygmunt słabo zna angielski i mąż uważa, że pewnie ma dużo do powiedzenia tylko nie potrafi się biedak wysłowić. Swoją drogą nie wiem czemu się nie poduczysz trochę angielskiego. Opowiada ciągle o Izraelu i doprawdy nie rozumiem po co stamtąd wyjechał. Chyba jedynie po to, żeby móc usychać z tęsknoty.

Coś majstrował na dole przy huśtawkach i przedstawiłam go tej zużyczonej gumie w papilotach. Nazywa się Jean. Zdaje mi się, że trochę z nią flirtuje. Ale zasadniczo postanowił się ożenić a Jean ma tych troje dzieci i rozeszła się wprawdzie z mężem, ale nie jest jeszcze rozwiedziona.

W naszej wspólnej pralni, gdzie pilnuję teraz moich rzeczy jak oka w głowie, Jean opowiada mi o Zygmuncie. Tak jak bym ją go nie znała. Jaki on jest szlachetny, zdolny, jak siedział w obozie, jak potem był w partyzantce, gdzie było podobnie jak na Korei, jak nie ukończył studiów i jak się z tego powodu gryzie. Z kolei ja kiwam głową. Dużo ona wie o Zygmuncie.

Pytałam go czemu się nie przeniesie do Chicago. Nie daleko stąd, duże miasto, pozna ludzi. Co będzie siedział w tej dziurze. Wzruszył tylko ramionami. Jeśli gdziekolwiek wyjedzie, to tylko z powrotem do Izraela. Ślicznie, mówię, jakoś się wcale na to nie zanosz. Czy nie lepiej zajmować się dniem dzisiejszym, niż jakąś przyszłością, która w ogóle nie istnieje nigdzie poza naszą wyobraźnią. Jeszcze dziś mógłby pociągiem popołudniowym pojechać do Chicago.

Co kilka dni pyta mnie, czy coś dla niego upatrzyłam. Z początku sądziłam, że żartuje, ale potem zrozumiałam, że on tę sprawę bierze poważnie, że rzeczywiście na mnie liczy. Powiedziałam, żeby się nie wygłupiał. Skąd mu mam wytrzasnąć żonę.

Jednego dnia, wczesną jesienią, przyszedł do mnie do biura. Usiadł ciężko na krześle i ni stąd ni zowąd oznajmił tajemniczo, że musi mi powiedzieć dlaczego nie może się przenieść do Chicago. Widziałam od razu, że zanosz się na dłuższą historię. Była pora obiadowa, Zygmunt się nie śpieszył.

— Mówiłem ci o Lewickim?

— Mówiłeś.

— Ten facet, który mnie odbił z transportu i z którym byłem w lesie.

Kiwam głową. Może mi przynajmniej oszczędzi szczegółów. Przecież żyjemy dzięki nadzwyczajności naszych losów i wobec tego nie są one właściwie niewykłe. Zresztą czytałam już o Lewickim. Młody chłopak, dowodził jakimś oddziałem leśnym. Odbili jedną ciężarówkę z transportu, który wieziono na stracenie, i Zygmunt był na tej właśnie ciężarówce. Potem się już razem z nimi pętał po lesie.

— Lewicki jest w Chicago.

Zygmunt uważa widocznie, że ta wiadomość powinna na mnie wyrzucić piorunujące wrażenie, bo patrzy na mnie z niedowierzaniem, kiedy mówię:

— Dobrze. Masz kogoś w Chicago.

— Ukończył tam studia i jest lekarzem.

Czekam na bliższe wyjaśnienie. Zygmunt się nie śpieszy. Za oknem zaczyna kropić deszcz. Myślę z żalem, że diabli wzięli mój lunch w jasnej i gwarnej kantine. Przecież on stąd nie wyjdzie przed pierwszą. Ciekawa jestem czy Lewicki zarabia tyle co Heniek. Ludzie nigdy nie mówią prawdy, gdy chodzi o zarobki. Niebo zanosi się coraz bardziej. Za chwilę lunie porządnie i może się przynajmniej ochłodzi.

— Chyba ratując moje życie spodziewał się więcej.

Czuję, że tu tai się sedno całej sprawy, ta jakaś tajemnica Zygmunta, ale nie zdobywam się na wysiłek zrozumienia. Nie mogę się skupić na Lewickim, na tej przeszłości, którą odsunęliśmy świadomie w głąb, która koniecznie musi stać się zamierzchnią.

— Jak to — mówię wreszcie, ażeby przerwać milczenie. — Nie rozumiem.

Ale właściwie to jest zupełnie proste i podczas gdy jeszcze mówię uparcie, że nie rozumiem, już rozumiem. Ratując życie Zygmunta, legendarny Lewicki zobowiązał go na zawsze. Zygmunt rozumuje, że z tym uratowanym życiem należało koniecznie coś począć. Zapatruje się na całą sprawę poważnie, solidnie, po kupiecku. Zaczyna mnie to nagle śmieszyć. Lewicki kupił kota w worku, los go nabrał. Sprzedano mu wybrakowany towar. Jakieś inne życie byłoby Lewickiemu dało pełne zadośćuczynienie.

— Daj spokój — mówię — Lewicki niczego się po tobie nie spodziewał. Spełnił jakieś tam swoje zadanie. Przecież sobie tych ludzi nie wybierał.

Zapalam się, porywa mnie moja własna logika. Mimowoli przejmuję jednak dosłowne, bezpretensjonalne rozumowanie Zygmunta, które przed chwilą wydawało mi się zupełnie niedorzeczne. W każdym razie nie chce mi się więcej śmiać. Pewnie by się

obraził, gdybym się rozeźmiała. Nie ma co, trzeba go jednak od tego Lewickiego oderwać.

— Wasze drogi dawno się rozeszły. To nawet nie ten sam Lewicki. To całkiem inny amerykański Lewicki, który z tamtym onegdajszym nie ma nic wspólnego.

— Lewicki zawsze i wszędzie będzie taki sam.

Co mam na to odpowiedzieć? Boli mnie głowa. Z korytarza dochodzą zmieszane odgłosy południowej przerwy.

— Widziałeś go w Chicago?

— Nie. Nie widziałem go dwadzieścia lat. Ale wiem, że on tam jest. Przecież nie mogę mu się pokazać na oczy z młotkiem, śrubokrętem, gwoździarnicą. Każdy głupiec potrafi uszczelnić okno.

Ta rozmowa staje się doprawdy z chwili na chwilę coraz głębsza. Czy nie wszystko jedno, co człowiek robi na tym świecie? Ciekawam czym Zygmunt chciałby Lewickiemu zaimponować. A skoro już mowa o Lewickim, dobrze, dajmy na to właśnie Lewicki, był bohaterem a teraz jest lekarzem. Mądry chłopak, umie się dostosować do okoliczności. A ten dureń nic nie potrafi.

— No i co — pyta — masz kogoś dla mnie?

— Nie. Wykładam tu. Nie zajmuję się swataniami. Przecież nie mogę się uganiać za studentkami.

Trochę to wypadło zbyt oschle. Trzeba było raczej obrócić ten projekt w żart. Spodziewałam się, że odpowie mi ostro. Byłam gotowa spuścić z tonu. Ale Zygmunt jakby natychmiast zapadł się w siebie. Twarz mu się wydłużyła. Powiedział pokornie i zarazem jak podejrzewałam z ulgą.

— Dobrze. Rozumiem. Przepraszam cię.

A jednak, strofuję się w duchu, tam w Monachium, wcale nie tak znowu dawno byliśmy na równych prawach.

Ściemniło się raptownie i teraz rzeczywiście, jak się spodziewałam, lunął gwałtowny deszcz. W półmroku wyteżam wzrok, żeby dojrzeć Zygmunta. Czuję, że mi się wymyka, już go prawie wcale nie widzę i nie wiem czy coś jeszcze mówi, bo deszcz dzwoni głośno i natarczywie o szyby i bębni po blaszanym dachu nad głową. Wstał z krzesła, snuje się niezdecydowanie to tu to tam po pokoju. Jest zamazaną sylwetką na rozplywającym się, niewyraźnym tle. Wyciągam rękę, choć nie wiem, czy na prawdę chcę go zatrzymać, czy powoduje mną niejasne zobowiązanie wobec tej dawnej stołówki studenckiej, która w jakiś sposób wydała nas wszystkim. Naraz głos Zygmunta dochodzi mnie całkiem wyraźnie od drzwi.

— Ty się tyle kręcisz wśród Polaków. Gdybyś tam gdzieś po tych ich poloniach spotkała Lewickiego, nic mu nie mów, że tu jestem. A gdybyście się o mnie przypadkiem zgadali, po-

wiedz mu, że jestem w Izraelu i nawadniam Negew. Susza, pustynia. Sama wiesz...

Może drzwi się za nim zamknęły, nic nie słyhać w tej wichurze. Coś jakby stuknęło, więc może wyszedł. Co mu tak zależy na tym Lewickim? Nie, grzmi chyba, bo on jeszcze stoi, ten huk to był grzmot. Zdawało mi się tylko, że to drzwi.

— Jak ty się tu właściwie dostałeś?

— Chciałem ukończyć studia.

— I co?

— Nic. Odechciało mi się.

— Więc po co tu siedzisz?

Nie ma odpowiedzi. Tym razem naprawdę go nie ma w pokoju. Burza rozszalała się na dobre. Nie wiem dokąd poszedł w taki ulewny deszcz.

Jednego piątku, w kilka tygodni później, spotkałam Zygmunta na trawniku nieopodal naszego domu. Był październik, wiał chłodny północny wiatr i świeciło blade słońce. Zygmunt siedział na trawie i jadł chleb z szynką. Koło niego leżała nieodłączna walizeczka. Stałam obok.

— Pewnie się śpieszysz — powiedział nie przestając jeść. I dodał — jest teraz przerwa w pracy.

— Wcale się nie śpieszę — zaprzeczyłam.

Od ostatniej rozmowy o Lewickim moje stosunki z Zygmuntem się rozluźniły. Nie przychodzi już do nas, choć wiem, że odwiedza Jean, która mieszka na tym samym piętrze. Nie pyta więcej o znajomości wśród panien nadających się do zamążpójścia. Unika mnie.

— Mówiłam ci sto razy, że nie masz w tym miasteczku nic do roboty — przystępuję do ataku wręcz — amerykańskim obyczajem wybudowano tu uniwersytet na pustkowiu. A o ile ktoś nie studiuje...

Czuję że źle zagałam moją przemowę. Trzeba inaczej. Jak tu u licha do niego trafić. — Nie chcesz do Chicago, przeniesi się do Nowego Yorku. Jest tam kilka kolegów z Monachium. — Nie, to nic nie warte, nie brzmi przekonywująco. Jakoś nie mam natchnienia. Zygmunt zuje swoją kromkę chleba. Staram się nie patrzeć na oślizgłą brunatną amerykańską szynkę. Ogarnia mnie zniecierpliwienie.

— Chcesz, siedź — wołam ze złością. — Nic tu nie wysiedzisz!

Dokoła trawników wolno, bezszelestnie przejeżdżają samochody. Ludzie wracają z sakramentalnych piątkowych zakupów. Wiatr staje się coraz bardziej lodowaty. Grabieją mi palce. Przebiegając przez tego Zygmunta. Ale znowu sobie przypominam

naszą studentką stołówkę i postanawiam jeszcze poczekać. Może jednak, choć raz, odpowie mi do rzeczy.

— Staralem się — odzywa się wreszcie Zygmunt. Mówi ci-cho, ale tak jakoś przenikliwie, że doskonale go słyszę. — Sama widzisz, nie idzie mi. Ożeniłem się z Helą. To było do niczego. Potem chciałem ukończyć studia. Wybrałem Chicago. Tam jest Lewicki. Mówili że tu jest dobry i niedrogi uniwersytet. Sądziłem, że ożenię się po raz drugi, będę żył jak człowiek. Właśnie tego nie potrafię... Nie potrafię żyć jak człowiek. Nie umiem się do tego zabrać. Wytłumaczyłaś mi, że nie możesz mi pomóc.

— Wcale tego nie powiedziałam — bronię się w nagłym zdenerwowaniu. — Tak nie można — Nic mi więcej nie wpada. I powtarzam raz jeszcze głupio i bezsilnie. — Tak nie można.

Zygmunt wstaje. Podnosi z ziemi torbę. Niespodziewanym ruchem wyciąga do mnie rękę.

— Dlaczego? — wołam w popłochu. — Dokąd idziesz?

— Pamiętasz nasz związek studencki? — pyta trzymając moją rękę w swojej szorstkiej dłoni.

Potakuję bez słowa.

— To było dla mnie. Jakaś sień między życiem a śmiercią, znana, wygodna jak korytarz między pokojem a kuchnią. Pętał się człowiek trochę jeszcze ogłuszony. Tam zawsze wojna właśnie skończyła się wczoraj. A od tego czasu...

Wypuścił moją rękę z uścisku. Opadła w dół jak niepotrzebny, porzucony przedmiot.

— Trzymaj się — powiedział już innym tonem. — Muszę się śpieszyć. Mam jeszcze do wykonania dwa zamówienia. — A potem dodał w zamyśleniu. — Ale w tej naszej stołówce było jednak wesoło, co?

I odszedł nie czekając na odpowiedź.

Usiadłam oszołomiona na trawie, tam właśnie, gdzie przed chwilą leżała walizeczka Zygmunta. Wpadło mi naprzód, że powinnam go była mimo wszystko zapytać, czy lubił swoją pracę. W końcu święty Józef był cieślą. Potem myślałam, że Zygmunt jednak był bardzo samotny i że nigdy go nie widziałam z nikim oprócz Jean. Często mówił o swoim bossie, ale nie wiedziałam kogo właściwie miał na myśli. Może powinnam była choć raz zaprosić go na kawę z tym bossem. Ale niby po co? I jeszcze starałam się przywołać w pamięci obraz tej Helki, z którą się podobno ożenił i rozwiódł, ale obraz był zatarty i niepełny. Siedziałam tak na trawie szczękając zębami z zimna, ale nie wymyślałam nic mądrego. A w końcu machnęłam ręką i powiedziałam sobie słowami Heńka — Nieważne, ty, nieważne.

Od tego oficjalnego niejako pożegnania już tylko rzadko widuję Zygmunta i prawie nigdy z nim nie rozmawiam. Kupił so-

bie motocykl i pędzi ulicami miasteczka. Miga mi stale tu czy tam. Ma ze sobą nieodstępną torbę i naprawia niezliczone okienne ramy, framugi, gzymsy, parapety. Mija mnie gdzieś na jakimś zakręcie i znika za rogiem. Czasem się nawet zatrzymuje. Nie gasi motoru i wykrzykujemy ponad nieznośnym warkotem kilka zdawkowych słów.

Raz, w szare jesienne popołudnie, ujrzałam go podczas wykładu przez okno, jak szedł na przełaj pożółkłym trawnikiem ku jednemu z budynków uniwersyteckich. Mżyło trochę, Zygmunt unosił się cały w srebrnoszarym obłoku. Mała salka wykładowa była przegrzana, kręciło mi się w głowie z gorąca. I w jednej chwili ogarnęło mnie niesłychane zdumienie nad własnym bytem. Przypominałam sobie słowa pewnego pisarza, które niedawno przeczytałam. Pisał, że tacy ludzie jak my powinni obcować tylko z innymi takimi samymi ludźmi. I tym już przesądził całą sprawę, do tego nie można było nic więcej dodać. Ale, pomyślałam złośliwie, sam pewnie także nie stosował się do tej rozsądnej zasady, i wcale nie sądzę, że chciałby zadawać się z Zygmuntem. Więc choć zasadniczo przyznawałam temu pisarzowi rację, Zygmunt za oknem odchodził ode mnie, mała coraz bardziej, wsiąkała jak mara w jesienny krajobraz. Mókł tam na deszczu pod gołym niebem, za mnie, za Heńka z New Jersey, za Lewickiego z Chicago, za wszystkich cwaniaków, którzy oszukawszy raz śmierć teraz nabijali w butelkę i życie. Wykoleił się rozsądnie, konsekwentnie i logicznie. Donaszał nasze wspólne losy takie jakimi nie są, ale jakimi powinny stanowczo być. I domyślałam się a nawet trochę już jakby widziałam, że na trawniku koło Zygmunta roilo się od tamtych ludzi, do których już tylko on jeden z nas wszystkich miał dostęp. Był tam cały świat mojego wczesnego dzieciństwa lekarze, nauczyciele, sklepikarze, rzemieślnicy, wujowie, ciotki i ich dzieci, zatopiona mityczna Atlantyda, w którą nikt już dziś nie wierzy. Rozpoznałam nawet tych nielicznych, którzy urodzeniem wcale tam nie należeli, ale połączyli się z tamtymi w śmierci. Był jednooki Kazik, przewodnik, który przeprowadził mnie przez granicę słowacką i jeszcze tej samej nocy zginął wróciwszy na polską stronę, wydany przez własnego rodaka. Zobaczyłam go jak malutki skurczony odchodzi w pustkę białej zimowej nocy na samotną, już zapomnianą, odartą z legendy śmierć. Czasem przed świtem kiedy się budzę a cały dom śpi jeszcze przemawiam do tego właśnie Kazika, o którym nie wiem wcale jaki był dobry czy zły, bo człowiek szlachetny niekoniecznie musi być dobry, głupi czy mądry. Przecież wiesz, zaczynam zawsze, że cała Europa od Moskwy po Paryż zdobyła się najwyższej na poetyckie podzwonne. A może zresztą nie wiesz, bo tak dawno cię już nie ma. Nie masz pojęcia ile papieru zapisano prozą, ile wierszy

machnięto na ten temat. Po co ci było, durniu, pchać się w nie swoje sprawy? Mogłeś szmuglować wódkę do Rzeszy. Zarobek ładny, nikt by na ciebie nie doniósł, a w najgorszym razie byliby cię posłali do obozu. Albo źle było handlować sacharyną? Przypominasz sobie kto wszystko handlował sacharyną? Chyba tyle sobie jeszcze przypominasz. Pozwól sobie przynajmniej teraz powiedzieć, że byłeś frajerem. I co ci w końcu z tego przyszło. Zapewniam cię, że nikt o tobie nie pamięta. Ja sama nie znam nawet twojego nazwiska a chyba przyznasz, że pamiętam cię lepiej od innych ludzi, których przez tę granicę przeprowadziłeś. Pamiętam nawet, że twoim ulubionym słowem było bardzo wtedy modne słowo „lipa”. Powiem ci po niewczasie, że największą pod słońcem lipą jest położyć głowę za sprawę przegraną gruntownie, z kretesem, przesądzoną i mogącą liczyć jedynie na literackie poparcie kilku biegle władających piórem sympatyków. To dopiero arcylipa. Oczywiście, łatwo mi wiedzieć to wszystko z perspektywy lat z górą dwudziestu, a nad tobą czy szumią czy nie szumią te wierzby płaczące z pieśni, ale w każdym razie już trawa dobrze zdążyła wyrósć. Wobec tego niech ci ziemia lekką będzie i światłość wiekuista niechaj ci świeci, bo moje argumenty są niezbite, potwierdzone przez historię i nie ma o czym gadać, już twojej śmierci nie włączysz należycie w bieg wypadków. Zostaniesz na zawsze dziwolągiem. A wyglądałeś na zwykłego sobie chłopca. Jedno ci przyznam, świetnie się orientowałeś w terenie. Trzeba było przemycić jakiś towar. Tak, masz rację, zaczynam się powtarzać. Tak przemawiam do Kazika o szarej godzinie zanim dzień nie wstanie na dobre i nie obudzą się w całym domu ci jacyś ludzie i ich sprawy, których sama obecność już pozbawia mój monolog wszelkiego sensu.

Coś tam mówiłam do moich studentów, a Zygmunt za oknem roztapiał się, zamazywał w szarudze.

Bluzka nie znalazła się nigdy, choć przepytywałam się pilnie wśród sąsiadów. Jean, która na rogu w „drugstorze” przegląda wiecznie pisma ilustrowane zapewnia mnie, że takie bluzki z kokardą i dużym kołnierzem już i tak wyszły z mody. Wystaje godzinami w pralni, bo jak odejdę, znowu mi coś świsną. Jean też często tam bywa i rozmawiamy. Pokumała się bardzo z Zygmuntem i przeważnie mówi teraz do mnie o nim. Włosy ma zawsze zakręcone. Zastanawiam się czy je w ogóle kiedyś rozczesuje. Może wieczorem do wyjścia? Ale dokąd Jean może chodzić wieczorami. Trzymają ją w tym domu z łaski, bo wraz z mężem, asystentem na jakimś wydziale, utraciła zasadniczo i prawo do mieszkania. W przesyconym parą powietrzu unosi się mdły zapach mydlin. Fioletowe światło neonowych lampek skacze po baterii stalowych rurek i grzebieni na głowie Jean. Jest codziennie

a zarazem nieprawdziwie. W tym nikłym, trochę chybotliwym świetle, pod jednostajny akompaniament przytłumionego łoskotu, ponad którym płyną niewyraźne słowa Jean, opadają mnie wątpliwości. Wszystko co dotyczy Zygmunta, cała moja o nim wiedza zaczyna się plątać i mieszać, staje się inna, niepojęta, coraz bardziej obca. Nie przerywam jej zwykle, ale raz zapytałam dlaczego Zygmunt wyjechał z Chicago. Chyba wiem, ile w Chicago na uniwersytecie kosztuje semestr, to było za drogie. Czy słyszała o Lewickim. Co za Lewicki? Nie, nie słyszała. Szperam gorączkowo w pamięci za jakimś niezbitym dowodem, który potwierdziłby istnienie Lewickiego, ale nie znajduję nic pewnego, nic niewzruszalnego. Może nawet czytałam gdzieś, że Lewicki zginął. A choćby sam pobyt Zygmunta na Midweście. Nie ma w nim przecież nic dziwnego. Przyjechał z pobliskiego Chicago, bo jest tu tani i dobry uniwersytet. Nie mógł sobie w Izraelu dać rady. W tym także nie ma nic nadzwyczajnego. Nie ukończył studiów. Więcej ludzi nie kończy studiów niż je kończy. Więc powoli zaczynam zmieniać zdanie, waham się i roztrząsam po cichu u siebie całą sprawę. Bogiem a prawdą, co ja wiem o Zygmuncie? Byliśmy kiedyś w Monachium w jednym związku studenckim, kiedy ja byłam na uniwersytecie a on był na politechnice, ale w tym związku było dużo różnych ludzi i nie powiem, żebym go tak dobrze zapamiętała. A ten Zygmunt, który się tu nagle zjawił, ten jakiś szklarz, stolarz, ślusarz z walizką i motocyklem zaczyna mi się po trochu wydawać tworem mojej własnej wyobraźni. Więc nie myślę już więcej, „dużo ona wie o Zygmuncie”, wręcz przeciwnie, myślę, „jak ta mądra, żująca gumę Jean jednak dobrze poznała Zygmunta”. Może się jeszcze śmiało okazać, że to ja nie mam o tym człowieku zielonego pojęcia a prawdziwego Zygmunta z krwi i kości zna właśnie ona Jean.

Jadwiga MAURER

OSTATNIE WIADOMOŚCI

**Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.**

**Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301**

Archiwum polityczne

Polityka wyrzeczeń

W swoim memoriale (szeroko rozesyłanym) rząd Federalnej Republiki Niemieckiej proponuje następującą kolejność ostatecznego rozwiązania „kwestii niemieckiej”: Pierwsze — zjednoczenie Niemiec, drugie — wolne wybory w zjednoczonych Niemczech, trzecie — utworzenie rządu zjednoczonych Niemiec, czwarte — konferencja pokojowa, która ustali ostatecznie zachodnie granice Polski.

Oczywiście kolejność całego programu winna być odwrócona. Z kim Niemcy chcą się jednoczyć? Z NRD, której granica przebiega na Odrze i Nysie. Uznanie tej granicy przez rząd w Bonn musi być więc krokiem wstępnym na drodze ku zjednoczeniu. Niemcy nie rozumieją, że gotowość do poniesienia pewnych ofiar jest często podstawowym warunkiem skutecznej polityki.

Wytrawny polityk na konieczne ofiary godzi się wcześniej — bo w ten sposób unika zwłoki w osiągnięciu celu głównego i zaoszczędza swemu państwu niekończących się komplikacji a nierzadko rozlewu krwi.

Francja po utracie Maroka, Tunisu. Indochin i td., — Algier traktowała nadal jako... departament francuski. Ileż można było zaoszczędzić krwi i pieniędzy, gdyby na rozwiązanie kwestii Algieru zdecydowano się wcześniej.

„Kultura” jest jedynym politycznym ośrodkiem emigracyjnym, który zdobył się na jasne stanowisko w sprawie Lwowa i Wilna. Uważamy bowiem — wbrew teozom polityki emigracyjnej — że poniesienie tej ofiary jest konieczne, jeżeli chcemy wyprostować nasze stosunki z Ukraińcami i z Litwinami. Poniesienie tej ofiary jest również niezbędne jeżeli chcemy bronić skutecznie i logicznie polskich Ziemi Odzyskanych.

Polityki wyrzeczeń nie rozumie Związek Sowiecki. Wyrzeczenie się błędnej koncepcji może być czasem jedyną metodą uratowania zdobyczy pracy pokoleń.

Komunizm w ogólności, a komunizm sowiecki w szczególności, nie zdołał do tej pory stworzyć sfery koegzystencji z religią i z nacjonalizmem. Przez nacjonalizm rozumiem w tym kontekście naturalne poczucie narodowe. Zarówno religii jak i poczucia narodowego nie można wyplenić, ponieważ człowiek od tysiącleci jest w tym kierunku genetycznie uwarunkowany.

Rosjanie stanowią zaledwie 54% ludności Związku Sowieckiego — lecz 82% książek i 85% dzienników i periodyków ukazujących się w Sowietach drukowanych jest w języku rosyjskim. Wszystko to jest w zgodzie z tezą Zaslawskiego, że język rosyjski jest językiem socjalizmu, podobnie jak francuski był językiem feudalizmu, a angielski językiem imperializmu.

Ordery nie mają nic wspólnego z językiem, niemniej faktem jest, że 75% „bohaterów Związku Sowieckiego” to rdzenni Rosjanie. Przykładów tego typu można by przytoczyć setki. W Związku Sowieckim — choć Rosjanie stanowią tylko połowę jego mieszkańców — kulturuje się jeden nacjonalizm, tj. wielkorusyjski.

Polska jest krajem komunistycznym i Ukraina jest krajem komunistycznym. Jednak różnice pomiędzy obu tymi krajami są olbrzymie. Kardynał Wyszyński jest konserwatywnym patriotą a Gomułka jest komunistycznym nacjonalistą. W Polsce Ludowej nie gnębi się nacjonalizm — gnębi się tylko dążenia niepodległościowe. Dopóki partia nie wyłoni kierownictwa, które cieszyłoby się poparciem społeczeństwa — rząd komunistyczny musi zabiegać o poparcie Moskwy, w przeciwnym wypadku wywieźliby go na taczkach.

Obiektywnie należy stwierdzić, że partia starając się zaprezentować narodowi w roli najbardziej nacjonalistycznej instytucji jaka kiedykolwiek w Polsce istniała — w gruncie rzeczy osłabia swoją własną pozycję. Dążenie do niepodległości jest głównym elementem poczucia narodowego. Konkurencyjne obchody tysiąclecia organizowane przez kościół i przez partię potęgują polski nacjonalizm a tym samym potencjalnie umacniają dążenia niepodległościowe. W Polsce partia dba o to by nacjonalizm nie wygasł i konkuruje z kościołem na tym polu. Na Ukrainie partia tłumi nacjonalizm a kościół nie odgrywa żadnej roli.

Wśród Polaków znajomość rosyjskiego jest (niestety) minimalna — na Ukrainie znajomość języka rosyjskiego jest zarówno życiową koniecznością jak i warunkiem sukcesu w każdej dziedzinie zawodowej działalności.

Do czego zmierzają te rozważania? Wydaje mi się, na dalszą metę nie będzie rzeczą możliwą w jednym państwie uprawiać nacjonal-komunizmu a w drugim sowieckiego komunizmu. Ten sam komunizm nie może być w Warszawie super-nacjonalistyczny a w Kijowie anty-nacjonalistyczny. Nie można w jednym kraju komunistycznym likwidować religii a w drugim kraju komunistycznym kardynała Rzymskiego Kościoła uważać za *de facto* pierwszą osobę w państwie. Nie można w jednym kraju komunistycznym prowadzić intensywnej rusyfikacji — a w drugim,

niemniej komunistycznym, kraju zrezygnować z nauczania ludzi przynajmniej alfabetu rosyjskiego.

Rosjanie muszą się liczyć z faktem, że kraje satelickie z biegiem czasu będą się coraz bardziej usamodzielniały i wypracują modele ustrojowe, których stosunek do religii i nacjonalizmu będzie całkowicie różny od wzorów sowieckich. (Kościół w Polsce jest nie tylko walczący lecz triumfujący, a Gomułka laicyzację kraju opóźnił o dziesiątki lat).

Za kilka lat, gdy w Polsce dojdzie do władzy pokolenie ludzi wykształconych, pokolenie dla którego Stalin i stalinizm będzie tylko znany z podręczników historii — wówczas siłą rzeczy nastąpią wielkie zmiany. Państwa satelickie — a w szczególności Polska — w niedalekiej przyszłości stworzą dla Rosji wielki problem. Zagadnienie polega na tym, że już dziś rdzenni Rosjanie „liberalnie” myślący, gotowi są przyklasnąć objawom „liberalizacji” w Polsce czy w Czechosłowacji, lecz nie na Ukrainie. W Moskwie znajdzie się miejsce dla śmiałego poety ukraińskiego — czy odważnego krytyka literackiego — pod warunkiem, że piszą po rosyjsku. Nawet wykształceni i naprawdę liberalni Rosjanie, jak śp. prof. Karpowicz, który kiedyś zaszczylił mnie pochlebną wzmianką — na dnie duszy nie uważają Ukraińców za odrębny naród.

Stalin był przeciwny inkorporowaniu Polski jako republiki sowieckiej. Wówczas bowiem Rosjanie w Związku Sowieckim stanowiliby mniejszość. Jeżeli jednak Rosjanie byli zdecydowani nie dopuścić w Związku Sowieckim do jakichkolwiek reform i przemian — winni byli zrezygnować z narzucania komunizmu krajom satelickim. Pro-rosyjskie rządy burżuazyjne w Warszawie, Pradze i Budapeszcie — reprezentowałyby w dalszej perspektywie daleko mniejsze niebezpieczeństwo.

Sądząc po wypowiedziach członków KC włoskiej partii komunistycznej w sprawie wyroku na Terca i Arzaka — oraz analogicznych komentarzy organów francuskiej partii komunistycznej nie mówiąc już o innych zachodnich partiach komunistycznych — można zarykować twierdzenie, że istnieje — jeżeli nie jawny sojusz — to ciche porozumienie pomiędzy antystalinowcami w Sowietach i na Zachodzie. To są fakty o wielkim znaczeniu.

W Polsce, gdy znikną ze sceny obecni przywódcy okaże się, że stalinowcy i neo-stalinowcy nie mają następców. Młodzi komuniści polscy czy czechosłowaccy są znacznie bliżsi komunistów włoskich czy francuskich niż stalinowców polskich czy sowieckich. Inicjatywy prez. de Gaulle'a — jak słusznie zauważył Walter Lippmann — zmierzają do likwidacji „zimnej wojny” w Europie. Nie przesądzając ostatecznego wyniku tych inicjatyw należy podkreślić, że likwidacja „zimnej wojny” na froncie europejskim musiałaby się wyrazić osłabieniem izolacjonizmu Rosji w sferze społeczno-kulturalnej. „Zimna wojna” broni ostatnich szanów stalinizmu. Zachodniej Europie „zimna wojna” nie jest potrzebna, ponieważ komunizm jej nie zagraża.

Należy więc stwierdzić, że jeżeli nie zajdą wręcz nieprzewi-

dziane okoliczności — Rosji będzie coraz trudniej izolować się zarówno od Europy wschodniej jak i zachodniej. Przywódcy sowieccy zaoszczędziliby sobie wielu kryzysowych sytuacji — gdyby już dziś zdali sobie sprawę z faktu, że w epoce, ku której zmierzamy — pozycję Rosji będzie można utrzymać tylko za cenę ustępstw i wyrzeczeń.

Związek Sowiecki w jego obecnej formie jest koncepcją carsko-imperialistyczno-stalinowską. To nie jest federacja, tylko stotalizowane rosyjskie stany zjednoczone.

Amerykanie są syntetycznym narodem emigrantów. Ukraińiec, Anglik czy Litwin — lądując w Ameryce — porzuca swoją ojczyznę i po pewnym czasie przyjmuje obywatelstwo amerykańskie. Lecz kto i w imię czego ma prawo wymagać od Ukraińca urodzonego i osiadłego na ziemi ukraińskiej, by przyjmował fikcyjną narodowość sowiecką? Jeżeli ktoś chce fundować nowy naród — tak jak Amerykanie — trzeba odkryć nowy kontynent.

Czechosłowaków jest tylko 13,6 milionów. Ukraińców jest ponad 40 milionów. Komunistę czechosłowacki jest Czechem lub Słowakiem — natomiast Ukraińiec żyjący na swojej ziemi musi być „człowiekiem radzieckim”. W licznych krajach istnieją poselstwa i konsulaty czechosłowackie — natomiast poselstw czy ambasad ukraińskich nie ma nigdzie.

Doświadczenie historyczne uczy nas, że żadne mocarstwo nie jest nigdy dostatecznie potężne, by zapewnić ciągłość systemowi, który krzywdzi i poniża dziesiątki milionów ludzi. Do tej pory historia nie uwieczniła na swych kartach imperium, które oparłoby się dynamicznie nacjonalizmu. Taki był koniec imperiów brytyjskiego i francuskiego. Taki sam koniec czeka nieuchronnie imperium sowieckie.

Jak podkreślałem wielokrotnie na tych łamach gwałtowne osłabienie Rosji na skutek konfliktów narodowościowych i kryzysów — nie leży w polskim interesie, ponieważ każde osłabienie Rosji stanowi automatycznie wzmocnienie Niemiec. W interesie Polski i całej Europy leży ewolucyjna przebudowa Sowietów w nowoczesne mocarstwo związkowe. Na początek należałoby zlikwidować przepaść jaka istnieje pomiędzy stanem faktycznym a sowieckim prawem konstytucyjnym. Tak na przykład artykuł 13 konstytucji sowieckiej gwarantuje każdej republice prawo wystąpienia ze związku. Od 1 lutego 1944 r. — zgodnie ze zmianą w konstytucji — wszystkie republiki sowieckie winny mieć ministrów spraw zagranicznych i ministrów obrony narodowej. Ministrowie obrony narodowej pozostali kreacją papierową a ministrowie spraw zagranicznych urzędują tylko w republikach ukraińskiej i białoruskiej, ponieważ tak Ukraina jak i Białoruś reprezentowane są w ONZ, UNESCO i w kilku innych międzynarodowych organizacjach.

Konstytucje indywidualnych sowieckich republik upoważniają naczelne władze poszczególnych republik do „mianowania i odwoływania dyplomatycznych przedstawicieli akredytowanych w stolicach państw obcych, oraz do przyjmowania i zwracania lis-

tów uwierzytelniających dyplomatycznych przedstawicieli państw obcych”.

W sprzeczności z prawem konstytucyjnym centralne władze sowieckie (rosyjskie) zmonopolizowały wszystkie uprawnienia dyplomatyczne — pozbawiając republiki związkowe wszelkich atrybutów suwerenności.

Jak wykazał przedwcześnie zmarły znakomity sowietolog Walter Kolarz — de-kolonizacja Związku Sowieckiego może być przeprowadzona zarówno w sposób pokojowy jak i legalny. Dodajmy od siebie, że w gruncie rzeczy chodzi o dalszą de-stalinizację i pogrzebanie obłąkanej teorii Stalina: „jeden świat, jeden naród, jeden język”. Pełna de-stalinizacja oznaczałaby de-kolonizację — a de-kolonizacja byłaby po prostu nawrotem do legalizmu.

Problemy narodowościowe, a w szczególności problem ukraiński, stanowią „tabu” w polityce sowieckiej. Z tej przyczyny Amerykanie nigdy nie poruszają tej sprawy. Amerykanie nie zeuropeizują Rosji. Zeuropeizować Rosję mogą tylko Europejczycy.

Likwidacja „zimnej wojny” na naszym kontynencie, włączenie Rosji do szerszego systemu europejskiego, wyprostowanie stosunków polsko-rosyjskich — to wszystko zależne jest od de-kolonizacji Związku Sowieckiego. W Europie nie ma już mocarstw kolonialnych i Rosja — jeżeli zechce zająć należne jej miejsce w koncercie mocarstw europejskich — musi przejść przez taki sam proces de-kolonizacji jaki za sobą mają Francja i Anglia.

Rosja jest w znacznie lepszej sytuacji niż Francja i Anglia — ponieważ posiada większe możliwości przekształcenia satelitów w partnerów. De-kolonizacja w konsekwencji uczyniłaby Rosję potężniejszą a nie słabszą ponieważ rozwiązanie problemu narodowościowego oznaczałoby rozbrojenie „miny”, która grozi wybuchem w momentach dla Moskwy najgroźniejszych, a więc w okresach wielkich kryzysów lub wojny.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

SUWERENNOŚĆ OZNACZA ZALEŻNOŚĆ

Do wybuchu drugiej wojny światowej Europa przewodziła w rewolucji technologicznej. W pierwszym okresie wojny armie Hitlera pod względem wyposażenia technicznego nie miały konkurenta ani w Europie ani poza nią.

Dziś, w porównaniu z Ameryką i z Rosją Sowiecką, Europa jest kopciszkiem na polu technologicznym.

Co to jest technologia? Technologia to jest „R & D” (*Research and Development*), tzn. studia badawcze plus rozwój. Technologia decyduje o przemyśle, broniach ofensywnych i defensywnych, dobrobycie — krótko — jest wyznacznikiem potęgi, a tym samym bazą polityki. Suwerenność polityczna jest wprost proporcjonalna do stopnia rozwoju technologicznego. Ci z nas, którzy tego nie rozumieją — nie opuścili jeszcze romantycznej epoki kalweryjskiej.

Historyczny tragizm sytuacji europejskiej polega na tym, że Europejczycy są fundatorami technologii amerykańskiej a w pewnej mierze i w Ameryce osiągnęli swój szczyt rozwojowy — wywodzą się z odkryć i badań naukowych, dokonanych w Europie. Amerykanie są raczej genialnymi konsumentami a nie producentami odkryć naukowych „Czysta wiedza” w odróżnieniu od wiedzy stosowanej jeszcze dziś stoi wyżej w Europie niż w Ameryce.

Zmierzch Europy w dziedzinie technologicznej jest źródłem wszystkich europejskich trudności, — gospodarczych, zbrojeniowych i politycznych. Coraz trudniej przychodzi nam porozumieć się z Amerykanami ponieważ Stany Zjednoczone są coraz potężniejsze, a Europa proporcjonalnie coraz słabsza. Nie oznacza to, że w Europie nie ma postępu czy rozwoju. Oznacza to natomiast, że postęp w Ameryce idzie tak szybko, że przepaść pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi pogłębia się z każdym rokiem.

Można wysunąć pogląd, że Europa posiada wspaniałe mózgi lecz nie ma pieniędzy i wskutek tego trudno nam doścignąć Amerykę. Niniejszą notatkę opracowałem w oparciu o interesującą pracę profesorów William R. Kintner'a i Robert L. Pfaltzgraff'a Jr. pod tytułem „The Prospects for Western Science and Technology” (Orbis, Nr 3. Foreign Policy Research Institute, University of Pennsylvania). Autorzy przytaczają dane statystyczne z których wynika jasno, że nie tylko brak pieniędzy decyduje o europejskim niedorozwoju technologicznym.

Na badania naukowe i technologiczne Stany Zjednoczone wydają rocznie 11,3% swojego budżetu. Natomiast Francja tylko 3,6%, Zachodnie Niemcy 4,7% a Wielka Brytania 6,2%. Należy więc stwierdzić, że nie tylko mamy mało pieniędzy, lecz wydajemy je nie na to — na co powinniśmy je wydawać.

Porównując globalne cyfry można dopiero w pełni wymierzyć przepaść oddzielającą Europę od Ameryki. Stany Zjednoczone wydają na badania naukowe i technologiczno-przemysłowe 14.039 milionów dolarów rocznie. Na ten sam cel Wielka Brytania, Francja i Zachodnie Niemcy wydają łącznie 3.441 milionów dolarów. Można więc stwierdzić z pewnym obiektywizmem, że w sensie technologiczno-przemysłowym Ameryka jest przeszło czterokrotnie potężniejsza od Europy zachodniej.

Owa proporcja 1 : 4 utrzymuje się i na innych polach. W Europie mamy znakomitych naukowców lecz mało inżynierów i technologów. W roku 1963 w Ameryce wydano 465.000 dyplomów inżynierskich i technologicznych. W Europie zachodniej zaledwie 100.000.

Program kosmiczny (astronautyka) w Europie właściwie nie istnieje. Związek Sowiecki wydał do tej pory na projekty kosmiczne 20 bilionów dolarów a Stany Zjednoczone 25,9 bilionów dolarów.

Technologie nuklearna, zbrojeniowa, astronautyczna, elektroniczna i tp. — pociągają za sobą dynamiczny rozwój badań naukowych i przemysłów pomocniczych. Typowym przykładem w tej dziedzinie jest przemysł elektroniczny. Naukowcy brytyjscy odegrali czołową rolę w projektowaniu pierwszych komputerów. Jednak nie przemysł brytyjski ciągnie zyski z tych odkryć. Amerykańska firma „IBM” („International Business Machines”) pokrywa 80% zapotrzebowania rynku światowego w tej dziedzinie. Nawet prez. de Gaulle, choć niechętnie, wyraził zgodę na zakup przez „General Electric” połowy udziałów „Machines Bull”, by ułatwić Francji wykorzystanie amerykańskich osiągnięć i doświadczeń w technologii komputerowej. Oczywiście ze strony Amerykanów to nie jest filantropia, tylko zysk, wpływ i kontrola.

Rzecz technologiczna w Stanach Zjednoczonych nie byłaby możliwa bez wydatnej pomocy ze strony państwa. W roku 1955 rząd amerykański wydatkował na badania naukowe prowadzone na uniwersytetach 300 milionów dolarów. W roku 1963 pomoc rządowa na powyższe cele wyraziła się kwotą 1,2 bilionów dolarów, a w roku 1970 osiągnie 2,5 biliona dolarów.

Co należy robić by zmniejszyć technologiczno-przemysłową przepaść oddzielającą Europę od Stanów Zjednoczonych?

Wielu Europejczyków rozumuje następująco: jeżeli Europa zachodnia ma być wartościowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych — co nie wątpliwie leży w interesie Waszyngtonu — to Amerykanie winni przekazać nam swój technologiczny „know-how” i w ten sposób umożliwić Europie zachodniej szybkie doścignięcie Ameryki.

Niestety to nie jest takie proste. Technologia to nie tylko informacje zastrzeżone (technologia nuklearna i astronautyczna) lecz przede wszystkim patenty i dokumentacje prywatnych firm. Owych patentów i dokumentacji nikt nam nie da za darmo. Poza tym jest oczywiste, że technologii nie można przetranszować z jednego kraju do drugiego. Technologia musi organicznie wyrastać z miejscowej gleby i warunków. Patenty i dokumentacje procesów technologicznych „przepracowane” z Ameryki do Europy po upływie roku czy dwóch stają się przemysłowym anachronizmem w relacji do tempa rozwoju w Ameryce.

W sumie należy stwierdzić, że rewolucji technologicznej nie można importować, tylko trzeba ją wytworzyć. Amerykanie mogą Europie zachodniej bardzo wydatnie pomóc lecz rewolucji technologicznej za Europejczyków nie dokonają.

W tym miejscu wracamy do polityki. Wydaje mi się, że nie Sowiety lecz Europa zachodnia urzeczywistni pewne orwellowskie slogany z „Roku 1984”. Czytelnicy pamiętają partyjny slogan: „Wolność to niewolnictwo”. Otóż w kontekście sytuacji zachodnio-europejskiej już dziś można przyjąć, że „suwerenność to zależność”.

Suwerenne państwa Europy zachodniej nie mają najmniejszej szansy zmniejszenia przepaści oddzielającej nas od Ameryki — a tym samym nie mają najmniejszej szansy umniejszenia rosnącej zależności od Stanów Zjednoczonych.

Przemysłowe firmy i korporacje amerykańskie, odpowiedzialne za sukces rewolucji technologicznej — dysponują zapleczem olbrzymiego rynku wewnętrznego. To jest czynnik, który determinuje ich rozmiar i dynamikę. Z kolei tylko wielkie i potężne firmy mogą prowadzić rozległe i kosztowne prace badawcze oraz zwycięsko konkurować na rynkach światowych.

Żadne z suwerennych zachodnio-europejskich państw nie stanowi wielkoobszarowego rynku zbytu, który mógłby być zapleczem firm przemysłowych kalibru amerykańskiego.

Tylko Europa zachodnia zjednoczona zarówno gospodarczo jak i politycznie dysponowałaby możliwościami w przybliżeniu porównywalnymi z możliwościami Stanów Zjednoczonych. Jeżeli jednak każde suwerenne państwo zachodnio-europejskie zechce mieć powiedzmy dla przykładu — własne fabryki komputerów — to oczywiście żadna z tych firm nie będzie mogła skutecznie konkurować z gigantami amerykańskimi na rynkach światowych. Wówczas daną firmę trzeba finansować ze skarbu państwa albo połowę jej udziałów sprzedać koncernowi amerykańskiemu. Oczywiście żadne z suwerennych państw zachodnio-europejskich nie może realizować programu astronautycznego ani zorganizować własnej obrony przeciwatomowej (*antimissile defence system*).

Można by się w końcu pogodzić z wizją Europy zachodniej złożonej z „suwerennych” państw, uzależnionych technologicznie i gospodarczo od Stanów Zjednoczonych. Europa produkowałaby „czystą wiedzę”, literaturę, sztukę, a Amerykanie dostarczaliby nam „mózgi elektroniczne”, organizowałyby europejską automatycję, woziliby naszych uczonych na księżyc, a czasem poprawialiby naszą pogodę, i w konsekwencji wszyscy byłiby zadowoleni. Bylibyśmy Atenami amerykańskiego Rzymu ratując tradycyjne pozory suwerenności, do których jesteśmy niezmiernie przywiązani. Wprawdzie siedzielibyśmy u Amerykanów w kieszeni — lecz zachowalibyśmy nasze parlamenty, godła państwowe, gwardie królewskie i republikańskie, ordery, sztandary i tp.

Problem jednak leży gdzie indziej. Europa zachodnia karleje nie tylko w stosunku do Stanów Zjednoczonych lecz również w stosunku do Związku Sowieckiego. Związek Sowiecki — jeżeli będzie ewoluował prawidłowo — dzięki swym zasobom i obszarowi ma większą szansę doświadczenia Ameryki niż zachodnia Europa złożona z suwerennych państw z których każde usiłuje przeprowadzić miniaturową, niedorozwiniętą lecz własną rewolucję technologiczną.

Paradoks sytuacji polega na tym, że Europa zachodnia mogłaby odzyskać niezależność tylko kosztem suwerenności. Pół-środki nie rozwiązują problemu. Tylko Stany Zjednoczone Europy Zachodniej — z prezydentem, rządem i skarbem federalnym — mogłyby pokusić się o przeprowadzenie rewolucji technologicznej w skali amerykańskiej. Tylko rząd federalny dysponowałby budżetem umożliwiającym finansowanie badań naukowych i projektów porównywalnych z analogicznymi programami w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim.

Stany Zjednoczone Europy Zachodniej w przeciągu 25 lat stałyby się z całą pewnością drugą Ameryką. Lecz czy po owych 25 latach europejskie Stany Zjednoczone byłyby jeszcze *Europą* — nie jestem pewien.

Na naszym kontynencie nie ma prostych rozwiązań

ENCYKLOPEDIA

Ukazał się pierwszy tom encyklopedii ukraińskiej w języku angielskim: „Ukraine: A Concise Encyclopaedia” Vol. I., ed. Volodymyr Kubijovic, University of Toronto Press.

Dlaczego my nie opracowaliśmy analogicznego wydawnictwa? Wielu so-wietologów w zachodniej Europie i w Ameryce, redakcje pism codziennych i periodyków powitałyby z uznaniem tego typu inicjatywę. Zamiast fundować pomniki, urządzać zjazdy, manifestacje i konferencje milenijne — winniśmy uczcić tysiąclecie Polski opracowaniem i wydaniem zwięzłej i obiektywnej encyklopedii polskiej w języku angielskim.

Encyklopedia pełniłaby swoje zadanie tylko wówczas gdyby odpowiadała trzem następującym warunkom:

1) Wydawnictwo musiałyby być zredagowane i w całości opracowane przez naukowców z wyłączeniem publicystów i dziennikarzy. Encyklopedia jeżeli miałaby być cenioną *reference book* — musiałaby być całkowicie wolna od propagandy. W każdym dziale przedstawiony byłby stan faktyczny w oparciu o źródła i dokumenty. Ocenę i interpretację należy pozostawić czytelnikowi. Poziom naukowy zdecydowałby o popularności dzieła i stopniu zaufania czytelnika anglosaskiego.

2) Proponowana encyklopedia nie mogłaby mieć nic wspólnego z emigracyjnym *establishment* ani z aparatem „zimno-wojennym”. Jakikolwiek powiązania z tymi dwoma czynnikami położyłyby całą inicjatywę w zarodku. Komitet redakcyjny encyklopedii musiałby się składać z polskich naukowców z amerykańskich, kanadyjskich, brytyjskich i europejskich uniwersytetów.

3) Tylko gdyby pierwszy i drugi warunek zostały spełnione — można by liczyć na pomyślne zrealizowanie trzeciego warunku, tzn. znalezienie odpowiedniego wydawcy. Za ideał uważałbym „Oxford University Press” lub amerykańską firmę wydawniczą o podobnym autorytecie.

Ta sama encyklopedia wydana pod... protektorem takiego czy innego generała, przez „Gryf” czy jakkolwiek inną emigracyjną firmę byłaby „cegłą” i żaden Anglik czy Amerykanin nigdy by jej nie przeczytał, a nawet gdyby do niej zajrzał, nigdy by się na nią nie powołał.

Polacy mają nieopisaną słabość do propagandy, lecz jej zupełnie nie rozumieją. Ukraińcy górują nad nami pod tym i pod wieloma innymi względami.

Propaganda w gruncie rzeczy jest tym — co po angielsku nazywa się *salesmanship*, tzn. sztuką sprzedaży. Jedni sprzedają skarpetki, drudzy markizm a trzeci zainteresowanie swoją problematyką. Zasady gry i strategia postępowania są identyczne w każdym z tych wypadków.

Ponieważ nie mamy talentów handlowych nie mamy również talentów propagandowych. W konsekwencji nie rozumiemy podstawowej zasady, że sprzedawać można tylko na warunkach klienta. Produkujemy towar — jeżeli jednak chcemy go sprzedać, specyfikacja danego artykułu musi odpowiadać normom i zwyczajom odbiorcy. Gdybyśmy omawianą encyklopedię chcieli sprzedać (tak w dosłownym jak i w szerszym tego słowa znaczeniu) Anglosasom — wydawnictwo musiałoby odpowiadać specyfikacji przytoczonej powyżej.

LONDYŃCZYK

BIBLIOTEKA "KULTURY"

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DZIEWIĄTY

Luty 1966

zawiera m.in. prace

Kazimierza OKULICZA: Ostatni akt dramatu J. Piłsudskiego
Karola POPIELA: Wybór prezydenta Ignacego Mościckiego
Tadeusza RUDNICKIEGO: Konferencja Teherańska
Guido SORO: Upadek Polski
Stanisława MACKIEWICZA: Stulecie urodzin Wł. Studnickiego

oraz działy

OSTATNIA WOJNA A POLSKA — W OBCYCH
OCZACH — WSPOMNIENIA O LUDZIACH —
KSIĄŻKI — POLEMIKI — LISTY

Str. 240.

Cena 15 F. (dol. 3,00; 22 sh.)

Przypominamy naszym Czytelnikom, że *prenumerujący KULTURĘ* korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych” otrzymują rocznie *dwa* „Zeszyty” w cenie jednego.

Posiadamy na składzie jeszcze niewielką ilość pierwszych „Zeszytów”. Każdy czytelnik *prenumerujący KULTURĘ* od roku 1962 może otrzymać komplet „Zeszytów” po cenie zniżkowej to jest w cenie F. 15,— lub równowartość rocznie.

Najnowsza historia Polski

Wojna i pokój (II)

Czy wojna Polski z Rosją bolszewicką była nieunikniona? Jeśli zestawimy cele, jakie stawiali sobie bolszewicy w końcowym okresie pierwszej wojny światowej z celami polskimi, tak jak je wówczas widzieli nasi czołowi mężowie stanu — J. Piłsudski i R. Dmowski — starcie nastąpić musiało. Było ono konieczną konsekwencją planów Lenina i jego partii. Istnieje na to niezaprzeczalna dokumentacja historyczna. Próbuje jej zaprzeczyć tylko warszawska ponura — a ultrasatelicko usłużna — twórczość w tej dziedzinie. Mam oto przed sobą broszurę, której tezy uwypuklone są w tytułach poszczególnych rozdziałów: 1) „Lenin chciał pokoju”; 2) „Piłsudski wybrał wojnę”. Autorzy tego i podobnych mu elaboratów nie biorą jednak pod uwagę, że historikom z wolnego świata od dawna są znane nie tylko sowieckie akta dyplomatyczne czy propagandowe, przeznaczone w latach 1918-20 na eksport, lecz i obfite materiały historyczne, publikowane na użytek wewnętrzny.

Zajrzyjmy więc do nich po odpowiedź jak to „Lenin szukał pokoju”, oraz — kto i kiedy planował i rozpoczął wojnę; jaki był jej cel i jaką rolę odgrywało w nim terytorium Rzeczypospolitej Polskiej.

To prawda, że już w *sierpniu 1918 r.* zostało uroczystie świątu całemu obwieszczono „nieodwołalne unieważnienie” przez rząd Rosji sowieckiej traktatów i układów z Prusami i cesarstwem Austro-Węgierskim, dotyczących rozbiórów Polski, od roku 1772 poczynając. Ale w oficjalnym wydawnictwie „Grażdanskaja Wojna” (Wojna domowa) tom III., str. 120 — czytamy o *listopadzie 1918 r.*:

„Upadek okupacji niemieckiej postawił R.S.F.S.R. wobec zadania *wyzwolenia* okupowanych terenów i *wprowadzenia tam rządów sowieckich*. Dążenie do tego celu zmusiło *strategię sowiecką* do skierowania swej całej ekspansji na kraje Bałtyckie, Litwę, Białoruś oraz na Ukrainę”.

Nie wymieniona została przy tym szczególnym „wyzwalaniu” Polska, która właśnie w dniach owych, z chwilą powrotu Piłsudskiego z więzienia niemieckiego, zrobiła to sama, nie czekając na usługi sowieckie. Ale wymienia ją L. Trocki w przemówieniu, wygłoszonym już o parę tygodni wcześniej, dnia 30 października 1918:

„Wolna Łotwa, wolna Polska i Litwa, wolna Finlandia, a z drugiej strony wolna Ukraina nie będą klinem, lecz łączącym ogniwem pomiędzy Sowiecką Rosją, a przyszlými sowieckimi Niemcami i Austro-Węgrami. To jest początek europejskiej federacji komunistycznej...”

W tydzień potem Stalin przychodzi w sukurs Trockiemu dając w „Prawdzie” interpretację perspektyw przezeń roztaczanych przed Europą. Ma ta interpretacja swoisty wydźwięk gdy ją dziś czytamy. Mówi Stalin:

„Niektórzy twierdzą, że „rządy” krajów pogranicznych walczą o wolność narodową przeciwko „bezdusznemu” (cudzyśłowu Stalina) imperializmowi władzy Sowietów. Ale to nieprawda. Żadne mocarstwo świata nie dopuszcza decentralizacji w tak wielkiej skali, żaden rząd na świecie nie pozostawia takiej wolności jak daje władza sowiecka w Rosji... Faktycznie, to nie prawo stanowienia narodów o swym losie jest odrzucane, lecz jego burżuazyjna interpretacja”.

Risum teneatis amici. Mniejsza już o stalinowskie pojęcie wolności, z którym świat zapoznał się dostatecznie, zaś o „interpretacjach” pomówimy osobno. Ale gdzież się podziała proklamacja o zniesieniu traktatów rozbiorowych? Zarówno Trocki jak i Stalin mówi o obszarach należących do Rzeczypospolitej przed rozbiorem, jak gdyby były one nadal w dyspozycji państwa rosyjskiego; czyli rząd sowiecki występuje w roli *spadkobiercy* traktatów rozbiorowych a nie ich likwidatora. A „wyzwalanie” za pomocą „strategii sowieckiej” z jednoczesnym dyktatem dla „wyzwalanych” przyjęcia ustroju komunistycznego przypomina znaną anegdotę o starym Henryku Fordzie, który, gdy mu doradzano aby wprowadził różne kolory w samochodach swej produkcji, oświadczył: nasi klienci mają pełną swobodę w wyborze koloru, byle tylko był czarny. Bolszewicy przepisali czerwony i to koniecznie w najmniej ponętnym, wschodnim, odcieniu.

Dekret Rady Komisarzy Ludowych anulujący traktaty rozbiorowe podaje jako motyw, że „są one sprzeczne z zasadą samostanowienia i z rewolucyjnymi uczuciami rosyjskiego narodu, który uznaje nienaruszalne prawo polskiego narodu do niepodległości i zjednoczenia”. Zdawałoby się, na zdrowy rozsądek biorąc, że wyłączenie z „zasady samostanowienia” swobody wybrania sobie przez naród polski form ustrojowych, jak również zawierania związków z innymi narodami z własnej woli — jest czystym nonsensem. A jednak nie-burżuazyjna „interpretacja” Stalina i Trockiego to właśnie czyni. Okaże się dalej, że nie jest to bynajmniej owoc ich osobistej dialektyki. Podtrzymywały to oba naczelne organy partii bolszewickiej; nie zabraknie też i osobistej

pieczęci Lenina nonsens ten potwierdzającej. Zaś Cziczerin, komisarz spraw zagranicznych, na skierowane doń protesty polskiego rządu w grudniu 1918 i styczniu 1919 r., gdy wojska czerwone zajmowały w ślad za ustępującymi Niemcami terytoria przedrozbiorowej Rzeczypospolitej — dał równie wymowną odpowiedź; twierdził mianowicie, że armia czerwona podchodząca wówczas pod Wilno, które zajęła 5 stycznia 1919, znajduje się „w znacznej odległości od granicy polskiej, od której ją dzielą obszary Litwy, Białorusi i Ukrainy”. W tym samym czasie odrzucił również protest przeciwko tworzeniu przez bolszewików „czerwonych” pułków polskich, noszących takie nazwy jak „grodzieński”, „warszawski”, „sandomierski”, „mazowiecki”.

Jedyny logiczny wniosek z tego był więc, że p. Cziczerin zapomniiał już o złożonym przez się, przed kilkoma miesiącami, podpisie na dekrete o nieodwołalnym unieważnieniu traktatów rozbiorowych.

Gdy od tej sprawy zaczęliśmy nasze sprawozdanie dla Naczelnego Wodza w lipcu 1919 r. — o czym pisałem w artykule poprzednim — Piłsudski powiedział, że to ma ważne znaczenie dla ekspertów prawa międzynarodowego, bo oczywiście daje Polsce prawo głosu co do wszystkich ziem należących do Rzeczypospolitej przed pierwszym rozbiorem; że natomiast Lenin na pewno nie będzie się tym krępował w swych działaniach jeśli szuka rozstrzygnięć w polu, a nie przy stole obrad. A i po cóż Moskwie akta starej grabieży i podziału łupu z Prusakami i Austriakami, jeśli teraz chce zagarnąć całość.

Nieco więcej uwagi zwrócił na część drugą, która zawierała dane o tym co się stało, po zagarnięciu władzy, ze starą zasadą Lenina, przyznającą wszystkim narodom podbitym przez carat prawo całkowitego oderwania się od Rosji. Komendant przeczytał krótką konkluzję końcową, opartą na relacjach z prasy ze zjazdów, konferencji partyjnych i przemówień członków rządu sowieckiego oraz najwybitniejszych działaczy partii bolszewickiej. Była ona następująca:

Jest rzeczą znamionną, że jako głównego rzeczoznawcę i interpretatora w tej sprawie wybrał sobie Lenin Stalina. Był on nastawiony krytycznie w stosunku do leninowskiego hasła; opowiadał się za utrzymaniem go w programie partii tylko dla propagandowego użytku przeciwko kapitalistycznym państwom zachodnim, w ich posiadłościach kolonialnych; co do Rosji — na „Wszechrosyjskim Zjeździe Rad” 12 stycznia 1918 r. oświadczył, że w praktyce oznacza ono tworzenie federalnych republik narodowych pod zwierzchnictwem Związku Sowieckiego i że członkami rządów tych republik mogą być tylko komuniści.

Drugim znamionnym rysem jest, że w dyskusjach na ten temat, odbywających się — zwykle pod przewodnictwem Lenina — w ciągu całego roku 1918 i w pierwszych miesiącach 1919, stanowisko Stalina podzieliali inni wybitni działacze partii jak Bucharin i Tomskij; na 8 Zjeździe partyjnym w marcu 1919 r. nie ma śladu sprzeciwu ze strony Lenina. Za obowiązującą partię

bolszewicką interpretację polityki narodowościowej trzeba zatem uważać — na podstawie całokształtu zebranych wiadomości — formułę taką:

Każdy z narodów dawnego imperium rosyjskiego może żądać zupełnej niepodległości. Jednak *do wysunięcia takiego żądania uprawnieni są tylko świadomi klasowo przedstawiciele klas pracujących, to jest partia komunistyczna danego narodu*. Następnie, *jeśli chodzi o termin*, w którym niepodległość może być przyznana — musi on odpowiadać interesom światowej rewolucji socjalistycznej, o czym decydować ma prawo tylko *rosyjska partia komunistyczna*.

O tej konkluzji Piłsudski powiedział: wygląda mi na to, że towarzysz Lenin znalazł sobie dialektyczną osłonę wycofania się ze swego słynnego hasła, którego bronił nawet wobec polskich esdeków, gdy zrzekali się niepodległości. Jeśli wasza konkluzja jest ścisła, to stanowisko Lenina przypomina mi anegdotę z przedwojennych czasów. Szlachcic z oszmiańskiego powiatu miał pachciarza, od którego pożyczał pieniądze; oczywiście na słowo pana dziedzica; ale gdy zadłużenie poważnie wzrosło — pachciarz przymówił się nieśmiało o rewers na piśmie. Dziedzic się zgodził i wypisał mu kartkę, którą wierzyciel, nie umejający czytać po polsku, zawiózł do Oszmiany do przetłumaczenia; okazało się, że rewers brzmiał jak następuje: „jak będę miał, jak będę chciał i kiedy mi Pan Bóg dopomóż — to ci oddam com winien, nieboże”.

Tak samo Lenin — uśmiechnął się Piłsudski — jako dziedzic na Moskwie, przyznawszy że winien jest Polsce restytucję długu, obiecuje zwrot *jeśli* będzie chciał, *kiedy* będzie chciał i *kiedy* mu pan Marks dopomóż. A no, zobaczymy — zakończył już bez uśmiechu nachmurzywszy brwi.

Największe zainteresowanie Komendanta wywołała jednak trzecia część przedstawionego mu referatu. Wskazywała ona nie tylko na pełną solidarność wśród przywódców bolszewickich co do zagadnienia polskiego; notowała też symptomy ciekawego zjawiska, że nie jest dla nich Polska sprawą odrębną, zaś ekspansja rewolucji komunistycznej na nią celem końcowym. Opanowanie Polski oraz całego obszaru, oddzielającego Rosję od Niemiec, Austrii i Węgier, jest tylko koniecznym, pilnym i pierwszym w kolejności *etapem* do niesienia rewolucji dalej na Zachód.

Tu Piłsudski był ciekaw wszystkich szczegółów. Widzieliśmy, że znajduje w nich potwierdzenie swej własnej diagnozy i płynących z niej przewidywań. Na zakończenie, obok instrukcji na co mamy głównie baczyć w Rosji, dał nam Komendant swą ocenę sytuacji, którą streszczam:

Być może że bolszewicy są jakby opętani czy pijani wizją rewolucji powszechnej i wiarą, że Zachód na nich czeka z otwartymi ramionami. Lenin nie będzie studził takich zapałów w swych szeregach. Ale on sam? Jeśli trwa przy podstawowej racie na zespolenie sił z Niemcami, co mu się wydawało tak bliskie osiem miesięcy temu, to będzie próbował znowu, tylko

nie na gorąco. Wyciągnął na pewno wnioski z dotychczasowych doświadczeń. We własnym kraju nie doszedł do władzy inaczej niż siłą i przebiegłą grą. Po roku błyszczały mu i zgasły parząc palce, buntury w Prusach i Bawarii. Wie od kwietnia, że i z nami nie tak łatwo. Sądzę więc, że Lenin kalkuluje teraz na zimno ilu dywizji będzie potrzebował, aby zanieść swą rewolucję do Berlina i myślę, że bez dobrych kilkunastu się nie ruszy; a to będzie wymagało *czasu* i takiego opanowania sytuacji wewnętrznej, by mógł je na Zachód wypuścić.

Ale czasu potrzebuję i ja — w tej chwili bardziej niż Lenin. Przewiduję jednak, że będę go miał nie mniej niż pół roku. Na razie gra przeciw nam Lenin w Londynie, by utrudnić wszelką pomoc dla nas. Będzie grał o czas właśnie — i ze mną. Ale to już moja sprawa. — Z tym nas Komendant odprawił.

Nie będę tu przytaczał zbieranych potem z całego terenu władzy bolszewickiej uchwał i rezolucji, tak jednobrzmiących, że musiały być dyktowane z góry. Mówiły one: Polska jest kolejnym wrogiem; z nią musi się rozprawić armia czerwona, gdy skończy z Denikinem i Kołczakiem.

Raczej pójde skrótem na przełaj z mojej relacji: boć i tak na potwierdzenie naszych ówczesnych wiadomości i dedukcji, będę musiał przytoczyć dokumentację najbardziej przekonującą ze źródeł sowieckich, częściowo nieznanych nam jeszcze wówczas; ale — skoro są już znane od dawna — po cóż wywierać drzwi otwarte. Przechodzę więc do nich od razu.

Operacja „Wisła”. Kierunek — Warszawa.

Oficjalna sowiecka historia wojny mówi:

„Ta ofensywa — cel Wisła — rozpoczęła się po wycofaniu Niemców. Jej cele były następujące: 1) okupacja Białorusi; 2) *marsz w kierunku na Warszawę z opanowaniem linii Bugu*. Ofensywne działania czerwonej armii dla osiągnięcia tych celów rozwinęły się z powodzeniem. *Polska zajęta była na innych frontach i z tego powodu mogła jedynie słabo bronić swoich granic*. („Grażdanskaja wojna”, T. III., str. 152-3, podkr. moje).

Na doniosłość tych kilku zdań sowieckiego historyka trzeba zwrócić szczególną uwagę. Z pierwszego zdania jak i z podanej poprzednio cytaty z „Grażdanskaj wojny” wynika niezbitie, że podjęte w drugiej połowie listopada operacje armii czerwonej zaplanowane musiały być wcześniej, gdy Polska zrzucała dopiero okupację i przystępowała do tworzenia swych władz państwowych i siły obronnej.

Punkt 2 stwierdza, że nie chodziło o przejmowanie przez Sowietów po Niemcach pobraża Bałtyku i ziem kresowych, lecz o osiągnięcie *linii Wisły i Warszawy*.

Zdanie ostatnie daje świadectwo *pełnej świadomości władz sowieckich, że Polska nie jest dla nich zagrożeniem, lecz przeciwnie — bezbronną niemal, w ich oczach, zdobyczą*.

Co najważniejsze, z całą szczerością historia sowiecka nazywa działania armii własnej *ofensywą*, zaś Polski — *obroną*. To sobie zapamiętajmy. Zarejestrować należy nie tylko wyznaczenie zaczepnego charakteru operacji bolszewickiej lecz i datę pierwszej próby „marszu w kierunku na Warszawę, z opanowaniem linii Bugu”: luty 1919 r. Wojna między Polską a Rosją sowiecką spowodowana więc została nie przez „wyprawę kijowską” w kwietniu 1920 r., lecz przez operację „Wisła”, rozpoczętą przez armię czerwoną o przeszło rok wcześniej.

„Droga do światowego pożaru wiedzie przez trupa Polski!”

Nie był jednak „cel Wisła” generalnym celem strategii Lenina, a Warszawa była tylko po drodze do Berlina; ten też był dopiero drugim etapem. Ludobójczy okrzyk wojenny Tuchaczewskiego wymienia cel główny — pożar światowy. Jeśli jednak pierwsze dowody na to, przytoczone z „Grażdanskaj wojny” datują się z 1918 r. — zachodzi pytanie czy nie zmieniło się coś później w planach sowieckich; drugie — czy nie zaszły ze strony polskiej fakty, które by nadały działaniom naszym charakter inny niż obronny.

Otóż nie zmieniło się nic w zamierzeniach Moskwy przez dwa następne lata; jakkolwiek był przebieg wypadków i cokolwiek piała propaganda — Polska niezmiennie traktowana była jako cel kolejnego ataku, „przeszkoda”, która musi być obalona siłą. Nawet wtedy gdy Lenin zaczął już „grę” przewidywaną przez Piłsudskiego, gdy sowiecki minister Spraw Zagranicznych, Cziczerin, słał do Warszawy noty pokojowe, — minister Wojny, Trocki, w artykule w paryskim „International Communiste” z dn. 15 grudnia 1919 r. oświadczył, że skoro tylko „skończy z Denikinem” to „rzuci się na Polskę”. Byłem w Belwederze, gdy składał Naczelnikowi Państwa raport z prasy zagranicznej K. Świtalski, cytując tę zapowiedź. Piłsudski zauważył: „Wiecie, ten Trocki to użyteczny facet. Co to powiedział Sienkiewicz o literaturze Młodej Polski? Że jest pyskata i wystaje przed bramą, jak warszawska służąca. Bardzo się przyda ta niedyskrecja pana komisarza wojny naszym dyplomatom w Londynie; że też mu Lenin na to pozwala”.

Ale Lenin w 6 tygodni potem przyzwolił publicznie. W końcu stycznia 1920 r., na wielkim wiecu robotniczym w Moskwie, gdy główny mówca Trocki znowu zapowiedział rychłe zgnięcie „Polski burżuazyjnej” — rozległy się oklaski „prezydium i zebranych” — czytamy w sprawozdaniach prasowych wraz z wiadomością, że w prezydium zasiadał tow. W. I. Lenin.

W pół roku później wypowiedział się on już nie tylko oklaskiem. Przemawiając na 2 Kongresie Kominternu — na przełomie lipca i sierpnia 1920 r. — dowodził, że wojna z Polską jest przede wszystkim „sprawą proletariackiej rewolucji światowej — sprawą stworzenia jednej i jedynej republiki rad robotniczych całej

go świata”. Po czym orzekł Trocki: „*Jeżeli białogwardyjska Polska padnie i władzę w niej pochwyca w swoje ręce robotnicy polscy to i niemieckim, austriackim, włoskim, francuskim robotnikom będzie łatwiej wyzwolić się z jarzma kapitalistycznych eksploatatorów, a pójdą za nimi również robotnicy Anglii i Ameryki”*.

Jak widzimy — w momencie największego sukcesu ofensywy Tuchaczewskiego — nie zatrzymywał swej awangardy słownej nad Atlantykiem, jak poprzednio; lądował już w Anglii i Ameryce. Aby tylko przez Wisłę, przez tę szarą polską Wisłę...

Mówiłem poprzednio, że potwierdzona będzie jednolitość i ciągłość polityki Rosji Sowieckiej w sprawie polskiej — sygnaturą Lenina. Jeśli by dotychczas nie była dość wyraźna, sięgnijmy po końcową pieczęć, wielką i koronną: do jego „Zbioru Dzieł”:

„Pokój Wersalski stworzył państwo buforowe, które ma uchronić Niemcy przed zetknięciem się z sowieckim komunizmem... Rozbicie armii polskiej — to zniszczenie pokoju wersalskiego, na którym utrzymuje się cały system obecnych stosunków międzynarodowych”.

„Pokój Wersalski jest nieskończenie bardziej bestialski aniżeli osławiony Traktat Brzeski... Przeszedł te wszystkie barbarzyństwa, na które odważyłby się Kaizer, gdyby był zwycięzcą... Jedną z przyczyn dla których utrzymuje się ten pokój monsturalny jest to, że Polska dzieli Niemcy na dwie części”.

(Lenin, „Soczinienja”, tom 25, str. 398.)

To chyba wystarczający dowód, że „rozbicie armii polskiej” było dla Lenina koniecznością, wynikającą z jego własnych, naczelnych celów, a nie z działań polskich. I jakże wymowny jest ten gniew, że odwiecznie polskie Pomorze zostało nam przyznane, ten żal nad rzekomą krzywdą niemiecką.

Do oznak „opętania”, o których była mowa w Belwederze w lipcu 1919 r., można by zaliczyć i przedwczesną nieco wizję „trupa Polski” w oczach Tuchaczewskiego, gdy ruszał on w rok później do ofensywy na Warszawę. Ale ciekawe jest co mówi już na zimno, z pewnej perspektywy historycznej, jako profesor Akademii Wojskowej w Moskwie. Jego wykłady „Pochód za Wisłę” zostały następnie opublikowane, a więc musiały mieć aprobatę oficjalną; było to w 1923 r., jeszcze za życia Lenina. Przesłuchajmy zatem tego świadka. Oto co mówi w wykładzie 8-ym, pod prawdziwym i znamienym tytułem „*Rewolucja z zewnątrz*”:

Liczenie na rewolucję w Polsce, idącą na spotkanie naszej ofensywy... miało poważne podstawy i, *gdyby nie nasza klęska*, byłoby uwieńczone pełnym powodzeniem. Czy Europa mogła odpowiedzieć na ten ruch socjalistyczny przez wybuch rewolucji na Zachodzie? *Wypadki mówią, że tak...* Niemcy kipiły i dla ostatecznego wybuchu czekały tylko, aby dotknął ich *zbrojny potok rewolucji*”.

Pominiemy wierutną błagę o rewolucji polskiej. Ruch socja-

listyczny w Warszawie istotnie był: robociarze z PPS gromadnie zgłaszali się po karabiny na powitanie p. Tuchaczewskiego. Niemcy, kipiące czy nie, były jeszcze zbyt daleko, aby ich mógł „dotknąć zbrojny potok” jego dywizji. A gdy tak płacze on nad swą klęską — to nie przypominamy sobie, aby mu towarzyszyła Europa. Ale słuchajmy dalej:

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości że *gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą*, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski... *Rewolucja z zewnątrz była możliwa*. Europa kapitalistyczna była wstrząśnięta do głębi i *gdyby nie nasza przegrana na polu walki*, to być może, że *wojna polska* stałaby się ogniem które by rewolucję październikową złączyło z *rewolucją zachodnio-europejską*”.

Więc znowu ta Wisła, szara Wisła... szłocha rzewnie Tuchaczewski, „gdybając” aż do znudzenia. I do końca powtarza, że „stawką w grze” były cele większe niż losy Polski. W epilogu swych trenów mówi że: „Gdybyśmy wyrwali z rąk burżuazji polskiej burżuazyjną armię szlachecką” to „pożar”, „wzburzony potok” i td. ogarnęłyby całą Europę.

Wydaje mi się, że zeznania świadka Tuchaczewskiego stawiają „kropkę nad i” w odpowiedzi na twierdzenie, że „Lenin szukał pokoju” i chciał tylko Polskę „wyzwolic”. Godne uwagi jest pomijanie przezeń własnej woli Polski, jak i innych narodów, na obszarze przez który miał iść pochód czerwonej armii do daleko-osiężnych celów władcy Rosji Sowieckiej. Boć przecież infantylna „politgramota” wykonawców jego woli — Stalinów, Trockich czy Tuchaczewskich — nie daje na to odpowiedzi. Czyżby nie znalazł jej nawet w fakcie, że czerwonej armii „pochód za Wisłę” znalazł się, po trzech miesiącach, za Niemnem?

Spróbujmy to oświetlić od polskiej strony.

Nie było „wyboru”, lecz tylko odpór pozostawał

„Piłsudski wybrał wojnę” — piszą mędrki warszawskie. Ależ istnieje przecie pojęcie woli narodu w normalnym ludzkim rozumieniu, z którego się bolszewicka dialektyka wyłączyła. Rzadko się zdarza taka zgodność w określeniu celów, jaką widzimy na dwóch przeciwnych biegunach opinii polskiej w owym czasie. Dwaj nawybitniejsi ludzie w Polsce, reprezentujący łącznie większą sumę wpływów niż wszyscy inni politycy razem wzięci, zgodni byli co do tego, że otwierają się przed Polską możliwości odegrania ważkiej roli w polityce europejskiej oraz, że może ona odegrać tę rolę tylko jako państwo „wielkie i silne”. Tych ostatnich słów użył już w roku 1917 Dmowski, w broszurze „Problems of Central and Eastern Europe”, oświetlającej zagadnienia tego obszaru, dla rządów koalicji zachodniej. Tak samo w roku 1918 oceniał sytuację Piłsudski, w więzieniu magdeburgskim, jak wiemy z relacji gen. K. Sosnkowskiego.

W książce wydanej już po wojnie, „Polityka polska i odbudo-

wanie państwa”, R. Dmowski tak uzasadniał swą politykę w latach 1918-19: „Dla każdego kto choć cokolwiek rozumiał geografię polityczną Europy, musiało być jasne, że na tej ziemi, na której się kończy Europa zachodnia i która stanowi wyjście na rozległe równiny wschodu — nadto, jak w ostatnich czasach, położonej między dwoma wielkimi państwami, Niemcami a Rosją — *miejsca na małe, słabe państewko nie ma. Tu może istnieć tylko państwo wielkie*”.

Mógłby się pod tymi słowami równie dobrze znaleźć podpis: J. Piłsudski. Przy tak ujętych polskich celach a po powziętej już decyzji Moskwy, gdy weszła ona w lutym 1919 r. na drogę rozprawy zbrojnej aby podbić nas dla swoich celów — nie było innego wyboru dla Polski jak obrona na tej samej drodze; i istniała tylko jedna perspektywa: klęska lub zwycięstwo. Zadaniem Piłsudskiego był nie wybór lecz odpór. Zadanie to podjął i wykonał je.

Polityka federacyjna. Skąd się wzięła i co przyniosła

Jeśli istniała zgodność poglądów między Piłsudskim a Dmowskim na cele stojące przed Polską, to szukanie drogi dla ich realizacji stało się wkrótce — już w końcu kwietnia 1919 r., po odebraniu przez Piłsudskiego bolszewikom Wilna i ogłoszeniu przezeń odezwy do ludności W. Księstwa Litewskiego — kością niezgody. Proklamacja Naczelnego Wodza, zapowiadająca ustalenie przyszłego związku tych ziem z Rzeczypospolitą na podstawie swobodnie wyrażonej woli ludności postawiła ideę federacyjną na porządku dziennym.

W trwających dotychczas dociekaniach na ten temat nie brak poszukiwań i domysłów pod jakimi i czymi wpływami działał Piłsudski. Otrzymuję nieraz do zaopiniowania imiona i nazwiska tych, którzy mieli go do porozumienia z Ukrainą, czy do wyprawy kijowskiej namówić. Myślę, że bez niedyskrecji mogę wymienić imię pewnej wiekowej i dostojnej damy, która to sprawiła: Pani Historia.

Dla zachowania najściślejszego tylko związku nie będę sięgał do „idei jagiellońskiej” — Rzeczypospolitej *ochojga* narodów — lecz nawiążę do drugiej połowy XVII-go wieku, lat 1658-59, czyli „Ugody Hadziackiej”. Wówczas to bowiem uznano już za dojrzałą sprawę rewizji Unii Lubelskiej i dostosowania ustroju Rzeczypospolitej do zmienionej rzeczywistości przez przekształcenie tego ustroju z dualistycznego na *trialistyczny*.

Wielkie Księstwo Litewskie — wbrew ostatniemu słowu tej nazwy — nie było nigdy tworem ekspansji *narodu* litewskiego. Była to ekspansja niezmiernie ciekawa historycznie, niemal wyjątkowa, ale czysto dynastyczna; osiągnięta została w ciągu kilku pokoleń przez wybitne i potężne indywidualności, umiejące wyzyskać aktualną koniunkturę. Względy etniczne, kulturalne, je-

zykowe i obyczajowe — oprócz może bitności — ludu litewskiego nie odegrały tu roli; raczej przeciwnie, pod wszystkimi tymi względami ulegał on wpływowi bądź sąsiadów, bądź ludności terytoriów przez siebie podbitych. Ludność ta była w ogromnej większości — według ówczesnej terminologii — ruska.

Znane są z kart historii przemiany, które zachodziły na południowo-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej w ciągu stulecia następującego po Unii Lubelskiej: narastała tu świadomość odrębności narodowej, obyczajowej i religijnej; podczas gdy na północnym wschodzie ustalała się jednolitość we współzyciu Korony i Wielkiego Księstwa. Znamy też historię lat 1648-1651, krwawej i tragicznej wojny kozackiej, zakończonej zwycięstwem wojsk koronnych pod Beresteczkiem. Zwycięstwo wojenne nie przyniosło jednak Rzeczypospolitej zwycięstwa politycznego i państwowego. Wolał Chmielnicki bić czołem przed sułtanem, a w trzy lata później, w Perejasławiu, oddać się wraz z kozactwem pod „protekcję” cara moskiewskiego Aleksieja; ale i on — już na łożu śmierci, w sierpniu 1657 r. — zaczął szukać nawiązań z Warszawą, i Królem Janem Kazimierzem, przez zaproszonego do Czehrynia kasztelana Bieniewskiego.

Wystarczyło czterech lat panowania moskiewskiego na ziemiach ukraińskich, a już miało go kozactwo i szlachta tych ziem dosyć. Nawiązano tajne rokowania z Warszawą; sprawujący władzę hetmana po Chmielnickim Jan Wyhowski i starszyzna Ukrainy, a z ramienia królewskiego kasztelan Bieniewski i towarzyszący mu delegaci na zjeździe w Hadziaczu zawarli, 16 września 1658 r., ugodę, na mocy której trzy województwa powrócić miały na łono Rzeczypospolitej, jako trzeci jej człon — Wielkie Księstwo Ruskie. Spisano jej podstawową punktację, na piśmie też zaprzysięgli ją — po uchwale „Rady Generalnej” kozackiej — hetman i delegaci pułków kozackich. Podpisali ją komisarze królewscy i udali się wraz z poselstwem do stolicy dla niezbędnego, a jednogłośniego zatwierdzenia przez Sejm Rzeczypospolitej. Działo się bowiem już w 6 lat po precedensie *liberum veto* Sińskiego.

Weszła sprawa na porządek dzienny Sejmu, obradującego od marca do końca maja 1659 r. Nastrecały się jednak niepospolite trudności. Ze strony polskiej — niezmierną ofiarą było — dla kościoła katolickiego — równouprawnienie kościoła prawosławnego, dopuszczenie jego dostojników na wysokie miejsca w Senacie Rzeczypospolitej, przywileje na terenie nowego W. Ks. Ruskiego. Ze strony kozackiej również wysunięte zostały nowe żądania, wykraczające poza pierwotne „punkty egzekucji paktów hadziackich”; żądano powiększenia W. Księstwa Ruskiego o Wołyń, Podole i Ruś Czerwoną ze Lwowem. Nastąpiły protesty ze strony nuncjusza apostolskiego i biskupów katolickich oraz groźby złożenia godności hetmańskiej przez Wyhowskiego. Doszło jednak do porozumienia. Rzeczpospolita „Obojga Narodów” została przekształcona na Rzeczpospolitą „Trojga Narodów”: Polskiego, Litewskiego i Ruskiego. Trzy województwa — Kijowskie,

Braclawskie i Czernihowskie — miały utworzyć Wielkie Księstwo Ruskie, związane z Koroną i Litwą osobą monarchy wspólnie obieranego; ze wspólnym Sejmem, Senatem i wspólną polityką zagraniczną. W. Księstwo Ruskie ma mieć własnych dostojników państwowych na wzór Korony i Litwy, z obieralnym, zatwierdzanym przez króla, hetmanem na czele. Ustalono kontyngenty wojsk kozackich i koronnych dla Rusi.

Ustawa o ugodzie unijnej w Hadziaczu przyjęta została przez Senat i Izbę Sejmową 22 maja na Zamku warszawskim; zaprzysięgił ją król Jan Kazimierz, prymas Leszczyński, hetmani, kanclerze, marszałkowie. A następnie posłowie i delegaci nowego Wielkiego Księstwa. Wniesiono ten akt historyczny do Zbioru Praw Rzeczypospolitej. (*Volumina Legum*, tom IV, f. 634).

Jak wiadomo, Unia Hadziacka nie została wprowadzona w życie. Nie wystarczyła bowiem uznana przez obie strony konieczność i dojrzałość tej reformy. Na szali wypadków zagrała siła, której Rzeczpospolita wówczas uwiękła w wojny szwedzkie, użyć nie mogła. W dalekiej Danii walczył Stefan Czarnecki; na wschodzie i południu Rzeczypospolitej Moskwa miała wolną rękę i olbrzymią przewagę i utopiła we krwi „bunt przeciw władzy cara Aleksieja”.

Dokładnie w pięćdziesiąt lat potem przyszedł jeszcze fakt, którego data jest jedną z najdonioślejszych w historii Rosji i Polski: bitwa pod Połtawą w r. 1709 — zwycięstwo Piotra Wielkiego nad wojskami Karola XII i hetmana Mazepy. Od tej daty, która zdecydowała o utrwaleniu władania Moskwy nad obszarami ukraińskimi, zaczęła ona wielkimi krokami iść ku mocarstwowej potędze; gdy obszary te stracone zostały dla Rzeczypospolitej Polskiej — przestawała ona być mocarstwem.

Moje streszczenie wypadków sprzed lat trzystu opieram na rozprawie prof. dra St. Kościałkowskiego „Uгода Hadziacka”, opublikowanej w broszurze „Prace zebrane” Społeczności Akad. U.S.B. (Londyn 1958).

Mimo że reforma konstytucyjna Rzeczypospolitej nie została zrealizowana, godna uwagi jest zgodność z jaką historiografia polska traktuje ów moment historyczny. Prof. St. Kościałkowski nazywa go „aktem wiekopomnym”. Postanowienia ugody hadziackiej określa jako niezwykle, niezmiernie doniosłe, pierwszorzędne znaczenia nie tylko dla Ukrainy i kozaczyzny, ale całej Rzeczypospolitej, a nawet całej Europy. W ciągu wieku XIX-go i w początkach XX-go — od Lelewela, przez Szujskiego, Bobrzyńskiego, Korzóna, Smoleńskiego, Rawitę-Gawrońskiego, L. Kubalę i W. Tomkiewicza — wszyscy są zgodni w pozytywnej ocenie wartości i potencjalnej doniosłości tego faktu.

Maksimum i minimum

Dla słusznej oceny przemysłów Piłsudskiego, które skierowały

go na szlak Ugody Hadziackiej — a ten właśnie, południowo-wschodni kierunek jego polityki federacyjnej był głównie atakowany — trzeba mieć koniecznie w pamięci ówczesny obraz starożytnego kontynentu; ta rzeczywistość, którą dzisiaj znamy już od dawna, przede wszystkim utrwalenie się rządów komunistycznych na terenie samego imperium rosyjskiego i późniejszy ich wzrost aż do potęgi nieporównanie większej niż „białe” imperium przedstawiało — nie świtała nawet w przewidywaniach mężów stanu całego świata. Nikt z wielkich polityków ówczesnych nie wierzył, by bolszewizm mógł się utrzymać; jeśli się różniono, to tylko w wyborze dróg do przyspieszenia jego upadku. Gdy działania francuskie, czy angielskie w tym kierunku okazały się zawodne, gdy okazało się że tylko zaporę polską odgrodziła zachód Europy od ekspansji bolszewickiej, przewidywano na wschód od tej zapory nieodgadnione możliwości, sądząc że przyniosą one w każdym razie dłużej trwałe osłabienie Rosji. Ileż to razy i później, gdy przychodziły rozmaite konflikty i zatargi — po śmierci Lenina, w okresie głębokiego wrzenia w armii czerwonej i w partii komunistycznej, stłumionego dopiero masowym terrorem Stalina w 1937 r. — mówiono że oto początek końca, że lada chwila padnie ustrój sowiecki, po którym przyjdzie okres zamętu, a może rozpadnięcia się tego imperium.

W sytuacji istniejącej w 1919 r. taki obrót wypadków był prawdopodobny; i mogłyby być odwrócone, po dwustu przeszło latach, historyczne skutki bitwy połtawskiej.

Wtedy koncepcja Piłsudskiego mogła osiągnąć wyniki doniosłej miary. Stało się inaczej. Odegra jednak — w mniejszej skali — swą pozytywną rolę jego federacyjny program; zarówno w przebiegu wojny polsko-rosyjskiej jak i w dyplomatycznej obronie rozległości granic Polski na wschodzie wobec mocarstw zachodnich. Zarysuję to w zakończeniu mej relacji o dalszym rozwoju pojedynku między Piłsudskim a Leninem. Znajdzie się tam też miejsce na wyjaśnienie sprawy odrzucenia wspólnej akcji z Denikinem.

Bogusław MIEDZIŃSKI

(Dokończenie nastąpi)

O religii bez namaszczenia

Watykan a świat komunistyczny

Ogólna linia stosunków Watykanu z Rosją kształtowała się pod wpływem trzech głównych czynników. Pierwszym z nich było odwieczne pragnienie Stolicy Świętej, aby wierni Kościoła wschodniego wrócili na łono katolickiej jedności. Drugim czynnikiem była obawa przed rozszerzaniem się komunizmu w świecie. W końcu zaś gorąca chęć pomożenia, tyle ile się tylko da, katolikom, żyjącym pod panowaniem Moskwy.

Od czasu soboru we Florencji (1439) położenie kresu wschodniej schizmie było stałym dążeniem Stolicy Apostolskiej. To dążenie nigdy nie osłabło, nigdy nie było poniechane. W Rzymie interesowano się tylko stroną religijną problemu usunięcia schizmy. Inaczej patrzano na tę sprawę w Rosji, gdzie od czasów Piotra Wielkiego cesarz był głową Kościoła i wierność mas dla religii prawosławnej stanowiła fundament carskiego ustroju. Ktokolwiek więc usiłował pociągnąć część poddanych w stronę innej religii, ten stawał się wrogiem ustalonej władzy, wrogiem państwa, wrogiem świętej Rosji. Taką rolę przypisywano Rzymowi. Między Petersburgiem i Watykanem dochodziło wprawdzie do pewnych układów ale akcja, mająca na celu przywrócenie jedności między Kościołem prawosławnym i Kościołem rzymskim była w rosyjskim cesarstwie niemożliwa, a ta niemożliwość wynikała z samej struktury tego państwa.

Nic więc dziwnego, że rewolucja w 1917 roku wzbudziła pewne nadzieje w Kurii rzymskiej. Wkrótce po wybuchu tej rewolucji katolicy próbują znaleźć się na terenie upadłego imperium carów, nawiązać kontakty z duchowieństwem prawosławnym, przeżywającym swe bezhołowie po zniknięciu cara. Wszystkie te wysiłki okazały się bezowocne. Trzeba było szukać najpierw jakiegoś porozumienia z władzami politycznymi.

Stolica Święta była skłonna zawrzeć pewną ugodę w roku 1922, kiedy przedstawiciele państw zachodnich prowadzili w Genewie negocjacje z delegatami Kremla. Watykan gotów był także i w przyszłości prowadzić rokowania bezpośrednie z Moskwą.

W ekonomii Kościół jest „agnostykiem”

Dla przygotowania atmosfery, ułatwiającej te ewentualne rozmowy, kardynał Gasparri, sekretarz Stanu, oświadczył dziennikarzowi i historykowi włoskiemu A. Buonaiuti: „Kościół nie sprzeciwia się zasadniczo organizowaniu państwa na podstawach komunizmu; Kościół jest agnostykiem w sprawach wyłącznie ekonomicznych. Kościół domaga się tylko, aby władze państwowe nie stawiały przeszkód, utrudniających rozwój życia religijnego i działalności kapłańskiej”.

Mgr Sincero, wysłany przez Piusa XI jako obserwator na konferencję w Genui, przyjął u siebie delegatów sowieckich. Podobnie uczynił arcybiskup Genui. Watykan bowiem zwykł unikać utożsamiania rządów z ideologiami. Nie odrzucał *a priori* możliwości kontaktów z osobistościami politycznymi dla osiągnięcia konkretnych porozumień. Pozostawał nieprzejednany, gdy chodziło o obronę praw Kościoła.

Konferencja w Genui nie dała spodziewanych rezultatów. Jednocześnie wzmagają się w ZSSR prześladowania religijne. Biskupi i kapłani katoliccy są aresztowani. Wykonywanie kultu religijnego staje się niemożliwe. Watykan nie rezygnuje jednak ze swoich prób wysyłania katolików na teren ZSSR. Oto w 1922 r. wyjechała do tego kraju grupa jedenastu misjonarzy przy okazji wysyłki pomocy Stolicy Świętej dla głodującej ludności Związku Sowieckiego. Nieco później toczyły się w Rzymie rozmowy między jezuitą Tacchi Venturi i sowieckim reprezentantem Jordanskym. Następnym tych pertraktacji było udzielenie pozwolenia na miesięczny pobyt w ZSSR francuskiemu jezuitcie Michelowi d'Herbigny'emu, w charakterze prywatnym.

Episkopat prawosławny boi się „papistów”

Kiedy d'Herbigny już jako biskup przybył znów do Związku Sowieckiego, zostaje z tego kraju wydalony na skutek zabiegów episkopatu prawosławnego, który z obawy przed „papieżnikami” zbliżył się do władz sowieckich. W roku 1927 metropolita Sergiusz w Moskwie opublikował deklarację, że Kościół prawosławny może być wierny i posłuszny „sownarkomowi”, ponieważ nowy reżym nie mógł się ustalić bez woli Bożej. Watykan znowu znalazł jako przeciwnika państwo rosyjskie i Kościół prawosławny, wirtualnie sprzymierzone.

Walka zaostrza się

Prześladowania katolików w Związku Sowieckim przybierają coraz większe rozmiary. Pius XI ogłasza w 1930 r. formalne popiętowanie tej sowieckiej akcji. Moskwa odpowiedziała Rzymowi

gwałtownymi atakami. Ze względu na fundamentalne różnice ideologiczne istotne porozumienie między Kremlem i Watykanem było niemożliwe. Mimo to doraźne względy polityczne wpływały na złagodzenie lub zaostrzenie tonu polemik.

Pius XI potępa w całości „materializm ateistyczny”

W latach 1937-38 ten ton polemik był specjalnie cierpki. Pius XI opublikował (1937) encyklikę *Divini Redemptoris*, w której stwierdza: „Komunistyczny ustroj społeczny jest aktualnie całkowicie przesiąknięty ateistycznym materializmem. Jest więc rzeczą daremną wyróżnianie w nim jakiejś cząstki, która pewnego dnia może być przyjęta przez chrześcijańskie społeczeństwo”.

Potępa Hitlera rosła. Moskwa była przekonana, że Stolica Święta chce poprzeć niemiecki nacjonalizm, widząc w nim zapórę przeciw bolszewizmowi. Wybór nowego papieża Piusa XII, którego nawet poważna prasa niemiecka powitała jako „naszego anioła stróża” — ten fakt nie mógł rozproszyć podejrzeń Krmla.

W rzeczywistości zaś w tym okresie główną troską Watykanu było utrzymanie pokoju. Stolicę Świętą w tym samym stopniu niepokoiła możliwość sojuszu między Londynem, Paryżem i Moskwą, co i ewentualność porozumienia się Niemców z Rosją. Kiedy układ między Hitlerem i Stalinem został zawarty 23 sierpnia 1939 roku, żywe zaniepokojenie powstało w Watykanie. Wydarzenia toczą się w zawrotnym tempie. 1 września 1939 r. armia niemiecka uderza na Polskę. Watykan zachowuje milczenie. W kołach bliskich Stolicy Apostolskiej mówi się, że Hitler chce sobie zapewnić tylko dogodną bazę do przyszłej akcji przeciw bolszewikom. 17 września 1939 wojska sowieckie wkraczają na teren Polski. Radio watykańskie piętnuje dobitnie tę agresję i agresora. Moskwa odpowiedziała na falach swego radia, że okupowała część Polski tylko po to, aby móc się lepiej bronić przeciw hitleryzmowi.

Nadzieja na pozyskanie prawosławnych dla jedności Kościoła

W związku z niemieckim atakiem na ZSSR (21 czerwca 1941 roku) i udziałem Włoch w tej wojnie niebezpieczeństwo rosyjskiego bolszewizmu stało się dla Kurii rzymskiej rzeczą bardzo realną, bliską, prawie dotykającą. Obawa przed komunizmem wzrasta w Watykanie. Dlatego też pierwsze zwycięstwa hitlerowskie wzbudziły tu pewne zadowolenie. Spodziewano się zmiażdżenia czerwonego reżymu w Rosji, co dałoby nowe możliwości dla pracy misyjnej, mającej na celu położenie kresu wschodniej schizmie.

Nuncjusze w Madrycie i w Vichy twierdzili, tak podaje w swoich zapiskach niemiecki ambasador von Weizsaecker, że Pius XII pragnął gorąco decydującego zwycięstwa nad bolszewiz-

mem. W tym okresie radio watykańskie usuwa wszelkie wzmianki antyniemieckie ze swoich programów. W Londynie niektórzy przypuszczali, że Kuria rzymska przygotowuje się na przyjęcie „nowego ładu” w Europie.

W rzeczywistości główną przyczyną tej postawy Stolicy Świętej była nadzieja, że nareszcie będzie można prowadzić akcję unijną wśród prawosławnych, gdy zostaną oswobodzeni przez Niemców spod panowania bolszewickiego. Misjonarze i kapłani podążają na wschód śladami posuwającej się armii niemieckiej, aby bez zwłoki nawiązywać kontakty z miejscową ludnością. W radio watykańskim wprowadzono audycje w języku rosyjskim, ukraińskim i białoruskim. Przestraszony niemieckimi zwycięstwami rząd sowiecki łagodzi swą propagandę antyreligijną. Liga Bezbożników zostaje rozwiązana. Udzielono większej swobody działania amerykańskiej misji katolickiej w Moskwie. Przywódcy sowieccy obiecują szanować w przyszłości przekonania religijne swoich obywateli. Kuria rzymska mimo wszystko nie przestaje się lękać komunizmu. Rokowania Stolicy Świętej z Finlandią, będącą w stanie wojny z ZSSR, w sprawie normalnych stosunków dyplomatycznych, zostały ocenione przez Moskwę jako pewnego rodzaju pomoc moralna dla Niemiec.

Twierdzenie Serano Sunera, szwagra generała Franco, że Pius XII pochwała ideę utworzenia koalicji przeciw ZSSR potęguje jeszcze więcej oburzenie Kremla.

„Święte Imperium” w sercu Europy

Papież w rzeczywistości obawiał się nie tylko imperializmu bolszewickiego, ale i hitlerowskiego. Pragnieniem Piusa XII było stworzenie wielkiego państwa katolickiego, obejmującego Węgry, Austrię, Krocację, Czechosłowację i ewentualnie Bawarię.

Takie państwo mogłoby bronić Europy przed Rosją. Aby osiągnąć ten dalszy cel trzeba postępować oględnie z Niemcami. Dlatego nawet po niemieckiej ofensywie powietrznej przy pomocy V. I., i V. II. papież zachęca ludność Anglii do chrześcijańskiej wyrozumiałości dla przeciwnika. Prasa sowiecka przy tej okazji wypomniała papieżowi, że był bardzo oburzony, gdy kilka bomb amerykańskich spadło na Rzym.

Kreml atakował Stolicę Świętą, a Kościołowi prawosławnemu czynił obietnice. Stalin w swoim apelu z 8 września 1943 roku oświadczył, że partia komunistyczna Związku Sowieckiego nie chce pozbawiać ludzi wierzących ich kościołów i zapewnia każdemu wolność sumienia.

Czy nie pod wrażeniem tych właśnie obietnic wkrótce potem synod prawosławny potępił tych, specjalnie zaś Watykan — „którzy uwalniają Niemcy hitlerowskie od odpowiedzialności za ich zbrodnie”? W każdym razie papieństwo znalazło się znowu przed tradycyjną w Rosji współpracą władz religijnych i państwowych.

Po wojnie: okres oczekiwania i niepokoju

W roku 1945 prezydent Roosevelt usiłuje doprowadzić do odprężenia między Kremlem i Stolicą Świętą. Współpracownik prezydenta, finansista F. J. Flynn, zwrócił się do Watykanu, ale nie znalazł tam dużego poparcia dla swej misji. Roosevelt próbował poruszyć temat odprężenia stosunków ze Stolicą Apostolską w czasie konferencji ze Stalinem w Jałcie, ale nie dało to żadnych owoców.

Przychodzi koniec wojny. Kuria jest ogromnie zatroskana. Komuniści weszli w skład wielu rządów państw zachodnich. Państwa bałtyckie zostały włączone do ZSSR. W Warszawie, Pradze, Budapeszcie, Bukareszcie, Sofii, Belgradzie, Tiranie ustalają się reżymy poddane Moskwie. Czerwona armia okupuje wschodnie Niemcy i część Austrii. Więcej niż 60 milionów katolików znalazło się niespodzianie pod zaborem Kremla. W takiej sytuacji wskazana jest wielka roztropność.

Przystosować konkordaty

Watykan uważał, że konkordaty czy *modus vivendi*, zawarte przed wojną z państwami środkowej i wschodniej Europy, są w dalszym ciągu prawomocne. Spodziewał się, że w drodze rokowań będzie można przystosować te konkordaty do nowej sytuacji, oczywiście bez rezygnowania z zasadniczych praw Kościoła. Ta nadzieja, zresztą bardzo nieśmiała, wkrótce się rozwiła. Kreml zachował postawę stosunkowo tolerancyjną wobec rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Watykan obserwował to z wielką uwagą, ponieważ przypuszczał, że ten Kościół prawosławny może się stać pośrednikiem między władzami sowieckimi i Stolicą Świętą. Było to nowe złudzenie. Kreml uważał Kościół katolicki za głównego wroga swojej ideologii. Dlatego też, jak niegdyś carowie, przywódcy Związku Sowieckiego zniszczyli wspólnoty religijne unitów. Zostali oni przemocą włączeni do Kościoła prawosławnego. Kościół rzymski stracił w ten sposób około sześciu milionów wiernych.

Nie lepiej potoczyły się sprawy na odcinku dyplomatycznym. W 1945 r. nuncjusz papieski na Węgrzech, mgr Rotta, otrzymał nakaz opuszczenia tego kraju. Ten sam los spotkał delegata apostolskiego w Albanii. Polska Republika Ludowa wypowiada konkordat z Watykanem, to samo czyni rząd rumuński. W 1949 Praga zażądała odwołania chargé d'affaires nuncjatury, mgr Verolino, a potem i jego współpracowników. De facto stosunki dyplomatyczne zostały zerwane. W 1952 zrywa je również marszałek Tito.

Biskupi muszą sami podejmować decyzje

W tych trudnych warunkach coraz większa odpowiedzialność

spada na biskupów, żyjących w krajach, nie utrzymujących stosunków ze Stolicą Świętą. Ci biskupi mają większą swobodę podejmowania decyzji, które kiedyś należały do kompetencji Kurii rzymskiej. Mimo to podpisanie w roku 1950 porozumienia między episkopatem polskim i warszawskim rządem komunistycznym wywołało pewne niezadowolenie w Rzymie.

W Czechosłowacji biskupi usiłowali przystosować się do nowego porządku. Nic to nie pomogło. Arcybiskup Pragi, mgr Beran został internowany, a życie religijne w tym kraju zostało zdławione.

Na Węgrzech kardynał Mindszenty przyjął odważnie postawę wroga wobec reżymu. Zostaje aresztowany, wzmaga się prześladowania religijne. Niemniej wśród węgierskiego duchowieństwa zaczyna się przejawiać tendencja szukania w drodze rokowań jakiegoś *modus vivendi* między Kościołem i rządem. Watykan nie pochwalił tego dążenia, ale go też i nie potępił.

W ZSSR Kościół katolicki został zniszczony, jeśli żyje to tylko w ukryciu. Widnokrąg życia religijnego zakrył mrok.

Między 1947 i 1953 rokiem stosunki Stolicy Świętej i Kremla ograniczały się do cierpkich polemik. W roku 1949 dekret Świętego Oficium zakazał katolikom pod karą ekskomuniki wszelkiej współpracy z partią komunistyczną.

Po Stalinie: okres oczekiwania

Mimo wszystko Watykan bynajmniej nie wykluczał możliwości uregulowania stosunków z państwami socjalistycznymi, oczywiście pod warunkiem, że prawa Kościoła będą zagwarantowane. Nawet jeśli głębokie różnice ideologiczne uniemożliwiają istotne porozumienie między papieżstwem i rządami socjalistycznymi, Watykan spodziewał się ułatwić życie religijne w katolickiej Polsce, na Węgrzech, a także i w Czechosłowacji.

Te nadzieje wzmogły się po śmierci Stalina. Nastąpiło wtedy pewne złagodzenie polityki antyreligijnej w ZSSR a i rządy krajów satelickich zaczęły naśladować przykład Moskwy. Był to okres oczekiwania.

Podstęp czy odprężenie?

Wzrosła liczba narodów, posiadających swe przedstawicielstwo przy Stolicy Świętej. Wzmógł się autorytet papieżstwa. Dla celów propagandowych i Kreml uznał za pożyteczne uczynić kilka gestów pojednawczych pod adresem Watykanu.

Na początku roku 1955 ambasador sowiecki w Wiedniu zaprosił księdza Redinga do odwiedzenia ZSSR, gdzie będzie miał możliwość spotkać się z osobistościami świata religijnego i kulturalnego. Był to nieoczekiwany gest grzeczności. Za zgodą Rzymu ksiądz Reding skorzystał z zaproszenia. Był oficjalnie przyjęty

w Moskwie, miał okazję wizytować katolików na Litwie i w Leningradzie.

Pokój i rozbrojenie: powody sowieckich umizgów

W kilka miesięcy później chargé d'affaires sowiecki w Rzymie, M. Pożidajew doręczył nuncjuszowi papieskiemu przy Kwirynale, mgr Fietta, projekt rozbrojenia, proponowany przez rząd ZSSR. Był to nowy, raczej niezwykły krok.

W r. 1958 Gromyko, sowiecki minister spraw zagranicznych, oświadczył pewnemu dziennikarzowi, że w sprawie pokoju istnieje już istotne porozumienie między ZSSR i Watykanem. To może spowodować — powiedział — ustalenie stosunków, pożytecznych dla obu stron.

Po wyborze na papieża Jana XXIII stawało się coraz widoczniejsze pragnienie Stolicy Świętej usuwania powodów tarć w reżymami Europy wschodniej. Pewnie, że zdarzały się momenty napięcia, ale uczyniono poważne wysiłki dla poprawy wzajemnych stosunków.

Po wybudowaniu muru w Berlinie Jan XXIII wystosował wspaniały apel w sprawie pokoju. To orędzie znalazło przychylne echo nawet w krajach poza żelazną kurtyną. Chruszczow w rozmowie z dziennikarzami wyraził się bardzo pochlebnie o wystąpieniu papieskim. sowieckie pisma „Prawda” i „Izwestia” opublikowały apel Jana XXIII. To samo uczyniła agencja TASS. Dziennik „L'Osservatore Romano” uwypuklił fakt, że po raz pierwszy osobistość sowiecka uznała publicznie akcję pokojową Kościoła katolickiego.

Z okazji 80-tej rocznicy urodzin papieża Jana ambasador sowiecki przy Kwirynale, Kozyrew, złożył na ręce nuncjusza przy włoskim rządzie mgr Carlo Grano „szczerze życzenia i powinszowania” Nikity Chruszczowa dla papieża. Dotychczas żaden szef rządu komunistycznego nie składał gratulacji Wikariuszowi Chrystusa.

Do chwili otwarcia Soboru

W październiku 1962 roku rozpoczął się II Sobór Watykański. W ostatnim momencie przybyli nań dwaj obserwatorzy, wysłani po długich wahaniach przez patriarchę Moskwy. Ci rosyjscy obserwatorzy nie mogliby przybyć do Rzymu bez zezwolenia rządu sowieckiego, który udzielił tego pozwolenia dla podkreślenia atmosfery odprężenia.

Z tego samego powodu odzyskał wolność arcybiskup Slipyj, przebywający przez 18 lat w sowieckich więzieniach i obozach. Uwolniono go 5 lutego 1963 r. Następnym przejawem atmosfery odprężenia była audiencja, udzielona przez papieża córce i zięciowi Chruszczowa. Audiencja ta wywołała wiele hałasu, wiele

komentarzy, niezawsze aprobujących gest Jana XXIII. Oczywiście ta audiencja nie oznaczała, że Watykan i ZSSR zamierzają nawiązać stałe stosunki. Była tylko dowodem, że coś się jednak zmieniło w nastawieniu Moskwy w stosunku do Stolicy Apostolskiej.

W kwietniu 1963 roku Chruszczow skomentował bardzo przychylnie encyklikę papieską „Pacem in terris”. Za jego przykładem podobne pochwały wyraziła prasa krajów satelickich. Po śmierci Jana XXIII Chruszczow wysłał telegram kondolencyjny Świętemu Kolegium, następnie zaś życzenia nowemu papieżowi Pawłowi VI.

Mniej wrogi stosunek Kremla do Watykanu wpłynął widocznie i na patriarchat Moskwy. W roku 1963 po raz pierwszy wysoki dygnitarz rosyjskiego Kościoła prawosławnego, mgr Nikodem, złożył wizytę papieżowi. Trzeba także zaznaczyć, że na polecenie Pawła VI delegacja katolicka brała udział w uroczystościach prawosławnych z okazji 50-tej rocznicy biskupstwa patriarchy Aleksego w Moskwie. Czegoś podobnego nie widziano od kilku wieków.

Czujna koegzystencja

Na początku 1964 r. Paweł VI poinformował Chruszczowa, że poświęcił wiele uwagi nocie, jaką rząd sowiecki przesłał Stolicy Świętej. W tym okresie dało się odczuć lekkie odprężenie w krajach satelickich. Kardynał Koenig, arcybiskup Wiednia przebywał kilka dni w Polsce, gdzie był przyjęty przez wiceprzewodniczącego Rady Państwa.

Kardynał Koenig odbył także podróż na Węgry. Nieco później podobną podróż odbył mgr Casaroli, który w Sekretariacie Stanu kieruje działem spraw, odnoszących się do krajów satelickich. Przy końcu roku 1963 arcybiskup Beran i wszyscy biskupi Czechosłowacji uzyskali względną swobodę poruszania się, ale bez możliwości podjęcia działalności kapłańskiej. Daleko więc było jeszcze do jakiejś znośnej normalizacji stosunków. Zresztą od czasu do czasu ponawiały się sowieckie ataki przeciw Stolicy Świętej. Były one szczególnie gwałtowne, kiedy mgr Slipyj otrzymał tytuł „arcybiskupa większego”. Kościół rosyjski oburzył się i ambasador sowiecki we Włoszech protestował w Sekretariacie Stanu, twierdząc, że ta nominacja przywraca znaczenie Kościołowi ukraińskiemu obrządku bizantyjskiego, zakazanemu w Związku Sowieckim.

Pierwszy układ: z Kadarem

W tych warunkach nie było żadnych widoków na jakiś owocny dialog między Kremlem i Watykanem. Jedynie uprzednio nawiązane kontakty z Budapesztem dały pewne wyniki. Faktycz-

nie rząd węgierski Janosza Kadara i Stolica Apostolska podpisały *modus vivendi* w czerwcu 1964 r. Był to pierwszy układ Watykanu z rządem komunistycznym. W Warszawie przywiązywano do tego wydarzenia wielką wagę. Zauważono bowiem, że i drugie porozumienie polskiego episkopatu z władzami komunistycznymi w roku 1956 było źle przyjęte przez Kurie rzymską. Jeżeli więc teraz sam Watykan podpisuje układ z państwem komunistycznym, to widocznie — mówiono w Polsce — istnieje w Rzymie „nowy duch”.

Niezaprzeczalnie II Sobór Watykański zmienił wiele rzeczy. Usunął chwiejące się bariery. Teologowie katolicycy wzięli udział w „tygodniu myśli marksistowskiej” w Paryżu, a pisarze komunistyczni i ateistyczni zostali zaproszeni w marcu 1965 r. na dyskusje „tygodnia katolickich intelektualistów”

W siedzicie O.N.Z.: pojednanie

W jesieni 1965 roku Paweł VI udał się do siedziby ONZ w Nowym Jorku, gdzie wygłosił swe pamiętne przemówienie, przeniknięte obiektywizmem i duchem pojednawczym. Wszyscy obecni, łącznie z delegatami państw komunistycznych gorąco oklaskiwali papieża. Przy tej okazji Paweł VI odbył piętnastominutową rozmowę z sowieckim ministrem spraw zagranicznych, Gromyko. Było to wyjątkowe wydarzenie: rozmowa papieża z członkiem rządu sowieckiego.

Z braku ambasad: telegram

Na progu roku 1966 Paweł VI omawiał sprawę pokoju w Wietnamie i w całym świecie. Swoje apele pokojowe wysłał do szefów rządów, zaangażowanych w konflikcie. Między innymi wysłał swe orędzie przewodniczącemu prezydium Najwyższego Sowietu, Podgórnemu, prezydentowi chińskiej partii komunistycznej, Mao Tse-tungowi i szefowi państwa północnego Wietnamu. Ponieważ Stolica Święta nie utrzymuje z tymi państwami stosunków dyplomatycznych, apele wysłano po prostu drogą telegraficzną z poczty watykańskiej, co stanowi odstępstwo od metod tradycyjnej dyplomacji.

Odpowiedź Podgórnego nadeszła z dużym opóźnieniem. Była grzeczna, ale nie zawierała nic pozytywnego. Odpowiedzialność za wojnę w Wietnamie zrzuciła na Stany Zjednoczone.

W styczniu br. mgr Casaroli udał się na dwa dni do Moskwy. W drodze powrotnej zatrzymał się 24 godziny w Warszawie. Nic oficjalnie nie ogłoszono na temat tej podróży. I to jest całkiem zrozumiałe. Roztropność była w tym momencie specjalnie konieczna, ponieważ są w toku rokowania Stolicy Świętej z Jugosławią. Prowadzi się też rozmowy w sprawie udoskonalenia za-

wartego już układu z Węgrami. Każdy krok Watykanu w tej sytuacji musi być dobrze odmierzony.

Napięcie w Polsce

Ta ostrożność, powściągliwość Watykanu tym bardziej jest obecnie konieczna, ponieważ w ostatnim czasie uderzyła fala ataków na Kościół w Polsce. Episkopat polski wysłał list do biskupów niemieckich. Reżym gomułkowski stara się go wykorzystać dla rozpętania kampanii oszczerstw przeciw kardynałowi Wyszyńskiemu, duchowieństwu i Kościołowi.

Watykan nie chce zaostrzać sytuacji. Pragnąłby wpływać uspokajająco na wzburzone umysły. Niestety ataki się mnożą. Papież musiał zrezygnować ze swego zamiaru wyjazdu do Polski na uroczystości Tysiąclecia chrześcijaństwa. Kardynał Koenig powiedział przed dwoma laty w wywiadzie prasowym, że komuniści zdają się już rozumieć, że prześladowaniem nie zniszczą Kościoła. Powinni wejść teraz na drogę tolerancji. Kościół ze swej strony, dorzucił arcybiskup Wiednia, szuka najlepszych środków dla obrony swych wiernych, ale bez rezygnowania ze swoich praw.

Jan MIKORSKI

(Przełożył z francuskiego ks. Wacław TOKAREK)

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

§ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223



Tel: FRE. 7888

Sprawy i troski

Piętnaście lat młodości

30 kwietnia w samym niespodziewanym rozkwicie angielskiej wiosny odbyła się w Londynie wzruszająca uroczystość otwarcia Ośrodka Młodzieżowego. Wzruszenie nieklamane widniało na twarzach kilkuset gości i kilkorga młodych chowających się po kątach. Pierwsi wzruszali się z powodu własnej szlachetności, drudzy z rozgoryczenia.

Piętnaście lat temu kilkunastu młodych ludzi założyło Komitet Domu Młodzieży.

Członkowie szkół junackich w Palestynie i jednostek polskich na Środkowym Wschodzie, tak jak i wszyscy polscy żołnierze, płacili w czasach wojennych niemały grosz na Fundusz Żołnierza. Gdy nastąpił pokój i czas decyzji, co ze sobą czynić, ten środkowo-wschodni fundusz zaokrąglił się do sumy 6.200 funtów. Postanowiono go przewieźć do Anglii i wykorzystano w tym celu możliwości Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Przekazano pieniądze SPK z zastrzeżeniem, że będą one zużyte na budowę ośrodka młodzieży.

W pierwszym Komitecie Domu Młodzieży znajdowało się siłą rzeczy sporo byłych junaków i kadetów z palestyńskiej szkoły. Zdawało się, że sprawa prosta. Powstawały domy rzemieślników, socjalistów, lotników, marynarzy, Polek, historyków, pisarzy. Każdy, kto organizował się jako tako, zaczepiał swą działalność o nieruchomość w Londynie.

Cóż byłoby bardziej logiczne i potrzebne jak dom, w którym mogłaby działać, bawić się, kształcić młodzież?

Jednak SPK pieniędzy nie wypuściło. Komitet Domu Młodzieży trwał jako pewnego rodzaju protest i wyrzut sumienia.

„Młodzi” piętnaście lat, starzejąc się i gorzkniejąc, walczyli o owe fundusze szlachetnie i wspaniałomyślnie przeznaczone na pomoc dla młodzieży, a zatrzymane trudno stwierdzić z jakich powodów.

Po piętnastu latach, gdy członkom Komitetu wyrosły siwe brody i przerzedziły się włosy, gdy uzyskali tytuły naukowe, posady i stanowiska, najczęściej bardzo dobre, „młodzi” Polacy na ob-

czyźniej dochrapali się „prawie” swego Ośrodka Młodzieżowego. „Prawie” jest tym przykrym słowem, które obok słów „nareszcie” i „późnawo” trwały na końcu języka tych, którzy na urozystości nie przemawiali.

Zgromadziło się kilkuset starszych panów i kilka uroczych pań. Generałowie, pułkownicy, profesorowie, mecenasi, dyrektorzy i naturalnie działacze społeczni.

— Na emigracji — powiedział jeden z „młodzieży” — każdy Polak jest działaczem społecznym. A tak mało prawdziwej społecznej działalności! Gorycz tego stwierdzenia była uzasadniona.

Przemawiał przedstawiciel Kościoła wspominając w pięknych słowach o przyszłości i o tysiącleciu, o potrzebie szerokiej działalności młodzieżowej zakreślonej na całe Wyspy.

Przemawiał przedstawiciel owego Stowarzyszenia Kombatantów, które tak długo wstrzymywało się od pomocy i hamowało działalność Komitetu Domu Młodzieży.

Przemawiał przedstawiciel Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, organizacji młodej, tej właśnie która otworzenie ośrodka młodzieżowego umożliwiła.

Przemawiał doktor Wiktor Poznański przewodniczący Ośrodka Młodzieżowego.

Mimowoli słyszałem uwagi dwóch generałów, którzy się przyśłuchiwali mowie młodego i dobrze w angielskim środowisku zakotwiczonego doktora.

— To ma być przedstawiciel młodzieży? Ile on ma lat?

— Jak on mówi po polsku? Kongratulacje? Co to za słowo?

Było tych starszych (wszystko wielcy społecznicy, przedstawiciele możnych funduszków i wielkich organizacji) panów prawie dwustu. Żaden nie pomyślał pewnie, że gdyby piętnaście lat temu inaczej działali, gdyby pomogli młodym, gdyby zmusili organizacje do zajęcia się sprawą młodzieży, to większy byłby wkład polskich doktorów, inżynierów, dyrektorów w sprawę polską, to lepiej by owi młodzi angielscy uczeni i specjaliści mówili po polsku.

Z owych 6.200 przeznaczonych na dom młodzieży po udzieleniu pomocy (słusznej, ale dlaczego z tych pieniędzy?) szkole w Fawley Court i zapłaceniu 93 funtów kosztów, związanych z próbami nabycia obiektu na Dom Młodzieży w roku 1952, pozostało 4.100 i te pieniądze zostały przez SPK przekazane Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu jako bezterminowa bezprocentowa pożyczka.

— Dlaczego nie oddano jej jako wkład młodych w majątek Ośrodka? Dlaczego pożyczka, jeżeli to się nam należy?

Lokal poświęcony i otwarty uroczyście jest mały, ciasny, w podziemiach domu należącego do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Urządzony starannie, czysto, z gustem i skromnością stanie się na pewno miejscem spotkań młodzieży, widownią wielu zabaw i zebrań, ale nie jest on Domem Młodzieży na jaki polska młodzież emigracyjna zasługuje, jakiego bardzo potrzebuje.

W związku z otwarciem tego klubu napisano „nareszcie”, ale najlepiej pasuje słowo „prawie”.

Strasznie łatwo przychodzi naszym mówcom wielkie słowa. Każdy przy lada okazji sięga dziś chwały tysiąca lat i wielkich czynów pamięci, ale emigracja powinna się co dzień rumienić na wspomnienie swoich błędów wobec młodzieży, wobec tej garstki młodych, którzy postarzeni się walcząc o swój dom.

Aż dziwne, że tylu powierników funduszy, tylu prezesów władnych i złotoustych, tylu przedstawicieli potężnych organizacji zdecydowało się wziąć udział w otwarciu Ośrodka Młodzieżowego. Nikt się nie wstydził, choć wszyscy zawinili w tej sprawie.

Wieczorem tego dnia sami młodzi, z wielkim procentem tej prawdziwej młodzieży „nastolatków”, zebrali się na inauguracyjną zabawę na „house warming party” i tańczyli twista na bardzo pięknym parkiecie.

Ciekawe jest to, że powodem niechęci pomożenia młodym w zdobywaniu własnego domu nie było niedocenianie problemu młodzieżowego, ale obawa przed „innością” tego przejściowego pokolenia wojennego, brak zaufania do niego, żal że nie chcą przejmować wszystkich trosk, zobowiązań i całego galimatiasu emigracyjnego starszego pokolenia.

Dziś członkowie zarządu Ośrodka Młodzieżowego, owi młodzieńcy w walce piętnastoletniej swoją młodość siłą zachowujący powiadają:

— Oddajemy wszystko młodszemu, młodzieży kilkunastoletniej. Oddajemy bez zastrzeżeń, bez żądań przystosowania się, bez zobowiązań do zajmowania określonego stanowiska narodowego czy politycznego. Niech przyjdą, niech się bawią, niech przyprawdzają swoich przyjaciół. O reszcie będziemy mówili później.

Nauczyli się wiele przez piętnaście lat.

A starsi, przeciwnie, wciąż tacy sami. Żaden z powierników funduszy wielkich i bogatych nie podszedł do stołu, zza którego przemawiano wzniośle, i nie ofiarował swej pomocy w dalszym prowadzeniu Ośrodka. Rozeszli się zadowoleni, że spełnili dług wobec młodszego pokolenia: wypili kieliszek szampana.

C. D.

O nosso Professor

Miasto Pelotas w południowej Brazylii niewątpliwie lepiej orientuje się w polskich sprawach, niż Polacy w jego życiu. Zainteresowania polonistyczne miasta, wywodzące się najprawdopodobniej z przybycia tam w ostatnich latach ubiegłego stulecia

wcale pokażnej ilości polskich imigrantów, były zawsze tak żywe, że gdy hitlerowcy zburzyli w Warszawie pomnik Chopina — Pelotas zaprotestowało.

Protest ów, inspirowany głównie przez studentów i profesorów tamtejszego uniwersytetu, przybrał rozmiary na jakie tylko mieszkańców miasta było stać. Veto postawione barbarzyństwu słownie, wyrażało się w notach i żądaniach pisanych urzędowo dokąd tylko było można. Czynn timer natomiast oburzenie wyraziło się ufundowaniem i wystawieniem polskiemu kompozytorowi własnego pomnika. Stał w Brazylii nieopodal — jak na amerykańskie wielkości — granic urugwajskich i argentyńskiej.

Odwiedzającym go Europejczykom — Pelotas i okolice przybliżają okres dzieciństwa i czasy z opowiadań dawno nieżyjących dziadków. Miasto, liczące dziś około stu tysięcy mieszkańców, jest miastem ciszy i nieśpieszności. A okoliczne fazendy i większe estancje, należące często do patrycjatu brazylijskich Gauchów, bo do potomków portugalskich, a więc najstarszych kolonistów, przypominają żywo polskie dwory i dworki jakie znikły u nas w 1939 roku.

Ale i nowoczesność dosięgła już swym wszędobylskim palcem miasta Pelotas. Jej wyrazu doszukać się można w licznych szkołach wszystkich poziomów, w pół-niebotykach sięgających kilkunastu pięter, w pozostałych tu i ówdzie na asfalcie ulic ryśach, przypominających iż starodawny środek lokomocji miejskiej, tramwaj, został stamtąd usunięty i zastąpiony nowoczesniejszym autobusem, a w pewnej, niewielkiej jeszcze mierze, prywatnym samochodem.

„Jesteśmy tak porozrzucani po całym świecie” — pisał mi kiedyś Redaktor *Kultury* — „że warto jest wyławiać rodzinę i podawać do wiadomości ogółu”. Tedy w ramach akcji owego „wyławiania”, same nogi kierują się w Pelotas do jednego ze wspomnianych pół-niebotyków o nazwie „Palácio de Comércio”, aby tam wejść do przedziwnego mieszkania, o którym pisałem w wychodzącym w Kurytybie „Ludzie” na gorąco, a więc zaraz po pierwszej mojej wizycie w roku 1958:

„Cóż się tam bowiem nie wyprawia! W olbrzymim apartamencie stopy nie postawisz, okiem rzucić nie poradzisz, abyś nie utrafił w setki tomów dzieł naukowych, tysiące klisz i fotografii, niezliczone próbki i słoiki wydające woń spirytusu i kreozotu, miliony wycinków z gazet, nawet obojga płci i dziesiątków barw żywe motyle krążące po parkietach”.

Nieliczne wolne jeszcze miejsca tego apartamentu zajmują Inżynier Rolnik, Profesor Zwyczajny Uniwersytetu Rolniczego w Pelotas, Czesław Marian Bieżanko i Joanna M. Lucja Mantovani Bieżanko, jego Małżonka, znana powszechnie w Brazylii śpiewaczka liryczna, do ostatnich czasów koncertująca na tamtejszych scenach, a zarazem doskonale już dziś znająca swój przedmiot asystentka profesora.

Chociaż już osiem lat znajomości łączy mnie z Czesławem Bieżanką, ostatnio już tylko korespondencyjnie podtrzymywanej wobec mojej ucieczki z Brazylii do USA, ani o włos nie zmniejszył się mój podziw dla wszechstronności, wiedzy, niespożytych sił fizycznych i zapału, które pozwalają profesorowi już 45 lat — nie licząc lat studiów — pracować nad licznymi swymi specjalnościami i zamiłowaniem.

„Boli mnie ten fakt” — skarżył mi się niedawno — „że odchodzę już wkrótce na emeryturę, skończyłem bowiem w 1965 roku 70 lat”. I dziwić się tym słowom nie należy, bo i jakże nie żałować minionych czasów, jeśli aż tak niespotykanie były bujne, pełne treści i pracy.

Profesor Bieżanko stawia jako warunek rozmów na temat swej biografii, poznanie historii jego przodków. Trzeba prześledzić razem z nim te dawne dzieje, rozpoczynające się od Francesco Stancaro-Mantovani z Mantui (1501-1574), który Kościół chciał reformować, za co prześladowania liczne znosił w wielu krajach Europy, nim wreszcie za którymś z rządu nawrotem w Polsce czasów Bony Sforza osiadł, z Arianami się łącząc i zakładając rodzinę, suknie zakonne na kołku zawiesiwszy. Co nim się stało, zdążył jeszcze być profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, po czym w podeszłym wieku zmarł w Stopnicy wedle Kielc, już jako polski Franciszek Stankar-Mantovani.

I tam, w tym Kieleckim, osiadła rodzina z której wywodzi się obecny peloteński profesor. Znajdziesz tam w spisach rodowych przeoryszę klasztoru w Ibramowicach, jest i uciekinier od wojska carskiego, osiadający niby drugi Bem wśród Turków i podobnie dosługujący się stopnia generała i nazwiska Hassan Akil Bej Roman Stankar Borzęcki, są Żeromskie z domu, Stefana krewniaczki, wreszcie ojciec profesora, Roman Eugeniusz Bieżanko, powstaniec 1863 roku.

I sam Czesław Marian Bieżanko urodził się w Kielcach w 1895 roku, tam świadectwo dojrzałości uzyskał w szkole Handlowej Realnej, późniejszym gimnazjum J. Śniadeckiego.

Potem rozpoczęły się studia wyższe. Cała tego wiązanka: Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego Wydział Rolniczy i Wyższa Szkoła Rolnicza Wydział Matematyczno-Przyrodniczy, obydwie w Warszawie (1913-1917). Później przyroda na Uniwersytecie Jagiellońskim (1917-1920), jeszcze później chemia na Uniwersytecie w Poznaniu (1920-1923). W tymże dopłom rolniczy w 1922 i dyplom inżyniera rolnika w 1923.

O tamtych czasach Bieżanko opowiada z entuzjazmem, wykładów swoich wspomina jakby się z nimi wczoraj rozstał.

„Wiele i zawdzięczam — pisze w jednym ze swoich listów, — bo wiele się od nich nauczyłem. Ich wykłady, wskazówki i objaśnienia wspominam ze wzruszeniem, z wielką wdzięcznością, o każdym mógłbym wiele dobrego opowiedzieć i napisać. Nikt z nich już nie istnieje, ale istnieją zapisani złotymi zgłoskami w mej pamięci. Zgłoskami niezapomnianej pamięci i szacunku”.

Potem nazwiska. „Tych tylko, z którymi łączyła mnie przy-

jażń" — pisze. Więc: Tadeusz Miłobędzki, Stanisław Glixelli, Ludwik Szperl, Antoni Korczyński, Jakub Parnas, Stanisław Thugutt, Feliks Wiśniewski, Jan Tur, Ludwik Sitowski, Jan Sosnowski.

„A dalej” — wymienia Bieżanko — „jeśli chodzi o uczonych innych narodowości, wiele nauczyłem się od Embrika Stranda z Rygi, Norwega z pochodzenia, od Williama Trowbridge Merrifield Forbes'a z Cambridge w Massachusetts (USA) i generała Williama Harry'ego Evansa z British Museum w Londynie”.

Profesor należy do tych którzy zwykli mawiać: „Umiem, bo mnie nauczono”, a nie „Umiem, bom się nauczyłem”.

Chwalebna to skromność, ale właśnie sobie zawdzięcza Bieżanko niemało. Przegląd jego specjalności i prac mówi sam za siebie. Od dzieciństwa w nim istniejąca i podtrzymywana gorliwie przez rodziców miłość do przyrody, poparta później głębokimi studiami trwającymi przez całe życie, dała w rezultacie to, że dziś profesor Bieżanko jest znanym w całym naukowym świecie specjalistą w następujących dziedzinach:

Entomologia: owady łuskoskrzydłe (motyle) i równoskrzydłe;
Botanika: rośliny kosaćcowate, liliowate, amarylkowate, jaskrowate (jako lecznicze) i burak;

Chemia analityczna ilościowa (jodometria): cukry i glikozydy.

To się pisze stosunkowo łatwo, a i miejsca zabiera niewiele, takie wyszczególnienie czyichś specjalności. Na to jednak by je osiąść, trzeba lat nieprawdopodobnego wysiłku i pracy. Kiedy grzebiąc w papierach profesora w jego gabinecie, zapytałem go, zdziwiony pisanymi w latach 1925-1926 „Pracami i Artykułami z Cukrownictwa”, czy i w tym dziale również pracował, odpowiedział:

— No przecie! Tam się dopiero pracowało. Szesnaście godzin na dobę. Wtedy to były czasy! Wiedział człowiek że żyje.

Taka to jest wykładnia jednego tylko, skromnego wyrazu „burak”, widniejącego między specjalnościami profesora. A oto skrócony przegląd lat życia Czesława Bieżanki, które spędził w kraju. Przytaczam je z własnoręcznych jego notatek i z pracy inż. Edmunda Gardolińskiego z Porto Alegre w Brazylii, pt. „Czesław Marian Bieżanko, entomolog światowej sławy”¹:

W latach 1914-1917 pracował w Towarzystwie Naukowym Warszawskim, między innymi na Stacji Fizjograficznej tego Towarzystwa w Ojcowie, po czym w wieku 22 lat został nauczycielem chemii rolniczej i organicznej w Szkole Ogrodniczo-Pomologicznej w Warszawie.

W latach 1916-1920 wykładał chemię i nauki przyrodnicze w warszawskich prywatnych gimnazjach M. Taniewskiej, J. Zaborowskiej, S. Kaczorowskiej, R. Kowalskiego i W. Posseltówny oraz w I-szym Gimnazjum Miejskim, z tym że i letnie wakacje nie były mu darowane. Z polecenia bowiem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego uczył chemii na wakacyj-

1. Inż. Edmund Gardoliński. Czesław Marian Bieżanko, entomolog światowej sławy. Grafica Vicentina Ltda. Curitiba 1965.

nych kursach dla nauczycieli szkół powszechnych. W 1918 w Radomiu, 1919 w Szczuczynie Łomżyńskim, w 1920 w Rawie Mazowieckiej, w 1922 w Kaliszu.

W 1920-1923 był już starszym asystentem chemii ogólnej na Uniwersytecie Poznańskim i prowadził ćwiczenia z chemii analitycznej ze studentami Uniwersytetu Poznańskiego w Instytucie Chemii Ogólnej, a w okresach wakacyjnych odbywał praktykę w fabrykach, dla zapoznania się z praktycznymi zagadnieniami chemii stosowanej.

Rok 1923 zastał go odbywającego służbę wojskową w Batalionie Chemicznym w Warszawie, a lata 1924-1926 ponownie, jak niegdyś w roku 1916, w warszawskich gimnazjach prywatnych i w I-szym Gimnazjum Miejskim.

W latach 1925-1927 znalazł się w Centralnym Laboratorium Cukrowniczym, a potem w Państwowej Szkole Budowy Maszyn w Grudziądzu, gdzie nauczał technologii przemysłu rolniczego, cukrownictwa, technicznego przerobu ziemniaków, zboża i owoców.

W 1927 Min. WRiOP nadało mu prawo nauczania chemii i przyrodznawstwa w średnich zakładach ogólnokształcących i w seminariach nauczycielskich. Był to czas (1927-1929), gdy wykładał chemię techniczną na kursach technicznych i drogowych w Grudziądzu i Toruniu i był tych kursów dyrektorem. Organizował też i prowadził doksztalające i uzupełniające kursy dla żołnierzy i podoficerów w Grudziądzu, będąc jednocześnie wykładowcą chemii ogólnej i biologii w Pomorskiej Szkole Oficerskiej dla Podoficerów w Bydgoszczy.

Korzystał z każdej okazji, by wygłaszać popularne odczyty o stosowaniu wiedzy i jej zdobyczy w codziennym życiu człowieka. To samo robił w prasie codziennej, a w naukowych pismach drukował artykuły z dziedziny nauk przyrodniczych i chemii. Współpracował też z wieloma polskimi i obcymi czasopismami naukowymi oraz z wydawnictwami tej miary co „Słownik Entomologiczny” pod redakcją prof. Embrika Stranda w Rydze, Encyklopedia „Ultima Thule” pod redakcją Dra St. Fr. Michalskiego w Warszawie, Wielka Encyklopedia „Calpe-Espasa” w Hiszpanii i inne.

W tym natłoku studiów, zajęć i prac, zbliżył się dla 34-letniego wówczas naukowca przełomowy rok 1929. Wyjechał wówczas zagranicę dla uzupełnienia swego „wykształcenia ogólnego”, jak powiada, i dla nauczania się języków. Jego podróże ówczesne objęły Francję, Włochy i Hiszpanię.

Języków nauczył się, dokompletował do już posiadanych. Dziś, jak sam stwierdza, „ma jakie takie pojęcie o łacinie i greckim”, a z języków nowoczesnych włada polskim, rosyjskim, niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim i portugalskim, a w słabszym stopniu angielskim.

— Jednego czego się nie nauczyłem dobrze — dodaje ze złośliwym uśmiechem — to nowej polskiej pisowni. Za trudna.

Publikacje swoje ogłasza Bieżanko w językach polskim, nie-

mieckim, francuskim, hiszpańskim i portugalskim.

Wiedząc jak głęboko profesor jest do dziś przywiązany do Polski, zapytałem go o powody jej opuszczenia.

— Od młodych moich lat — odpowiedział — fascynowały mnie przede wszystkim kraje o kulturze łaćwińskiej i kraje południowo amerykańskie. Marzyłem zawsze o pobycie w lasach tropikalnych aby podziwiać ich bogatą i kolorową florę i faunę. Znałem tylko Polaków, Rosjan, Niemców i Żydów, a chciałem poznać inne narody, ich język, obyczaje, kulturę.

Poznanie więc było misją i wizją życia Bieżanki. Jeśli został pedagogiem, to jedynie z przypadku i konieczności, bo bez pieniędzy życia się nie przejdzie. Tego częściowego rozminięcia się samego z sobą jest świadom do dziś, ale już teraz nie wydaje mu się to krzywdą. Szkoda mu czego innego:

— Żal mi — powiada — że pozostawiam zaledwie kilku uczniów, to znaczy tych moich wychowanków, którzy będą kontynuować rozpoczęte przeze mnie prace badawczonaukowe fizjograficzne nad owadami.

A potem dodaje:

— Widzi pan, dla młodzieży tutejszej najważniejszą rzeczą jest zdać jakkolwiek egzamin i uzyskać stopień akademicki oraz zdobyć najmniej dwa dobrze płatne stanowiska federalne, stanowe, lub municypalne. Znać natomiast przedmiot gruntownie, lub mieć do niego zamiłowanie, nie jest rzeczą potrzebną. Myśleć także nie trzeba, trzeba natomiast tylko żyć łatwo, dobrze i wygodnie...

Jest niewątpliwie dużo słuszności w tych smutkach profesora Bieżanko.

Bo co tu mówić wiele: wysoce i nieprzeciętnie wartościowy naukowiec Bieżanko, dopiero od stosunkowo niedawna posiada własny samochód. Dokupowanie do biblioteki potrzebnych książek, publikacje do których trzeba dokładać, uzupełnienia zbiorów których otrzymanie kwitują potem poszczególne uniwersytety świata tak skromną gażę profesorską, zwłaszcza przy nieustannym w Brazylii spadku wartości pieniądza.

Kiedy w 1929 roku przyszedł profesor wyrwał się w świat, jeszcze na krótko przyjął w roku 1930 w Paryżu kierownictwo i wykłady na kursach dokształcających dla nauczycieli polskich we Francji, ale myślami już był poza granicami Starego Kontynentu. Wkrótce też wędrował Argentyną, Paragwajem, Boliwią, Urugwajem do Brazylii gdzie osiadł, nie wiedząc że na całą resztę życia.

Natychmiast też powrócił do swej intensywnej, niekończącej się pracy i studiów. W pierwszych latach zbierał głównie owady i rośliny w południowym Paragwaju, w Argentynie i Stanie Rio Grande do Sul w Brazylii. Ale jednocześnie umysł jego, nastawiony zawsze na praktyczne podejście do życia, pracował w innym kierunku. Bieżanko zajął się mianowicie soją.

Roślina ta nie dawała profesorowi spokoju. W południowej Brazylii znana już była od pewnego czasu, ale uprawiana w nie-

wielkich tylko ilościach, podczas gdy wedle kalkulacji profesora mogła stać się w niedługim czasie bogactwem tego kraju. Rozpoczął tedy walkę z wiatrakami, pisał, mówił, przekonywał i udawadniał, przeprowadzał próbne hodowle. Jego wiara w powodzenie imprezy była nie do pokonania, chociaż konserwatywni jak zawsze koloniści, polscy i nie polscy, niewiele sobie robili z jego działalności i nawoływań.

Dziś, po 30 zaledwie latach, soja rozpełzła się dzięki Bieżance po południowych Stanach Brazylii tak dalece, że rzeczywiście staje się powoli największym bogactwem rolniczym tamtejszych kolonistów, zwłaszcza polskich, niemieckich i włoskich i jest na najlepszej drodze do tego by zostać głównym artykułem rolnym tam produkowanym. Nic dziwnego że rząd brazylijski nadał profesorowi wysokie odznaczenie „Ordem do Cruzeiro do Sul”, za wprowadzenie jej i różnych roślin lekarskich, oraz za prace nad owadami.

Wprowadzenie soi i roślin leczniczych, publikacje w prasie, badania przyrodnicze i ogólna ruchliwość, nie mogły nie zwrócić uwagi zainteresowanych czynników na Bieżankę. Powołano go w 1933 roku do pracy w Stacji Doświadczalnej Trzciny Cukrowej i w tymże roku został wykładowcą chemii teoretycznej na Uniwersytecie Parańskim w Kurytybie, zaś w następnym docentem tegoż uniwersytetu, wykładającym „Wzory i równania w chemii”. Rok potem Bieżanko nostryfikował w Rio de Janeiro swój tytuł inżyniera agronoma.

Wśród Brazylijskiej Polonii pozostał we wdzięcznej pamięci najbardziej właśnie w tamtych latach. Nie było tematu rolniczego, zagadnienia z dziedziny higieny, szkodników polnych, czy wiedzy praktycznej — nie było sprawy interesującej kolonistę, której by nie wytłumaczył w tamtejszej prasie polskiej, a więc dostępnej mu i zrozumiałej. Jeździł po koloniach, a propagując soję, pomagał jednocześnie, doradzał, uczył rolników przeniesionych z polskich warunków klimatycznych do obcych, gdzie ich nie poinstruowano i niczego nie nauczono, aż sami musieli dojść do wszystkiego, po ciężkich i kosztownych doświadczeniach. A gdzie przysiadł na dłużej, brał się do uczenia po szkołkach elementarnych, „własnym przemysłem” zakładanych owym czasem przez ruchliwego, a pozbawionego jeszcze wtedy szkoły brazylijskiej kolonistę.

W roku 1934 Bieżanko przeniósł się do innej części Stanu i uczył w sąsiednich miastach Rio Grande i Pelotas w gimnazjach.

„W żadnym państwie — pisze mi — nie jest łatwo uzyskać stanowisko profesora uniwersyteckiego. Ale zdarzyło się, że w roku 1936 zmarł mój przyjaciel Dr Ernesto Ronna, konsul włoski i profesor nauk biologicznych w Wyższej Szkole Rolniczej w Pelotas. Zostałem niezwłocznie po jego śmierci zaproszony przez dyrekcję szkoły do objęcia katedry. Gdy szkoła została w r. 1940 upaństwowiona (gdź przetem była miejska), zostałem profesorem zwyczajnym „za zasługi”, z prawemżywocia w tej szkole, nadanym dekretem Prezydenta Republiki”.

Nie przestając być wykładowcą w gimnazjach, został więc Bieżanko profesorem uniwersytetu. Rok 1936 obfity był dla niego w nominacje, został bowiem wówczas trzykrotnie powołany na wykładowcę: chemii i botaniki na Wydziale Farmaceutycznym w Pelotas, botaniki w Wyższej Szkole Rolniczej „Elizeu Maciel”, obecnie przemianowanej na Uniwersytet Rolniczy oraz entomologii w tejże szkole. Na tym ostatnim stanowisku jako profesor zwyczajny, do chwili obecnej.

W międzyczasie Ministerstwo Edukacji w Brazylii nadało mu w roku 1948 prawo wykładania chemii i nauk przyrodniczych we wszystkich wyższych uczelniach na terenie państwa.

Zdawałoby się — życie Czesława Bieżanko upłynęło przy katedrze nauczycielskiej.

— Wykładałem już długie lata — powiada. — W Polsce, jeszcze jako student trzeciego roku uniwersytetu rozpocząłem pracę pedagogiczną. Byłem nauczycielem gimnazjalnym dwanaście lat, jednocześnie cztery lata asystentem uniwersyteckim. W Brazylii uczyłem trzydzieści lat z górą”.

W sumie jest dziś tych lat pracy nauczycielskiej 45. Czterdziestolecie zanotował Polski Związek Entomologiczny we Wrocławiu, w swym „Polskim Piśmie Entomologicznym” (Seria B, Zeszyt 3-4 (27-28) w 1962, Nr 27), artykułem „40-lecie pracy naukowej Profesora Czesława Bieżanko”. Uprzednio, w roku 1959, Dr Kąjetan Boratyński, wykładowca Uniwersytetu Londyńskiego, pisze o nim w X Roczniku Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, jako o jego czynnym członku.

Gdyby profesor Bieżanko miał na swym rachunku wyłącznie pracę pedagogiczną, już byłby nielada pozycją w tym dziale. Ale nauczycielstwo to zaledwie fragment jego pracowitego życia. Główny nurt płynie drogą inną. Ta droga to badanie, a po odkryciu opisanie.

I to jest ważna część pracy profesora. Tylko specjalista wyznać się może w ogromie wysiłku. Inż. Edmund Gardoliński pisze w swej pracy, że „wszystkie rodziny z rzędu Lepidoptera (łuskoskrzydłe) ze Stanów Rio Grande do Sul, Santa Catarina i Parana są już dawno opracowane i gotowe do druku, niestety tylko mała, znikoma ich część została dotychczas opublikowana”. Zaś wydawcy dodają od siebie:

„Profesor Bieżanko wzbogacił dorobkiem swej pracy nie tylko swoją ojczyznę gdzie się urodził — Polskę, lecz i Brazylię, której jest obywatelem. Chodzi tu o postać niezwykłą, która mając za sobą ponad dwieście wydanych prac naukowych, przyczyniła się dużym wkładem do poznania świata entomologicznego, botanicznego i chemicznego”.

Zbiory entomologiczne jakie małżonkowie Bieżanko zgromadzili w ciągu swojego życia, są fantastycznie wielkie. Wystarczy powiedzieć, że profesor wysyłał je, uzupełniał i kompletował nimi nie tylko uniwersytety brazylijskie i w ogóle południowo amerykańskie, ale, — nie licząc sporadycznych „zbiorków” — wzbogacił znacznie uniwersytety: w Stanach Zjednoczonych 4, w

Niemczech 3, we Francji 2, w Anglii, Austrii, Łotwie i Włoszech po jednym, wreszcie w Polsce zarówno przed ostatnią wojną, jak i później.

Nic dziwnego że w tej sytuacji Bieżanko jest i musi być członkiem całego szeregu naukowych towarzystw. Na przestrzeni od 1921 do 1936 roku profesor został członkiem 4 towarzystw naukowych w Polsce i piątego polskiego na emigracji w Londynie (Polskie Towarzystwo Naukowe), a 2 we Francji, 2 w Belgii, 1 w Anglii, 1 w Niemczech, 1 w Austrii, 2 w Hiszpanii, 3 w Brazylii, 1 w Argentynie, 1 w Urugwaju i 1 w USA.

Imponujący jest również wykaz tytułów i odznaczeń Czesława Mariana Bieżanko. Też na dziesiątki. Ale najmilszy wykazik, lista jakoś najsilniej przemawiająca do serca choć nie wielka, to poniższa „tabliczka” wmurowana do dorobku życiowego profesora:

RODZAJ I GATUNKI

zadedykowane Czesławowi Marianowi Bieżance
przez uczonych:

- Rodzaj: Bieżankoia (Lepidoptera Zygaenidae) — Strand, 1936.
Gatunki: Apanteles bieżankoi (Hymenoptera: Braconidae) — Blanchard, 1960,
Willistonina bieżankoi (Diptera: Exoristidae) — Blanchard, 1960,
Archytas bieżankoi (Diptera: Tachinidae) — Guimaraes, 1961,
Lastauropsis bieżankoi (Diptera: Asilidae) — Carrera et Papavero, 1962,
Theridion bieżankoi (Araneae: Theridiidae) — Levi, 1963.

Szedłem kiedyś z profesorem ulicą Pelotas. Skrzyła się, skąpana w słońcu które docierało wszędzie, bo było bardzo wysoko, zwyczajnie jak w lecie subtropikalnym. Bieżanko opowiadał o prowadzonym w Pelotas przez Instytut Agronomiczny „Ogrodzie Botanicznym”, który w dniu poprzednim właśnie zwiedziliśmy, o prawie trzech setkach owadów, rezydentach ogrodu. Ale opowiadanie, mimo pasjonującego tematu, szło kulawo. Profesor nieustannie musiał sięgać do kapelusza odpowiadając na ukłony ludzi którzy się do niego uśmiechali, zagadywali go jak kogoś bliskiego i bardzo lubianego. To się rzucało w oczy. Bieżanko był w Pelotas niewątpliwie człowiekiem „swoim”, zrosniętym z miastem. W pewnej chwili doszły mnie wypowiedziane przez kogoś idącego za nami słowa:

— ...O nosso professor...

— Kim są ci wszyscy ludzie? — zapytałem — To znajomi?

— Kim są? No... różnie. Mieszkańcy miasta. Moi przyjaciele. Tamten starszek, na przykład, to emerytowany pracownik Prefektury, inżynier. Tych dwóch kłaniających się po drugiej stronie

ulicy — nie znam. A ten roześmiany, to kierowca taksówki ze swoim przyjacielem murarzem, bardzo przyzwoici ludzie obydają. Znam ich wszystkich osobiście, bo rozumie pan... tyle lat...

— Rozumiem dobrze — powiedziałem, i pomyślałem jednocześnie, że wielki czar osobisty tego człowieka, urok jego sylwetki i prostota, nie są wyłącznie moją subiektywną obserwacją.

Jan WÓJCIK

Jeszcze o "Indukcji w izolacji"

„... Takie widzi świata koło...”
„Oda do młodości”

Ustalmy od razu, że sądy krytyczno-literackie p. Brodzińskiego nie interesują mnie „jako takie”, choć jeśli socjolog, to po co się do nich zabiera, a jeśli nagle „krytyk”, to dlaczego ich nie uzasadnia. Chodzi mi o styl autora i pewne jego „socjologiczne” twierdzenia.

Ze wszystkich możliwych określeń języka polskiego, wybiera autor określenia „nierynkowy, niechodliwy” oraz „martwy”. Rzeczywiście, w ustach autora jest on trochę drewniany, co jednak nie uzasadnia przenoszenia własnych doświadczeń na cały język, nawet w kontekście emigracyjnym. Zannotujmy, powtarzający się zresztą, motyw rynku, dosyć znamienity dla płaszczyzny myślowej autora. Zannotujmy subtelność twierdzenia: „Idea, powszechnym celem współczesnego pokolenia, jest udział w 'wyścigu szczurów’ i zajęcie w nim możliwie najlepszego miejsca”. Oraz podobnie niską precyzyjność osądu: „na ogół wśród emigracji starzy potencjalnie wynaradawiają się szybciej niż dzieci” wraz z dalszym twierdzeniem, że „prawdziwe wynarodowienie się jest oczywiście niemożliwe ze względów technicznych (sic)...”

Po przeczytaniu takich zdań nie dziwi już specjalnie, że niektórzy członkowie tzw. grupy „Kontynentów” określani są w artykule jako „byłe dzieci”, a inni jako „stare byki” które... „przyjechały do Anglii w stanie dość kompletnego uformowania”. Czytamy też dalej, że „aż czterech (sc. członków grupy) znalazło schronienie za murami uniwersytetu, a jeden zawędrował jeszcze dalej, mianowicie do seminarium duchownego”. Te dwa słowa „jeszcze dalej” są nieoszacowane, nie mówiąc już o znajdowaniu „schronienia za murami uniwersytetu”. Co ciekawsze, podobno inni członkowie grupy zajmują „skromne pozycje w różnych dziedzinach życia gospodarczego”. Nieco zabawne jest również następne zdanie: „Na wypadek gdyby odnośne jednostki czy też wspomniani poprzednio rodzice...”!

W międzyczasie nasz poetycki socjolog, pocieszyszcy odnośne jednostki, że wybierając pisanie w języku polskim, nie na tym właściwie nie straciły (przytoczona w tym miejscu statystyka jest dosyć zabójcza), zagłębia się na chwilę w historię grupy, ze spodziewanym już rezultatem stylistycznym: „Ale dworzanie emigracyjni... zamiast przyklasnąć... wykopali go i jego kolegów

* B. Brodziński, „O indukcji w izolacji”, *Kultura*, kwiecień, 1966.

na pysk z „Merkuriusza” i w ten sposób powstały „Kontynenty”. Pięknie. I jak już autor zapomina o socjologii, to całkiem z niego wyłazi morowy chłopys, no nie?

Tak to subtelnie i z rozoznaniem pisze się w najpoważniejszym czasopiśmie emigracyjnym (i literackim...) o „ewenementie społecznym, godnym uwagi socjologa”.

Spójrzmy jednak na kilka wybranych twierdzeń autora, które podaje on jako fakty.

Nie wszyscy członkowie grupy byli wyobcowani ze środowiska angielskiego, i nie w każdym okresie swej działalności, mimo że autorowi chciało się tak mniemać. Nie ma to też nic wspólnego z tym, że „nie próbowali zdobywać rynku angielskiego”. Niektórzy zresztą próbowali, niekoniecznie rozumiejąc to w kategoriach „zdobywania rynku”. Niektórzy poza tym rynek ten „zdobyli” — jako tłumacze, lub w innych „dziedzinach życia gospodarczego” (he, he... banki, towarzystwa asekuracyjne!).

Obarczanie rodziców odpowiedzialnością za grzech ich dzieci polegający na pisaniu językiem „nierynkowym” i „martwym”, to naprawdę nie *fair*. Mój ojciec na przykład mógłby się za to śmiertelnie obrazić.

Ciekawe gdzie p. Brodziński znajduje „ciągłe podkreślanie fenomenalności... garstki omawianych tu byłych dzieci”? Pamięć autora jest widocznie krótka. A przecież sam był częściowo związany z pismem (bo w nim od czasu do czasu drukował) wtedy gdy rzucano na nie tzw. gromy. Poza tym, każdy z nas jest fenomenem, p. Brodziński też, zależy tylko jakiego rodzaju.

Podobno także owa garstka dzieci dzięki „ciągłemu powtarzaniu” nabrała „przekonania o swojej polskości”. Żarty na bok, panie Brodziński. Niech już pan zostanie przy swoich rynkach.

Wytykanie członkowi grupy rzekomego przekonania o ich „talentach językowych” i „literackiej genialności” jest już oczywiście chwytym bardziej znanym — trudno powiedzieć o autorze, żeby był oryginalny i nietypowy. Do podobnej kategorii należy zdanie: „Członkowie grupy 'Kontynentów’ mienili się poetami i 'czystymi literatami’, ale grupa powstała na fundamencie jak najbardziej politycznym”. Ostatnia część zdania jest zresztą co najmniej równie „prawdziwa” jak pierwsza.

W ogóle stronę polityczną całego „ewenementu” ujmuje p. Brodziński w sposób zastanawiający. Nie jest prawdą, jakoby „kulisy obu wydanych antologii były polityczne”, nie jest prawdą, gdyż trzeba tu dokładnie określić, co się rozumie przez „kulisy”. Na przykład kontrakt na wydanie antologii londyńskiej podpisaliśmy kilka lat temu, i podpisując go nie mieliśmy żadnych celów czy powodów politycznych. To że w międzyczasie emigracyjny wydawca antologii sięgnął po laur duchowego wodza emigracji (i td.) jest sprawą innego rodzaju i każdy krytyk mniej obciążony emigracyjnymi, a co gorsza środowiskowymi kompleksami potrafiłby te dwie rzeczy rozróżnić.

Osobiście bardzo mnie zafrapowały informacje o wykłócaniu się z cenzurą — miło to wiedzieć, że jakaś tam linijka wiersza spowodowała aż dwuroczne przetargi (w których zresztą udziału nie brałem) — ale kto się wykłócał, i gdzie to skreślono zdanie Przybosia „Literatura polska jest jedna”? (Pewnie że jest!) Występuje to zdanie w przedmowie do „Ryb na piasku”, a do „Opisania z pamięci” Przyboś przedmowy nie pisał. Nie skreślono go też w tomie artykułów krytycznych Przybosia pt. „Sens poetycki”, wydanym w Polsce w 1963 roku (str. 167, przedruk słowa wstępnego do londyńskiej antologii). Cała więc sprawa nabiera rzeczywistości „tajemniczego” posmaku.

Rozumiem, że p. Brodziński stara się jakoś „ustawić” fakt ukazania się antologii grupy poetów emigracyjnych w kraju. Wspomina przy tym o nadziejach czynników krajowych „na spore dywidendy polityczne”. A przecież,

jak sam zauważa, te „dywidendy” nie muszą być jednostronne, a antologia jest antologią wierszy, a nie artykułów politycznych.

Jest ciekawe, że podczas gdy p. Brodziński stara się położyć maksimum nacisku na aspekt polityczny omawianej grupy i jej antologii, Andrzej Lam, autor przedmowy do krajowego wydania antologii, chociaż eksponuje wyraźnie historię „bojów” grupy z emigracją, równocześnie nie pomija innych aspektów socjologicznych zagadnienia, prowadząc czytelnika do samych wierszy. Wymieniając naszą dyskusję o „Cenie wolności”, płaci równocześnie inną cenę, choć płaci ją stylem, który nie powoduje niesmaku.

Warto też zauważyć, że jak na razie czynniki krajowe jakiegoś „kapitału politycznego” na wydaniu tej antologii nie ukuły, a z drugiej strony toczone się w kraju pertraktacje w sprawie wydania antologii, jak i jej ukazanie się, nie wywołały jakichś nagłych zwrotów w postawach politycznych jej autorów. Nie wszystko da się określić w kategoriach „zdobywania rynku”. Antologia ukazała się w Polsce w nakładzie 2500 egzemplarzy i podobno rozkupiono ją całkiem szybko. Przepuszczalnie czytana jest nie dla przedmowy, ale dla zawartych w niej wierszy. To jest także pewien aspekt, pewien nieistotny aspekt zagadnienia.

Podsumujmy: Tendencja artykułu p. Brodzińskiego jest wyraźna: Ograniczyć całe zjawisko do „ewenementu społecznego”. Podkreślić jak najmocniej „polityczne kulisy” ukazania się antologii. I w konsekwencji sprować literacką wartość obu antologii oraz dorobku członków byłej grupy do minimum.

Dla tak godnych celów, czy warto było powoływać się aż na „socjologię”?

Bogdan CZAYKOWSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Wspomnienia

Jan Olechowski - poeta uczuć prostych

ZWIAHEL 1917 — NOWY JORK 1. IV. 1956

Na parę lat przed wojną student pierwszego roku polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego Jan Olechowski wydrukował w „Prosto z Mostu” artykuł o lekturze pięknej tak zwanych szerokich mas. Była to analiza krainy fantazji i rodzaju wrażliwości tych czytelników, o których wtedy nie ubiegały się wielkie domy wydawnicze. Lokatorzy mansard, biednych mieszkań na przedmieściach, nowoczesnych tanich bloków mieszkaniowych wielkich miast, właściciele małych domków z ogródkami na prowincji byli już przedmiotem wielkiej literatury, ale niemal wcale jej konsumentami. Olechowski odkrył, że ci „szarzy ludzie”, rzemieślnik, czeladnik, ekspedient, kasjer, biuralista, robotnik ich dziewczyny — gdy odejdą od swych codziennych zajęć mają zainteresowania może prostsze, ale zasadniczo te same co inteligencja.

Olechowski spostrzegł to nie tylko pod wpływem modnego wtedy w warszawskich kołach literackich Chestertona, ale także na podstawie własnych doświadczeń: dzieciństwo i lata szkolne spędził w jakimś małym miasteczku, w Górach Świętokrzyskich.

W Warszawie Olechowski należał do najbardziej aktywnych działaczy ONR-Falangi. Na zebraniach studenckich i kół młodzieży pracującej Olechowski tłumaczył, że literatura polska już wykonała wskazywaną przez organiczników i Żeromskiego misję budzenia duszy w szarym człowieku i popularyzowania oświaty w masach; że młode pokolenie drobnomieszkańskie i chłopskie wychowane w niepodległej Polsce czuje się równouprawnione z warstwami monopolizującymi życie kulturalne; że nowym potencjalnym czytelnikom trzeba dać prawdziwą literaturę — poezję i prozę, łatwe ale o wartości artystycznej. Poglądy Olechowskiego znalazły uznanie w kierownictwie ONR i w maju 1939 roku Olechowski razem z O. B. Kopczyńskim (który poległ później

jako redaktor podziemnego pisma literackiego „Konfederacja Narodu”) otrzymał od Piaseckiego pieniądze na założenie dwutygodnika literackiego dla mas „W Natarciu”. Pismo zdobyło duże powodzenie.

Latem 1939 roku Olechowski zgłosił się do „Związku Szlachty Zagrodowej” przy DOK X w Przemyślu. Ta akcja, której patronował wice-minister obrony generał Głuchowski, ksiądz pułkownik Miodoński, generał Scaevola-Wieczorkiewicz, miała różne ciemne strony, jeżeli chodziło o akcję przeciw Ukraińcom, ale miała także i pozytywne: zetknęła młodą miejską inteligencję Polski centralnej z masą zukrainizowanych chłopów, potomków dawnej szlachty zagrodowej, przesiedlonej przez królów polskich z Mazowsza do wschodnich województw. Olechowski ze swymi teoriami o literaturze dla mas i niezwykłymi zdolnościami recytatorskimi znalazł wymarzony teren działania.

Wybuchła wojna. Już w październiku 1939 roku Olechowski trafił do więzienia sowieckiego, a potem do łagrów, gdzie trzymano go aż do amnestii. W pierwszą zimę niewoli usiłował zbiec do Finlandii. Wyczerpanego i zagrzebanego w leśnej jamie pod śniegiem, o parę kilometrów od granicy, wywęszyły psy strażników.

Poezja i talent recytatorski ułatwiły Olechowskiemu przetrwanie łagrów. Pisał o tym Bielatowicz we wspomnieniu drukowanym w „Życiu” po śmierci poety:

„Nie trzeba było zbytnio nalegać, aby Olechowski zaczął wielogodzinne recytacje. Błądł wówczas na twarzy, mrużył oczy, jakby się oddalał w sobie widomy kraj, a słuchacze — i to zarówno wytrawni smakosze poezji, jako też prostaczkowie — dawali się unieść natchnieniu i sycili się rozkoszą wierszy. Olechowski opowiadał, że strażnicy więzień sowieckich wzywali go w wolnych chwilach niemal codziennie na recytatorskie biesiady i lali *ły* nad poezją Zawistowskiej, Lechonia, Gałczyńskiego, a także Błocha, Jesienina i Majakowskiego. Na śledztwie NKWD ubolewano, że „List znad rzeki Limpopo” nie został dotąd przełożony na język rosyjski. „Toteż — stwierdził z pogodą Olechowski — w więzieniach powodziło mi się świetnie, a wyroczek opiewał tylko na trzy lata łagru, bo mniej już nie mogła dać trójka NKWD”. Kiedy go powtórnie pojmano po ucieczce, wytoczono przeciw niemu od razu najcięższe pytanie:

— Bieżał?

— Da, bieżał — brzmiała odpowiedź aresztowanego.

— K'Sikorskamu?

— K'Sikorskamu!

Nie było więc o co więcej pytać i śledzić. Można było spokojnie przystąpić do słuchania wierszy”.

Swę przeżycia w Rosji Olechowski opisał w dobrej powieści autobiograficznej wydanej w r. 1949 pod pseudonimem St. Korczeń przez „Tygodnik Ilustrowany” w Londynie.

W II Korpusie, gdzie Olechowski znalazł się po wyzwoleniu z Rosji, cieszył się miem ulubionego poety. Wiersze jego z tego okresu nie były zbyt kunsztowne, ale były zawsze jasne i piękne. Drukował je głównie w „Orle Białym” i „Na Szlaku Kresowej”,

a potem zebrał w tomiku „Prostą jak sosna wyrosnąć”. (Rzym 1944, nakładem Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu).

O tym okresie twórczości Olechowskiego napisał Bielatowicz w cytowanym już wspomnieniu:

„Poezja Olechowskiego jest refleksyjna i elegijna, horacjańska. Nie udawały mu się nigdy wiersze afiszowe, sztandarowe, patetyczne. Takie rzeczy pisywał raczej prozą. Najpiękniej pisał liryki religijne. Jego „Modlitwa” do Królowej Korony Polskiej „z twarzą pociętą szablami” jest bodaj najpiękniejszym wierszem religijnym w języku polskim — obok Józefa Wittlina „Stabat Mater” — napisanym po roku 1939.

Poezja Olechowskiego jest też najprawdziwiej żołnierska, to jest wyrażająca żołnierskie treści duszy. Nie głosi bowiem zemsty na sposób publicystów połowych drugiego rzutu, ani nie jęczy nad dolą wojacką, ani nie odsłania teatralnie ran i cierpień. Jest natomiast po żołniersku smutna, i daje doskonałe świadectwo przeżyciom i uczuciom żołnierzy z dalekich frontów. Oprócz wierszy religijnych, pozostaną po nim zapewne i te żołnierskie liryki”.

A skala uczuciowa poezji Olechowskiego?

W jego wierszach znajdujemy proste, nieprzeckliwione uczucia, które odkryć może w sobie każdy, kto bezinteresownie i z entuzjazmem spojrzy na codzienny świat miasta czy wsi. Pociąga nas ta niezmanierowana szczerść i świeżość poety, nieskomplikowane, barwne wrażenia kogoś, kto wychodzi na łąkę, kocha ładną dziewczynę, zbiera szmery nocy lub wsłuchuje się w „zarliwy różaniec świerszczy grających na polu”. Uderza delikatność poszczególnych obrazów i przepojenie ich uczuciem. Każdy obraz nie tylko jest widziany plastycznie, nie tylko wywołuje nastrój, lecz również ujawnia moment własnego lub cudzego serca:

„...i trudno uwierzyć, że tutaj tak cicho. Lato. Wieczór.

Księżyc zgłębia w zadumie tajemnicę ciszy...

Zaszemrało wysoko... To modlą się sosny.

Boże, skupiony na wargach kobiet klęczących przed krzyżem...”

Obrazy, które mogłyby się wydać banalne i znane, nabierają świeżości i nowości. Są zrozumiałe dla prostego czytelnika, a jednocześnie niepowtarzalne: nie przez pomysł, lecz przez prawdę przeżycia. I coraz bardziej ożywiają się przelotnym pojawieniem się czujących postaci. Nawet krajobraz zostaje przepojony uczuciem i akcją:

„... księżyc — mnich w srebrnym habicie,

Odprawiając misterium srebrzy pole bitwy,

A dziewczyna zdyszana biegnąca, o świcie,

Zatrzyma strach na wargach słowami modlitwy”.

(Na polu bitwy pod Monte Cassino)

Charakter wrażliwości Olechowskiego najłatwiej uchwycimy porównując go z innym poetą II Korpusu, Bolesławem Kобрzyńskim. W wierszach Kобрzyńskiego nie dostrzega się innej osoby niż on sam; obrazy starannie wykończone, wzruszają autora przez skojarzenia czy przeciwstawienia: przez refleksję. Olechowski przeciwnie — wszędzie dostrzega plastyczne, impresyjnie ujęte postacie, które wyrażając jakieś delikatne uczucie przesuwają się przez jego krajobraz. Przyroda czuje i działa: sosny się modlą, „wieczór wiatrem do snu rzekę pieści”, a wszystko owiane romantyczną fantazją:

*„na róż polnych płatkach listy
poślę do ukochanej w kopertach białych obłoków...”*

Uczucia Olechowskiego są zawsze spontaniczne konkretne i oparte o bliskie mu osoby („List do siostry”, „Żonie mojej”, „Miłość wojenna”, wiersze do matki).



Podczas gdy poeta chciałby dalej kontemplować swój idylliczny świat, uderza weń twarde, wrogie życie. I powstaje inna nuta jego poezji, wyrażająca brutalną walkę o utrzymanie wbrew wrogim okolicznościom zewnętrznym własnej niezależności duchowej:

*„Nasze drogi dalekie, nasze loty górne
trzeba zęby zacisnąć i o nic nie pytać”.*

Kiedy ten delikatny, marzycielski, a jednocześnie pełen entuzjazmu i dynamiki, poeta spotyka się z rzeczywistością więzień i wojny czy emigracyjnej walki o byt, kiedy dostrzega siłę i potęgę niszczące uczucia, które kocha, a nie może tej wrogiej mocy przewyciężyć — umie tylko się bronić. I wtedy, jak żołnierz, który marzył na placówce, lecz natychmiast podejmuje decyzję. W tych wierszach Olechowski daje nie poetycką intuicję życia, ale konkretne wytyczne, do których będzie powracał w trudnych sytuacjach życiowych, aby zachować równowagę ducha. I tu odczuwamy nieco retoryki.



W pierwszym tomie poezji Olechowskiego „Prostą jak sosna wyrosnąć” jest jeszcze trzecia nuta zaczerpnięta z Majakowskiego i futurystów: fantastyczne wyolbrzymienie miasta i przeżyć tłumy, ujęte ekspresyjnie i koturnowo, jakby na afiszu propagandowym czy w przemówieniu wiecowym.



Drugi i ostatni tom wierszy Olechowskiego „Chwila nocna” (Londyn 1950 r. Oficyna Poetów i Malarzy) przyniósł koncentrację i pogłębienie dominujących motywów pierwszego tomu. Przypominam wiersz „Przyszłość”.

*„Może zmienią się profile miast.
Więcej ruin, jak brud na twarzy.
Może ciężko ukłęknie ten świat.
Tak jak ludzie klękają starzy.*

*„Może przyjdzie wszystko zapomnieć,
Nawet bajki z dziecińczych lat —
Byle tylko utrzymać w dłoni
Gałąź życia, którą wstrząsa płacz.*

*„Ale miłość z lirycznych nut
W ustach naszych, w oczach — zostanie.
Tylko mi się już nie smuć, nie smuć
Cyraneczko miła, kochanie.*

*„Popatrz, jak nasz synek maleńki
Pośród traw się trzepoce jak ptak —
To jest uścisk gorący i piękny,
To ust naszych najczulszy smak”.*

Olechowski poeta uczuć prostych, uwikłany w zawiłość społecznych i dziejowych spraw współczesnego świata, czuje się osamotniony i osaczony. Ucieka od niego na przemian to do przyrody, to do żony.

Nieustanna obecność żony w poezji Olechowskiego wplata w jego wiersze motywy kasprowiczowskiej „Księgi Ubogich”. Motywy — ale nie nastroje. Kasprowiczowi żona była najbliższą osobą, której przynosił w dani swą wiedzę o świecie i swe zdobycze w świecie. Natomiast w poezji Olechowskiego żona jest *jedyną ucieczką* od świata, jedynym ocaleniem przed samotnością, jedynym przeżyciem zrozumiałym w świecie. Oto wyznanie samego poety:

*„przez życie tutaj na ziemi,
wierz, przejdę, nie zginę,
Ani wiatr nie przysypie mnie pyłem,
Tylko Ty, najmilsza, jedyna
Nie opuszczaj ani przez chwilę”.*

(„Chwila nocna”)

Ucieczka Olechowskiego od rzeczywistości nie jest dekadentkim opuszczeniem świata z powodu przesycenia się nim. Gałączyński, z którym kiedyś Herling-Grudziński zestawiał Olechowskiego, wykipił świat mieszczańskiej Warszawy, bo znudził się

nim i rozczarował. Olechowski natomiast boi się zetknięcia ze światem, nie zna go i sądzi, że jest mu wrogi. Skarzy się więc raz po raz:

*„Nie rozgarnę rękoma mroku,
Ani gwiazdy w dłonie nie schwyczę,
Srebrny Orion z mieczem u boku
Strzeże bram, nieba tajemnicy” —*

(„Chwila nocna”)

albo:

*„Po wielkim przechodzę świecie,
Gdzie wszystko przed nami skryte”*

(„Wiedza”)

wreszcie:

*„Sensu tych dni na próżno szukasz
Pośród zdarzeń...”*

Pozbawiony więzów z ludźmi, do których czynów nie znalazł klucza, zagubiony i osamotniony, zwraca się do przyrody, której:

*„...uroki przedziwne,
Barwy, zapachy i cienie
To jest jedynie prawdziwe
Nasze roślinne istnienie”,*

(„Magia wiosenna”)

do przyrody — to jest:

*„W świat jedyne, własny, prawdziwy,
W którym bliski jesteś drzewom, liściom
I jak drzewa, kwiaty, szczęśliwy”.*

(„Siódma rzeka”)

Przyroda Olechowskiego nie jest romantyczną groźną naturą, ani terenem czekającym na ekspansję chłopskiego pług, kilofa pioniera-kolonizatora lub eksperymentów nowoczesnej techniki traktorów, zapór wodnych czy genetycznych przeobrażeń. Przyroda Olechowskiego to ostoją niezawodną, coś trwałego, niezmiennego jak uczucia żony, matki czy siostry, droga do pojęcia świata i sensu własnego istnienia.

W wierszach Olechowskiego uderza brak związania się z innymi ludźmi. Dworki i czynszowe mieszkania w Górach Świętokrzyskich, skąd wyszedł Olechowski, bardziej niż w reszcie kraju były odcięte od przeobrażeń społecznych dwudziestolecia nie-

podległości. W ich kręgu, trwającym siłą swej tradycyjnej bezwładności poza przemianami historii, wykształcił w sobie Olechowski poczucie bezdziejowości, typowe dla polskiej prowincji inteligencko-szlacheckiej. Przez lata wojny i emigracji Olechowski zachował w sobie nietknięty obraz tego dworka-getta. Lecz jego treść ograniczył i wyidealizował do tego, co było wyłącznie romantyczną nadbudową, a nie dostrzegał krzyczącej niesprawiedliwości społecznej. Od beznadziejności prowincjonalnego życia uciekł do jedyne, co było tam szczerego i pięknego: do drzew i uczuć rodzinnych.

Swoją postawę osamotnienia Olechowski usprawiedliwiał tym, że

*„W dniach kiedy szatan zwycięski
W górze jak jastrząb przystanął
I mierzy gromy i kłęski
W duszę struchłątą i bladą”,*

wówczas trzeba przysięgać wierność dozgonną

*„Drzewom masztom wysokim
Pod chorągwiemi obłoków”.*

Przywiązanie do ziemi rodzinnej jest wzruszające, lecz nieumiejętność ustawienia jej problemów na mocnej podbudowie historycznej sprawia, że poeta,

*„Kiedy oczy wyteża chciwie
Poza złudnych snów widnokręgi”*

(„Wierność drzewom”)

wpada w retorykę staczającą się ku mistycyzmowi. Jednak bieg poezji Olechowskiego, tak bardzo szczerzy i osobisty, szybko opuszcza jałowe łożyska retoryki i wraca do motywu woli, typowego dla pierwszego tomu poezji „Prostą jak sosna wyrosnąć”. Poeta osiągnąwszy zaufanie do swych sił, oparłszy się o niezmienną wierność przyrody i żony, odnajduje moc i optymizm i wkracza w świat dla zdobycia sobie w nim miejsca:

*„Co krok, co krok uparte cienie
Wzywają nas na brzeg nieznaney,
Przez wszystkie kłęski i nadzieje
Do jakiejś jednej złotej bramy.*

*„Za tamtą górą, tamtą rzeką,
Na pewno rośnie bujny sad.
Najmilsza. Spójrz. To niedaleko.
Chodźmy. Na wprost! Pod wiatr! Pod wiatr!*

(„Za siódmą rzeką”)

Poezja Olechowskiego spełniła swe zadanie: przywróciła wia-

rę w życie. Wiare, opartą na przekonaniu, że jak ewangeliczne lilie polne nie troszczą się o swe odzienie ani o pokarm, gdyż jest Pan, który żywi i odziewa, — tak i on trwać będzie bezpiecznie wśród chaosu i burz świata.

Krąg poetyckiego odczuwania Olechowskiego zamknął się. Od lęku przed samotnością wraca do jej apoteozy, krocząc wśród przyrody z żoną, opiekunką i przewodniczką. Idą tak oboje, czekając na ostateczne objawienie, które — wierzą — ukaże im nadprzyrodzony sens ich samotności. Lecz

*„Zanim srebrny Orion otworzy
Czarne wrota, noc — tajemnicę”,*

poeta wzywa żonę:

*„Przytul, przytul się bliżej,
Aby serca, jak źródła były,
Przez nas płynie w tej nocnej ciszy
Strumień życia, strumień szczęśliwy”.*

(„Chwila nocna”)

Po zakończeniu studiów polonistycznych w Londynie, Olechowski przeniósł się z żoną i jedynym synem Krzysztofem w roku 1952 do Nowego Jorku, gdzie zarzucił poezję i uprawiał wyłącznie miłąką zarobkową publicystykę w różnych radiostacjach. Umarł nagle, 1 kwietnia 1956 roku, nie ukończywszy 40 lat.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI

Jerzy Ponikiewski

Śmierć Jerzego Ponikiewskiego nie była niespodzianką dla tych wszystkich, którzy wiedzieli, iż kilka ostatnich lat chorował. Przypuszczam jednak, że w Polsce zaskoczyła cały szereg osób, gdyż jest to śmierć przedwczesna. Jerzy Ponikiewski nie miał jeszcze sześćdziesiątki i należał do tego „pokolenia bez miejsca”, przed wojną uważanego za „młodzież”, a po wojnie zdającego sobie sprawę bardzo dokładnie, że jest pokoleniem straconym...

Osoby Jerzego Ponikiewskiego nie można odłączyć od „Legionu Młodych”. Należał do tej Organizacji od pierwszej chwili jej powstania i od początku do końca grał w niej jedną z ról głównych.

Zbyt wiele mówi się o „Legionie Młodych” złego, żeby nawet we wspomnieniu pośmiertnym nie być zmuszonym do nawrotów do przeszłości.

„Legion Młodych” był organizacją młodej lewicy Piłsudczykowskiej, rojącej poważne widoki rozwoju w latach między 1930-1933. Po pierwsze były to lata kryzysu gospodarczego, a więc automatycznie lata, które zmuszały młode pokolenie do zbliżenia się do gospodarki planowej, co już było swojego rodzaju „lewicowością”. Po drugie do „Legionu Młodych” napłynęło mnóstwo młodych oportunistów, szukających ułatwień, jakie „Legion” bezsprzecznie zapewniał. Stąd duża ilość członków tej Organizacji.

Jeśli jednak możemy mówić o bardzo dużym procencie oportunistów w „dołach” Legionu Młodych, to natychmiast należy powiedzieć, że „góra” tej Organizacji nie tylko nie była oportunistyczna, ale ideowa w najwyższym sensie tego słowa. I właśnie góra przechylała się systematycznie na lewo.

„Legion Młodych” przeżył w roku 1934 rozłam na skutek tendencji pewnej grupy do zahamowania dalszego przesuwania się Organizacji na lewo. Pomyślany przez starsze pokolenie Piłsudczyków, jako organizacja młodzieży akademickiej, „Legion Młodych” wykroczył w ciągu trzech pierwszych lat swojego istnienia tak bardzo poza te ramy, że starsze pokolenie uznało, iż Legion daje się ponosić demagogii i że kierownictwo ulega naporowi dołów, które często były agenturą komunistyczną.

Zarówno Jerzy Ponikiewski, jak i piszący te słowa, należeli właśnie do tego odłamu „Legionu Młodych”, który przeciwstawił się dalszemu przesuwaniu się Organizacji na lewo. Tak rozpoczął się rozłam wiosną 1934 roku. Jerzy Ponikiewski odegrał w nim bardzo dużą rolę. Ale nie jako działacz, lecz raczej jako ideolog. Tak się bowiem złożyło, że patronujący nam Piłsudczycy starszego pokolenia uznali za wskazane „rozpedzić” dotychczasową „góre” młodolegionową na różne strony. I dlatego komendant główny „Legionu Młodych”, Zbigniew Zapasiewicz, wysłany został do Paryża, gdzie miał kończyć studia, główny zaś przeciwnik Zapasiewicza — Leon Stachórski — wysłany został do Kowna, jako korespondent „Kurieru Porannego”. Ponikiewskiemu przypadł w udziale Berlin.

Doskonałe pamiętam ostatni konwentykel w mieszkaniu państwa Gawrońskich, kiedy Leon Stachórski i Jerzy Ponikiewski z przerażeniem mówili o zbliżającym się posiedzeniu Rady Głównej „Legionu Młodych”, bojąc się, że zwolnione przez Zbigniewa Zapasiewicza stanowisko komendanta głównego Organizacji zajmie Wacław Zagórski, obecny redaktor „Tygodnia Polskiego” w Londynie.

Na wniosek komendanta Okręgu Poznańskiego konwentykel nasz uchwalił złożyć odpowiedzialność za dalsze losy rozłamu na mnie, jako niemal jedynego, który pozostawał w Warszawie.

Rzecz jasna, że w tym okresie pomimo to, iż Ponikiewski był w Berlinie kontakt nasz był niemal codzienny. Ileż to razy w nocy odzywał się u mnie telefon z Berlina. Ostatecznie rozłam ten wygraliśmy jednym głosem. Nie wesołe to było zwycięstwo.

I nie wesołe były dalsze losy Organizacji. Z rozwijającej się bujnie powstającej organizacji młodzieżowej przechodziła wbrew samej sobie na „elitarną”, akademicką.

Na dwa lata przed wybuchem wojny opuściłem Polskę, udając się na Środkowy Wschód jako korespondent „Kurieru Porannego”. Utrzymywałem w tym czasie dość luźny kontakt z moimi przyjaciółmi z „Legionu Młodych”. Z Ponikiewskim spotkałem się dopiero w roku 1940 w Paryżu. I muszę przyznać, że z nikim nie byłem tak zgodny w przewidywaniu przy-

szłości, jak właśnie z nim. Myliliśmy się zresztą obaj, bo ta przyszłość potoczyła się innymi drogami, niż przypuszczaliśmy. My bowiem wierzyliśmy w kwietniu 1940 w Paryżu, że wojna wyprowadzi nas poprzez lądowanie na Bałkanach ku dawnej, wschodniej granicy Polski.

Jerzy Ponikiewski podczas wojny, w pierwszym okresie swojego pobytu w Szkocji, miał przydział, pozostawiający mu bardzo wiele czasu. I już wtedy powziął myśl zorganizowania „średniego” pokolenia Piłsudczyków o odzieniu lewicowym. Myśl ta ujrzała bardzo niefortunne światło dzienne. W roku 1943 Ponikiewski zwołał kilkadziesiąt osób na zebranie, na którym miała być przedstawiona deklaracja ideowa przyszłego ugrupowania. Zebranie to odbywało się w jednym z londyńskich hoteli. I okazało się, że w hallu tegoż hotelu prof. dr Stanisław Kot, ówczesny minister Informacji, dokładnie odnotowywał w swojej świetnej pamięci nazwiska wszystkich uczestników. Nie byłem na tym zebraniu wyłącznie z przypadku: Anglicy nie zawiadomili mnie o nim, a prowadząc w owym czasie rozgłośnie polską „Świt”, nie mogłem samowolnie opuścić mego miejsca postoju. Byłem jednak obecny w postaci opracowanej przeze mnie i przez Tadeusza Kochanowicza (obecnego wice-ministra Opieki Społecznej w Polsce) deklaracji ideowej. Pewne zmiany, uchwalone właśnie wówczas, przeszkodziły mi wstąpić do tworzonej przez Ponikiewskiego organizacji. A była ona skromnym zaczątkiem obecnego NiD'u, z którego obecnym prezesem, Rowmundem Piłsudskim, kontaktowałem w roku 1943 właśnie Jerzego Ponikiewskiego.

Rok lądowania w Normandii był dla Ponikiewskiego niezwykle ważny. Przydzielony do Amerykanów, wybił się bardzo szybko, zostając z ich ramienia redaktorem „Tygodnika Polskiego”, przeznaczanego dla licznych Polaków, jacy znaleźli się w Niemczech. Pismo to wychodziło we Frankfurcie n/Menam; zakończyło ono swój żywot w r. 1946.

Myślę, że przyszły historyk naszych czasów nie będzie mógł przejść do porządku dziennego nad powstaniem w Niemczech tygodnika „Kronika” w końcu 1946 lub w styczniu 1947 r. Było to dzieło Jerzego Ponikiewskiego. Tygodnik redagowany przez Klaudiusza Hrabyka należał do najlepszych periodyków polskich wychodzących w Niemczech. Po zlikwidowaniu tego pisma, Jerzy Ponikiewski przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Nie na długo, bo już wkrótce wrócił do Europy. Tym razem jako wysłannik *Foreign News Service*. W Berlinie początkowo, a następnie w Wiedniu Jerzy Ponikiewski dotrwał do Powstania Węgierskiego w roku 1956. Podczas powstania był kilkakrotnie w Budapeszcie. Z Wiednia został przeniesiony na kilka miesięcy do Izraela; stamtąd wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie redagował „Ogniwo”, tygodniowy dodatek do dziennika „Nowy Świat”.

We wrześniu 1961 przyszedł pierwszy atak serca. I odtąd Jerzy Ponikiewski już tylko dogorywał. Zmarł w grudniu 1965 r. w Londynie. Przez cały rok 1965 nie należał już do świata żyjących. Paraliż przykuł go do łóżka, nie pozwalając nawet na swobodne porozumiewanie się. Ale jeszcze w roku 1964 rozmawiałem z Jurkiem wielokrotnie, udało mi się też uzgodnić z nim wówczas cały szereg spraw, dotyczących „Legionu Młodych”, który domaga się opracowania swoich krótkich dziejów. Nie mogą one pominąć Jerzego Ponikiewskiego, jeśli mają być pełne i prawdziwe.

Janusz LASKOWSKI

Kronika kulturalna

Plastyka

Upodobania i smak ulegają zmianom. W czasach wiktoriańskich Rafael uchodził za szczyt doskonałości w malarstwie, a Piero della Francesca nudził wszystkich. Dzisiaj rzecz ma się na odwrót. Jeszcze dla Leonarda da Vinci dzieło sztuki było tym wartościowsze im więcej zbliżało się do rzeczy, którą reprezentowało.

Dzisiaj nie kopia świata lecz jego plastyczna metafora jest istotą zadania artysty. Odkrywanie coraz to nowych aspektów stosunku artysty do świata i jego interpretacja są nieustanną ewolucją naszego odczucia. Kulturowanie sztuki jest rozwijaniem wrażliwości. Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę z tego, że sztuka nie jest ornamentycznym dodatkiem do życia ani też przyjemnością czy rozrywką. Sztuka należy do najistotniejszych esencji życia.



Niepowstrzymany prąd abstrakcji zdołano jednak zahamować, ale to zahamowanie nie jest równoznaczne ze śmiercią, jakby życzyli sobie tego wczorajsi abstrakcjonści, którzy zmienili front. Jesteśmy świadkami nowych wysoków niesfornych abstrakcjonistów, którzy niedawno powstałe kierunki pod nazwą Pop-artu i Op-artu zdystansowali beczelnością podejścia i niebywałą wulgarnością.

Mam na myśli nową grupę artystów amerykańskich z siedzibą w New Yorku, występujących pod nazwą „Zimnej Szkoły” (*Cool School*). Tej nowej grupie przywodzi Frank Stella.

Członkami tego zgrupowania są niejednokrotnie ludzie o dużym wykształceniu, jak np. urodzony w roku 1928 Donald Judd, który studiował *science* i biologię, posiada ukończone studia filozoficzne i bogate doświadczenia z dziedziny krytyki sztuki. Członkowie tego nowego kierunku postanowili chodzić na rękach,

przewartościowując wszystkie kryteria uznawane dotąd w plastyce.

Wszystko co dotychczas uznawane było w plastyce za negatywne, a więc pustka i monotonia, powtarzanie w koło tych samych motywów, nuda i brzydota, staje się dla nich celem do osiągnięcia. Bezkompromisowo odrzucają oni wszelkie „stare” wartości, jak np. potrzebę kompozycji, jakiegokolwiek treści i wartości estetycznych.

Jeden z członków tej grupy, najzimniejszy z zimnych (kiedyś malarz, obecnie rzeźbiarz) Robert Morris, produkuje coś w rodzaju skrzyń w formie bloków lub klinów, które następnie maluje wszystkie jednakowo, na szaro, gładko i bez żadnych odcieni, odrzucając przy tym wszelkie koncesje na rzecz piękna lub użyteczności. Niekiedy owe skrzynie zaopatrzone są w aparaty produkujące odgłosy nagranych uprzednio na taśmie uderzeń młota i piłowania desek. Uwięzione w skrzyniach-trumnach hałasy towarzyszące budowaniu tych pudeł, mają być nowym elementem, który zaskakuje widza.

W jednym olbrzymim pudle jest wycięta szczelina w kształcie litery I, a wewnątrz umieszczona jest powiększona fotografia artysty — kompletnie nago. Jeden z jego egotystycznych eksponatów opatrzony jest dokumentem podpisanym przez notariusza:

„Niżej podpisany Robert Morris przeto wycofuje z niniejszej konstrukcji wszystkie estetyczne wartości i treść oraz deklaruje, że od obecnej daty konstrukcja ta nie posiada rzeczonych wartości ani treści”.

„Zimnych” nie wzrusza czy ich twory podobają się komuś czy nie. Kompletna dysocjacja jest ich zamiarem. Również nie obchodzi ich fakt czy ktoś kupuje ich twory i nie troszczą się o uznanie. Przyjemność zadziwiania innych łączą oni z dumną satysfakcją z tego, że nic nie jest w stanie zadziwić ich samych. Należy przy tym zwrócić uwagę na podejście „Zimnych” do problemów, które sobie postawili. Nie jest ono anarchistyczne; posiadają oni jakąś desperacką dyscyplinę.

Kiedy Kandynski przeszedł od lirycznej ekspresji do czystej abstrakcji, miał się wyrazić: „Kocham teraz koła jak kiedyś kochałem konie”.

W tym powiedzeniu zawiera się cała prawda sposobu myślenia o malarstwie generacji artystów, do której należy *Wojciech Fangor*. (Grabowski Gallery, 29. 3 - 22. 4. 1966).

Każde koło namalowane przez Fangora, każdy jego kwadrat jest zamiarem namalowania kwadratu czy koła szczególnego, które by mogły egzystować jedynie w specyficznych warunkach i w takim a nie innym układzie. Ale te koncentrycznie ustawione koła nie byłyby niczym nowym, jak powtarzaniem odkryć Rothko czy Jasper Johns'a, gdyby nie mały krok naprzód jaki uczynił Fangor dodając do swoich kół i kwadratów pewien szczegół z

dziedziny złudzeń optycznych, który zdziałał, że jego kwadraty i koła raptem ożyły. Tracą one swoją statyczność i wibrują w oczach, stwarzając wrażenie promieniowania, które wprost atakuje widza powodując zawrót głowy.

W ten sposób połączone op-art Vasasely'ego z malarstwem Rothki wydało plon w postaci abstrakcyjnego Trompe-l'Oeil'u.

Ten specyficzny gatunek iluzji jest zagadnieniem, które w tej chwili pasjonuje Fangora. Temu celowi jest tutaj podporządkowane wszystko. Lapidarne, proste kompozycje nie wykraczające poza figury geometryczne, gładka i matowa faktura, świetlisty koloryt o przemyślnych kontrastach i wyszukanych harmoniach — prawie eleganckich. Ten pokaz zaskakuje nowością eksperymentu i bezczelnością zagadnienia; niemniej jednak posiada pewne elementy nudy i monotonii, jakiejś mechanicznej perfekcji — precyzji bez widoków na dalszy rozwój tej idei, która skazana jest z góry na doskonałość.

Pomiędzy dziełem sztuki a pieniądzem nie ma żadnego stosunku zależności.

Dzieło sztuki jest akurat warte tyle, na ile zdołamy je ocenić w zależności od osobistego przygotowania w dziedzinie sztuki.

Dla naiwnych o ubogim smaku artystycznym iluzjonizm jest wystarczający do wywołania wzruszenia estetycznego, a oddanie podobieństwa za szczytowe kryterium sztuki.

Ekspresjonizm, a raczej jego współczesna forma, którą uprawia *Marian Bohusz* datuje się od Van Gogha. Van Gogh nie miał wprawdzie natychmiastowych naśladowców we Francji, ale w dalekiej Norwegii Edward Munch był pierwszym, którego twórczość do pewnego stopnia była inspirowana przez Van Gogha. Następnie, z początkiem naszego stulecia ekspresjonizm rozwija się i urasta w logiczny nurt, który stale przybiera na znaczeniu. Nolde, Heckel, Rohlfs, Soutine, Chagall i Rouault oto nazwiska związane z tym kierunkiem.

Bohusz urodzony w 1901 roku wzrastał równocześnie z tym prądem. Jego pragnienie silnej wypowiedzi znalazło w ekspresjonizmie gotowe formy: chodziło jedynie o to jaką treść zwiąże artysta z tą formą. Od zarania swojej malarskiej kariery Bohusz wybrał dla swojej sztuki temat religijny i nigdy od tego tematu nie odstąpił.

Na obecną wystawę Mariana Bohusza (Drian Gallery, 15. 4. - 30. 4. 1966) składa się trzydzieści pozycji: w tym Tryptyk skomponowany dla kaplicy St. Christopher's Hospice w Londynie.

Prace Bohusza są naładowane energią. Świetliste plamy nakładanej z furją farby rysują formy, tworzą atmosferę i głębię plastyczną; ciężka, udręczona faktura, niezdarne formy potraktowane szkicowo i na pozór beładna kompozycja, stwarzają tę

jakąś absolutną atmosferę i nadają jego obrazom autentyczność wyobrażeń.

Bohusz jest świadom tego, że wizualny wyraz malowanych scen nie może być przegadany, jeśli nie chcemy zubożyć przeżycia malarzkiego. Tak więc ekspresyjny wyraz Bohusza stał się metaforą plastyczną.

I to właśnie chodzi, aby tak oklepane już tematy religijne, jak np. Narodzenie, Ukrzyżowanie czy Zmartwychwstanie pokazać w nowej formie, zdolnej zatrzymać na moment uwagę dzisiejszego widza, który naładowany wrażeniami najnowszych eksperymentów w plastyce niewiele spodziewa się po tak tradycyjnym temacie.

Ta metafora plastyczna Bohusza objawia się najczyściej w jego obrazach o małych rozmiarach, gdzie parę uderzeń pędzla, kilka trafnych akordów barwnych wyczarowują plastyczną głębię i poetycką relację religijnego przeżycia.



Nazwy kierunków sztuki są jedynie usługowymi terminami, umożliwiającymi one porozumienie się. Tak zwana sztuka abstrakcyjna ma bardzo mało wspólnego z abstrakcją w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Sztuka zawsze była i jest ekspresją, niezależnie od tego jakie nazwy przypinają jej teoretycy.

Artysta zawsze wyraża siebie, a więc kiedy wydaje mu się, iż kopiuje naturę i kiedy mówi, że stwarza czystą abstrakcję.

Sam proces twórczy jest zjawiskiem bardzo skomplikowanym i angażuje zarówno zmysły jak i intelekt, wolę, intuicję, czucie i wiele innych rzeczy, z których niezawsze jesteśmy zdolni zdać sobie sprawę.

Analiza procesu tworzenia niejednokrotnie może wyjaśniać wiele niezrozumiałych zjawisk zachodzących w sztuce współczesnej, które wydają się nam nie na miejscu.



Abstrakcja *Caziela* (Grabowski Gallery, 20. 4. - 20. 5. 1966) w odróżnieniu od abstrakcji amerykańskiej posiada te wszystkie wartości i kulturę plastyczną, które mogły ukształtować się tylko na gruncie paryskim. Caziela mieszka i pracuje w Paryżu. Urodzony w roku 1906 w Polsce, ukończył warszawską Szkołę Sztuk Pięknych. W roku 1937 otrzymał stypendium państwowe na wyjazd do Paryża i Włoch. Od tego czasu Caziela związał się z Francją. Nawet lata wojny przetrwał w podziemnych organizacjach ruchu oporu, aby wnet z nastaniem pokoju rozpocząć tam swoją pracę malarza.

Caziela wystawiał swoje malarstwo stalugowe z powodzeniem w Paryżu. Jednocześnie interesował go fresk i zagadnienie zwią-

zania sztuki malarskiej z architekturą, do czego zachęcał go Le Corbusier, którego znał osobiście.

Jest członkiem „Groupe Espace”, założonej przez André Bloca, a od 1955 współpracuje z francuskim architektem Jean Ginsbergiem. W roku 1963 Caziela wykonał wielki fresk dla United Kingdom Atomic Energy Commission w Szkocji.

W Londynie Caziela wystawia po raz pierwszy. Na ten pokaz składa się 30 obrazów olejnych oraz 20 gwaszów i rysunków.

Sztuka Caziela opanowana, o dużym smaku, wiąże się organicznie z l'École de Paris. Sztuka abstrakcyjna we Francji posiada głębsze korzenie niż w Ameryce. Rozwija się konsekwentnie z kubizmem, który Gris doprowadził do formalistycznej syntezy, modyfikując przedmiot w obrazie do granic nierozpoznawalności, a także wprowadzając do kompozycji formy koloru, jako element czysto abstrakcyjny.

W ten sposób związek pomiędzy formami natury i wolą jej przedstawienia rozluźnił się dając pole do działania spekulatywnego, które doprowadziło do czystej abstrakcji. Ta gałąź abstrakcji nie jest zaczynaniem malarstwa od początku, lecz jest jak gdyby logiczną jego ewolucją, zachowując wszystkie jego wartości estetyczne, jak gatunek koloru, rytmy, masy barw i rozumienie kompozycji.

Szlachetność kolorytu obrazów Caziela, mistrzowska technika malowania, doskonale zbalansowane rytmiczne kompozycje i urzekająca materia malarska wykazują nie tylko duchowe pokrewieństwo tego malarza ze sztuką Braque'a, pomimo zasadniczych różnic, ale stawiają go w szeregu najwybitniejszych artystów, pracujących dzisiaj w Paryżu.

Zafascynowany samą istotą sztuki malarskiej, Caziela obdarza nas kompozycjami o głębokiej kulturze plastycznej. Jego kompozycje budowane przeważnie na delikatnych różnicach szarości, czerni, brązów i ugrów związanych w pionowe rytmy, tworzą żywe, dźwięczne arabeski.

Gwasze Caziela reprezentują świat inny. Ich koloryt jest lżejszy, bardziej nieoczekiwany, nowy, kolory różowawo-perłowe, niebieskawo szare, szaro-żółtawe dają poetycko liryczne tło dla luźnych form, prawie graficznych, położonych z umiarem na płaszczyźnie kompozycji po to tylko aby zatrzymać uwagę widza na dłużej przy obrazie, aby malarska treść kompozycji miała czas dotrzeć do wrażliwości widza.

Z. TURKIEWICZ

Komunikaty

STYPENDIUM TWÓRCZE DLA ADAMA CZERNIAWSKIEGO

Komitet konkursowy fakultetu filozofii na Uniwersytecie Wiedeńskim przyznał Adamowi Czerniawskiemu pięcioletnie stypendium twórcze Fundacji Abrahama Woursella dla młodych pisarzy.

W bieżącym roku ukaże się w ramach Biblioteki Kultury nowy tom wierszy Czerniawskiego pt. *sen cytadela gaj*.

WIECZÓR AUTORSKI CZESŁAWA MIŁOSZA W CHICAGO

W dniu 24 kwietnia br. odbył się pierwszy wieczór autorski Czesława Miłosza w Ameryce. Wieczór zorganizowany został przez Polski Związek Akademików, Okręg Chicago, organizację, która w ubiegłych latach urządziła m.in. wieczory: Marii Kuncewiczowej, Tymona Terleckiego, Jana Rostworowskiego, Marka Gordona, Zbigniewa Chałko i Andrzeja Lecha Sołwskiego.

W imprezie brali udział: Elżbieta Dziewońska-Krzemieńska, Jolanta Pawlikowska, Andrzej Azarjew, Stanisław Garczyński i Andrzej Lech Sowulewski. O poecie i jego twórczości mówił prof. dr Tymon Terlecki.

W przeddzień wieczoru Czesław Miłosz wygłosił odczyt na Wydziale Sławiistyki Uniwersytetu Chicagowskiego; tematem odczytu były najnowsze prądy w poezji polskiej.

Książki

"Białe kwiaty" Norwida

W bardzo atrakcyjnej serii „Jednorożca” wyszły niedawno *Białe kwiaty* Norwida pod redakcją Juliusza Gomułickiego. Jest to trzeci z kolei zbiór prozy Norwida w tej serii: poprzednio ukazały się *Legandy* i *Trylogia włoska*. Tytuł obecnego zbiorku nie jest ścisły, gdyż zawiera on także „Czarne kwiaty”, osobne wspomnienie o malarzu Byczkowskim, oraz rozprawkę pod tytułem „Milczenie”.

W świetnym, pełnym erudycji i zmysłu krytycznego, wstępie, Gomułicki ustala związek między obsesją szczegółu u Norwida a artystycznym osiągnięciem, jakim są wspomnienia poety o współczesnych mu zmarłych poetach i artystach. „Błogosławiony i szczęśliwy pisarz, powiada Norwid w zdaniu cytowanym przez Gomułickiego, który prawdziwej patetyczności bezbarwne słowa zna i strzeże”. Właśnie dlatego, że Norwid umiał dostrzegać banalne szczegóły codziennego życia, jego szkice przedśmiertnych chwil Słowackiego, Witwickiego i Szopena, są tak plastyczne, tak się wrzynają w pamięć.

„Ubrany był Pan Adam — zauważa Norwid podczas ostatniego spotkania z Mickiewiczem — w futerko wytarte, szaraczkowym sukniem powleczone, które skąd w Paryżu można było dostać, tej barwy, kroju i podżyłości?... pytanie ciekawe — bowiem: była to, zdaje się, kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach dobrze od Warszawy oddalonych”.

W pewnym sensie nic łatwiejszego, jak szkicować realistyczne, prosto z życia uchwycone sceny i portrety, i gdyby szkice Norwida na tym poprzestawały, też byłyby niezmiernie wartościowymi dokumentami. Norwid jednak, nawet gdy pisał takie dorywcze zdawałoby się wspomnienia, nie był tylko dziennikarzem, był zawsze też artystą. Realia w tych pozornie niedbale skomponowanych portretach są tylko elementem starannie przemyślanej całości; spełniają zaledwie drobną rolę w kompozycji i w dramatycznym napięciu. Oko artysty, które zauważa wytarte futerko

wieszczka, dostrzega także zupełnie inne szczegóły podczas wizyty u Szopena: „... w cieniu głębokiego łóżka — notuje Norwid — na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo, tak jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej...” Tu Norwid zdecydowanie odrealnia postać kompozytora, nadając mu cechy symbolu.

Zacytowałem zaledwie połowę tego długiego, złożonego, rwącego się zdania, w którym Norwid jakby myśli na głos. Ta nieporadność — za którą Norwida kiedyś wyśmiewano, za którą i dziś bywa czasem krytykowany — jest także efektem artystycznym, mającym wykazać nam, z jakim mozołem poeta szukał słów, by wyrazić najdokładniej swą myśl. A nie trudno o przykłady, że Norwid umiał układać zdania proste, kiedy widział po temu potrzebę. Oto opis widoku z mieszkanka Słowackiego: „Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami tymi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały”.

Niezmierna swoboda i różnorodność stylistyczna, którą poeta przejawia w tych wspomnieniach ma jeden arcyważny cel. Opisywani artyści nie są tu ani odbrązowieni, ani też upompatyczni. Norwid rozmawia ze sławnymi współczesnymi z godnością. W pewnym sensie nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież jako artysta im dorównywał, a czasem ich przerastał. Ale z drugiej strony pamiętajmy, że Norwid nie uzyskał nawet ułamka uznania, które przypadło jego nieco starszym rówieśnikom; a także, oni bynajmniej nie darzyli go równym szacunkiem. Chyba Szopen, może Słowacki, ale już nie Mickiewicz, który miał Norwida za pocziwego dziwaka.



Wiele mamy przykładów, że Norwid traktował prawdę jako zasadniczy postulat twórczości. W „Promethidionie” Bogumił, który jest wyraziцеlem poglądów autora, stawia na pierwszym miejscu artystów, którzy nie wstydzą się prawdy i jej nie tłumią. Hasłem cyklu *Vademecum* jest „odpowiednie rzeczy dać słowo”. Norwid wie oczywiście, jak trudno jest to zadanie wykonać, czy to w życiu czy w sztuce. Dlatego kilka liryków cyklu zajmuje się właśnie trudnością osiągnięcia tego idealnego celu. W jednym wierszu drogę poecie zastępuje mitologiczny Sfinks i domaga się od niego prawd. Norwid odpowiada: „Człowiek?... jest to kapłan bezwiedny / I niedojrzały...” Ku zdziwieniu poety, Sfinks schodzi mu z drogi, bo prawdą jest też, że ludzie nie znają prawdy.

W innym wierszu poeta wyznaje gorzko, że sztuka, zamiast głosić prawdę, jest jak żaluzja, która wzbrania promieniom prawdy wstępu do domu. Co więcej, te promienie, zamiast rozjaśniać wnętrze, naświetlają sentymentalną, pastoralną, a przeto zasadniczo nieprawdziwą scenę „ze źródłami ametystowymi, / Pasterkami owianymi w gazy...” Jest wreszcie w *Vade-mecum* znany

wiersz „Nerwy”, który zajmuje się prawdą jako problemem natury moralnej, raczej niż artystycznej. Poeta idzie z wizytą do salonu pani baronowej, zaraz po odwiedzinach u ludzi, którzy mrą z głodu na poddaszu. Boi się tę prawdę wyjawić baronowej, boi się nietaktu i skandalu. Dlatego potępia siebie jako „milczącego faryzeusza”.

Podkreślam ten motyw prawdy, dlatego, że opis tragicznej śmierci w Wenecji malarza Byczkowskiego, rzuca nań ciekawe światło. „Niżli słońce zapiekło — notuje Norwid — popłynąłem na Lido dnia wtórego... Tam doszedłszy, spotkałem: gondoliera; stał nad garstką bielizny; przy nim służa z policji i dwie damy Angielki z albumami. Byczkowski, zapłaciwszy gondoliera, powiedział mu, że chce użyć kąpieli... ale za głęboko w fale zaszedł. Grób jego jest na Lido”.

Tymczasem — komentuje w przedmowie do *Kwiatów* Gomulicki — „Te skąpe, lakoniczne, umyślnie bezbarwne słowa kryły prawdę o wiele tragiczniejszą jeszcze. I okropniejszą. Oto Byczkowski, zabrawszy ze sobą z hotelu brzytwę, wybrał się na Lido w wyraźnym zamiarze samobójczym. „Zwłoki jego — notuje sumienny Rastawiecki — w dni kilka wyrzuciła woda w Lido, od ryb morskich pogryzione...”

Choć szkic o Byczkowskim formalnie do cyklu „Kwiatów” nie należy, jednakże wypada i do niego zastosować słowa zamykające „Czarne kwiaty”: „... wierne są jak podpisy świadków, którzy pisać nie umiejąc, znakami krzyża niekształtnie nakreślonego podpisują się...”

Dlaczego więc Norwid przemilczał drastyczne okoliczności śmierci Byczkowskiego? Można by mu zarzucić, że względy delikatności i sentymentalizmu skłoniły go do zatuszowania prawdy. W pewnym sensie zarzut jest uzasadniony: czytając głoskę Rastawieckiego przytoczoną przez Gomulickiego, czujemy się trochę rozczarowani i rozżaleni, nie dlatego, że żądni jesteśmy krwawych sensacji, lecz dlatego, że Norwid jakby nadużył naszego zaufania: te portrety zdają się tak autentyczne, że każde słowo przyjmujemy bez żadnej kwestii.

Wydaje mi się jednak, że jest na ten zarzut odpowiedź: jak już podkreśliłem, Norwid notował realia o tyle o ile uważał je za konieczne do oddania wizerunku portretowanej jednostki. Fakty liczyły się tylko jeżeli pomagały mu stworzyć syntezę. Tu istotnym elementem była samobójcza śmierć malarza, same szczegóły Norwid wolał zostawić gazetom i protokołom policji.

Adam CZERNIAWSKI

Notatki z dyletanckiej lektury

O RYTMICE I O GENEALOGII

„Jeśli czytać tylko oczami — to w ogóle nie warto czytać tej książki” — mówi Adam Uziembło na jednej z pierwszych stron swych „Uwag o rytmie prozy polskiej”.

Już sam tytuł książki onieśmiela. Iluż bowiem jest w całej Polsce i na emigracji specjalistów, spoufalonych z jambami, trochejami, daktylami i spondejami? W Polsce — może dziesięćciu, z Marią Dłuską na czele. Na emigracji — zapewne tłumacz „Iliady” dr Wieniewski, Wiktor Weintraub — i mało kto więcej. Ale jak ma się zabrać do tych stronicy czytelnik bez odpowiedniego bagażu filologicznego, gdy otworzywszy książkę na chybi-trafi widzi teksty posiekane pionowymi kreszczkami na jamby, trocheje czy spondeje?

A tymczasem autor zapewnia, że książka jego „ma służyć — nie wybranym, lecz właśnie tym najszerzym kołom czytelników, pragnących poufałej pogawędki z książką”. Spróbowałem czytać te „Uwagi”. Czytać tak, jak nakazuje autor: nie oczami tylko, lecz głosem. Czytać na głos. I zrozumiałem. Bo oto przykłady prozy, analizowane przez Uziembłą, te obszernie nieraz cytaty, nie tylko z Sienkiewicza czy Żeromskiego, ale i ze współczesnych pisarzy, odczytywane na głos z zachowaniem podziału na strofy metryczne, zaczęły dawać każdemu zdaniu nie tylko muzykę, ale i niezwykłą wyrazistość i wypukłość. Pojedynek Wołodyjowskiego z Bohuszem toczył się szybciej lub wolniej wraz z rytmem każdego zdania. W polowaniu u Żeromskiego — las gdzieś daleko rozbrzmiewał graniem ogarów. Nie było żadnego przedziału między mową prozy a pieśnią poezji. Można było odczuć bezpośrednio, że cała dziedzina słowa, czy to oktawy Beniowskiego, czy to wiersz biały, czy też proza takich pisarzy, którzy byli naprawdę majstrami słowa, jest dziedziną jedną, niepodzielną.

Już dla samej rozkoszy przeczytania sobie na głos kilku przy-

Adam Uziembło: *Uwagi o rytmach prozy polskiej*. Paryż 1963. Nakładem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, str. 207.

kładów z tej książki, według wskazówek autora — warto ją naprawdę wziąć do ręki.

Uziembło zastrzega się, że nie daje żadnych przepisów na dobrą prozę. Oczywiście! — książka jego nie jest amerykańskim kursem korespondencyjnym pisania prozą i nie daje recepty jak pisać należy — ale pozwala ona zrozumieć, dlaczego niektórzy pisarze tak nas uwodzą i sugestionują swym stylem.

Autor wskazuje w jednym miejscu, że sztuka czytania na głos, tak długo zaniedbana, odradza się obecnie dzięki radiu. Uwaga ta jest słuszna. Toteż praca jego o „Rytmie prozy polskiej” powinna istotnie zainteresować „nie tylko estetów, nie tylko badaczy żywego słowa, ale i wszystkich jego odtwórców”.



„Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej” — znowu tytuł, jakby zastrzegający książkę dla specjalistów wtajemniczonych w arkana tych nauk pomocniczych historii. Specjalnie słowo „genealogia” budzi zwykle lekceważące wzruszenie ramion u powierzchownych tzw. „ludzi postępu”, dla których studia genealogiczne wiążą się najczęściej ze snobizmem arystokratycznym. Tak nie pomyśli żaden prawdziwy historyk, ale tak reaguje zwykły czytelnik książek.

A tymczasem studia genealogiczne mają dziś o wiele szersze niż dawniej znaczenie. Paleografia nadal pracuje w swym ścisłym zakresie odcyfrowywania dawnych tekstów i pergaminów, sfragistyka nadal ogląda przez lupę dawne pokruszone pieczęcie, a numizmatyka — stare monety, od wieków wyszłe z obiegu. A tymczasem genealogia — od czasów mnicha austriackiego Gregora Mendla, który wykrył pierwsze prawa dziedziczności, nabrała nowych rumieńców życia. Do danych zebranych przez studia genealogiczne sięgają zaczęły biologia i genetyka, a później, bliżej naszych czasów: socjologia i demografia. Dzisiaj — genealogia —

Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej. Wydane staraniem Komitetu Redakcyjnego. Buenos-Aires-Paryż.

Tom I. Str. 242, rok 1963: Kazimierz Kościakowski. Gałąź wilkomirska Kościakowskich.

Lista oficerów, towarzyszy i podoficerów II Brygady Kawalerii Narodowej z 1790 r.

Lista członków Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z lat 1832-1851. Opracował oraz wstępem i przypisami opatrzył Lucjan Krawiec.

Konstanty Przewłocki: Wspomnienia.

Stefan Woyczyński: Woyczyński herbu Habdank.

Tom II, str. 302, rok 1964: Herbarz szlachty Inflant Polskich z 1778 r. Opracował oraz wstępem opatrzył Adam Heymowski.

Lista emigrantów polskich w Wielkiej Brytanii otrzymujących zaśliki od rządu brytyjskiego w latach 1834-1899. Opracował oraz wstępem opatrzył Mieczysław Paszkiewicz.

Jan Kanty Lubieniecki: Wspomnienia.

Dodatek: Edward Borowski: Genealogie niektórych polskich rodzin utytułowanych. Seria pierwsza.

to studia nad historią rodzin, wszystkich rodzin, nie tylko dynastii królewskich, ale i rodzin mieszczańskich, chłopskich czy robotniczych.

Był nawet taki moment, że i polityka zainteresowała się z irytacją pewnym studium genealogicznym. Było to w czasie największego triumfu doktryny rasistowskiej w Niemczech. Jeden z najwybitniejszych genealogów europejskich, później profesor uniwersytetu wiedeńskiego, Polak, dr Otto Forst-Battaglia ogłosił w r. 1934 książeczkę po francusku pt.: „Le mystère du sang”. W książeczce tej zmarły niedawno genealog, uznawany przez historyków francuskich do dziś za autorytet, przytoczył w wyniku swych studiów nad dziedzicznością w domach panujących w Europie, że żadna z dynastii nie miała w swych żyłach „czystej krwi aryjskiej” i że nawet cesarzowa Austrii Maria Teresa była w prostej linii (przez kobiety) potomkiem — Mahometa! Co więcej — dr Forst-Battaglia wskazał hitlerowcom, którzy co roku odbywali na zamku w Wartburgu zjazdy „czystej krwi”, że gdyby w czasie ich zjazdu stanęła przed bramą zamku dawna pani Wartburga, święta Elżbieta, to nie mogłaby zostać dopuszczona na zamek. Jako królowna węgierska z dynastii Arpada, była bowiem w prostej linii praprawnuczką samego Dżengis Chana!

Rasiści hitlerowscy musieli uznać te studia genealogiczne za równie szkodliwe dla ich doktryny, jak dzieła antropologiczne i etnograficzne prof. Czekanowskiego.

Z genealogów polskich najwybitniejszymi dziś są: w kraju — dr Włodzimierz Dworzaczek, któremu Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk wydał przed dziesięciu laty ogromny tom tablic pt. „Genealogia” — i na uchodźstwie — Szymon Konarski w Paryżu, który posiada najbardziej dziś chyba kompletną bibliotekę z dziedziny genealogii i heraldyki, oraz bogaty zbiór pamiętników i rękopisów, gromadzonych od dziesiątków lat i szczęśliwie ocalałych z pożogi wojennej.

Panu Szymonowi Konarskiemu Polska Akademia Nauk w kraju nie wyda w druku rękopisów z jego archiwum. Ale oto kilka lat temu powstał komitet, który by można nazwać „międzykontynentalnym”, bo wchodzi doń miłośnicy historii z Paryża, Londynu i — Ameryki Południowej. Komitet ten postanowił wydawać w drodze subskrypcji „Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej”. Komitet ten stanowią: Krzysztof Górski, Adam Heymowski, Andrzej Grabia-Jaźbrykowski, Szymon Konarski, Mieczysław Paszkiewicz, Bernard Pilewski i Leon Hieronim Radziwiłł.

Warto zacytować te nazwiska, bo nawiązują one do najwybitniejszych tradycji: do Michała Grabowskiego, Mikołaja Malinowskiego i Aleksandra Przezdzieckiego, którzy w r. 1844 w Wilnie wydali cenne „Zróżdła do dziejów polskich” — i do Włodzimierza hr. Broel-Platera, który w r. 1858 wydał w Warszawie cztery tomy „Pamiętników do dziejów polskich”.

Znaleźli się też i teraz mecenas, jak pp. Julian Godlewski, Andrzej Kowerski czy dr Wolski, którzy dali pomoc inicjatorom w

przygotowaniu rękopisów do druku, lecz głównym mecenasem jest rzesza kilkuset miłośników historii na uchodźstwie, która swymi przedpłatami pokryła koszt wydrukowania już dwóch tomów w drukarni w Buenos Aires.

„Genealogia” Wł. Dworzaczka ukazała się w Polsce w nakładzie 5000 egz. Nakład każdego z dwóch dotychczasowych tomów „Materiałów” nie sięga nawet tysiąca. Ale i to jest przecież niemałym wyczynem w warunkach emigracyjnych.

Na każdy z obu tomów składają się: jedno lub dwa studia z dziedziny genealogii lub heraldyki, jeden dokument — i jakiś jeden pamiętnik z XVIII lub XIX wieku. Na pamiętnikach takich, jak wspomnienia Konstantego Przewłockiego czy Jana Kantego Lubienieckiego, będzie się kiedyś opierał jakiś nowy Kraśzewski, gdy pisać będzie powieści historyczne o czasach XIX wieku.

Z dokumentów — najcenniejszą dla historyków Wielkiej Emigracji będzie na pewno „Lista Członków Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z lat 1832-1851”. Szczęśliwym trafem odpis tej listy zachował się w zbiorach Szymona Konarskiego — oba jej oryginały bowiem spłonęły w pożarach ostatniej wojny. Opracował ją do druku z benedyktyńską starannością Lucjan Krawiec. Pozwala ona sprostować błędy i pomyłki nie tylko w dawnych pracach Bolesława Limanowskiego, ale i w ostatnio wydanej w kraju pracy poważnego historyka, Mariana Tyrowicza pt. „Polskie Towarzystwo Demokratyczne”.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

Nadesłane nowości wydawnicze

NAGÓRSKI (Zygmunt, senior). *Wojna w Londynie. Wspomnienia. 1939-1945.* Str. 357 i 3 nlb. i 6 ilustracji. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1966, cena 33 F.).

DE MONTFORT (Henri). *Le massacre de Katyn. Crime russe ou crime allemand?* Str. 198 i 6 nlb. Annexes, bibliographie, (Ed. La Table Ronde dans la collection „L'Histoire contemporaine revue et corrigée”, Paris, 1966, cena F. 15,50).

Ewhen Malaniuk, présenté par O. JDANOVYTCH. *Poèmes traduits par M. MASLOV et O. REPE-TYLO.* Str. 43 i 5 nlb. (Editions P.I.U.F. dans la collection „Jaune et bleu”, Paris, 1965).

MOND (Georges). *La Liberté de la Presse en URSS et dans les Démocraties Populaires.* Str. 633-646. (Odbitka z „Annuaire de l'U.R.S.S. 1965, wyd. Centre des Recherches sur l'U.R.S.S. et les Pays de l'Est”).

- KOŁODZIEJ (Leon). *Il y a mille ans naissait la Pologne*. Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. Editions Salvator, Mulhouse, 1966, cena F. 9,75).
- KOSINSKI (Jerzy). *L'oiseau bariolé*. Roman. Str. 245 i 9 nlb. (Wyd. Flammarion, 1966, cena F. 15).
- MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz or the Last Foray in Lithuania*. Przekład i wstęp Kenneth Mackenzie. Str. 291. (Wyd. J. M. Dent & Sons Ltd, London, maj 1966, cena 15 sh. No 842 „Everyman's Library”).
- LIBRACH (Jan). *The Rise of the Soviet Empire*. A study of Soviet Foreign Policy. Revised Edition. Str. 399 i 7 nlb. Notes, Selected Bibliography, Index, Index Addenda. (Wyd. Frederick A. Praeger, New York-Washington-London, 1965, cena dol. 7,50).
- FALKOWSKI (Jan). *With the Wind in my face*. The Story of a Polish Fighter Pilot in the R.A.F. Przedmowa: Air Vice-Marshal T. N. McEvoy, C.B., C.B.E., R.A.F.; opracowanie graficzne: Alma-Maria Tanski-Falkowski. Str. 166. (Nakł. Aurora, Whitby, Ont. Canada, cena dol. 5,50).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *The Soviet Political System: Transformation or Degeneration*. Str. 14 (dwuszpaltowych). Odbitka z „Problems of Communism”, January-February, 1966. (Wyd. Research Institute on Communist Affairs, School of International Affairs, Columbia University).
- BRZEZIŃSKI (Z. K.). *American Globalism*. Str. 19-29. (Odbitka z „Survey”, No 58, January 1966, Londyn).
- TATU (Michel). *Soviet-Reforms: The Debate Goes On*. Str. 28-33 (dwuszpaltowe). Odbitka z „Problems of Communism”. Jan.-Febr. 1966. (Wyd. Research Institute on Communist Affairs, School of International Affairs, Columbia University).
- SARAGAT (Giuseppe). *Nel primo centenario della nascita di Benedetto Croce*. 1866-1966. Przemówienie wygłoszone 27 lutego 1966 w Teatrze San Carlo w Neapolu. Str. 40 i 4 nlb. (Ed. Riccardo Ricciardi, Milano-Napoli, 1966).
- ANNIENKOW (Jurij). *Dniownik moich wstrież*. T. I. Str. 350. (Wyd. Międzynarodowe Towarzystwo Literackiego, New York, 1966).
- MAŁANIUK (Jewhen). *Knyha spostereżeń*. T. II. Str. 480. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, Ont. 1966).
- BRAHA (Symon). *Lakalizacyja życiapisu doktora Skaryny*. Str. 32. (Wyd. Białoruski Instytut Nauki i Sztuki, Nowy York-Monachium, 1965).
- LEWYTYZKYJ (Borys). *Die Bilanz des Siebenjahrplanes der UdSSR*. Str. 1-23. (Odbitka z dodatku do tygodnika „Das Parlament”, Bonn, 23 marzec 1966).
- URBANSKI (Edmund Stephen). *Angloamerica e Hispanoamerica*. Analisis de dos civilizaciones. Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Ediciones Suidium, Madrid, 1965).

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pyt.: — Jak długo „Faraon” nie zejdzie z ekranów w Polsce?
Odp.: — Tak długo dopóki rząd nie zrozumie, że nie wygra walki z kapłanami.



Pyt.: — Dlaczego słoneczko nigdzie tak wesoło nie wschodzi jak w Polsce?
Odp.: — Dlatego, bo wie na pewno, że już po południu będzie na Zachodzie.



Pyt.: — Co robią różni mężowie stanu, gdy mają do rozwiązania ciężkie problemy?
Odp.: — Prez. Johnson jedzie na swój ranch w Teksasie i rozwiązuje krzyżówki; gen. de Gaulle — rozwiązuje Parlament, a Kosygin schodzi do piwnicy i rozwiązuje... Chruszczowa.

PLOTKI KAWIARNIANE

Krakowscy bywalcy kawiarniani przysięgają, że p. Eugenia Krassowska, która jako filar Ministerstwa Szkół Wyższych mianowała znanego wszystkim Haraszina docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, dlatego przeniesiona została do Rady Państwa, aby mogła temuż Haraszinowi udzielić amnestii...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Vence, 12 maj 1966.

Jak Boga kocham, ja nie rozumiem pana Grabowskiego! Bo i co to za przyjemność być wiecznie tą żabą, co nogę podstawią, gdy konia kują?

„Już czas, żeby autorzy polscy, mający pretensję do klasy światowej, nauczyli się...” czytamy w „Kontynentach”. Ależ skąd ten ton mentorski?! Skąd? Stąd, że nasz Anglista stał się Panem Redaktorem całą gębą, redaktorem, mianowicie, tychże „Kontynentów”, pisemka literackiego, wychodzącego w Londynie.

Rzeczywiście, nie wiele brakuje żeby Pan Redaktor zaczynał swe artykuły wstępne, jak ów sienkiewiczowski dziennikarzyna z zapadłej dziury: „Gdyby Prezydent Stanów poszedł za radą, której udzieliliśmy mu w poprzednim numerze...” Cóż to za nauki daje autorom polskim „mającym pretensję do klasy światowej” onże, Grabowski, mogący mieć pretensję co najwyżej do klasy podrzędnej, pośredniej, raczej doskakującej, cokolwiek przyłatanej, zgoła anemicznej i w ogóle z trudnością dającej się zauważyć?

Mam może tę wadę, że jestem zanadto potulny, zbyt może dobroduszy... Niech tam, przyjmuję z pokorą zarzuty pana Grabowskiego przeciwko mnie osobiście skierowane, niech tam, co można wiedzieć, może ja i kiepski... Ale nie nie poradzę, że mam nieuleczalną alergię na punkcie figurantów, istot nadymających się, profesorskich, doktorskich, pontyfikalnych, majestatycznych, pouczających, nadrabiających miną i wyszczególnionych w katalogach.

Jakim prawem, pytam, niejaki Grabowski pozwala sobie na taki ton belfrowaty wobec pisarzy polskich z prawdziwego zdarzenia?!

Łączę wyrazy,

Witold GOMBROWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyn, 7 maja 1966.

Pozwoli Pan, że sprostuję dwie nieścisłości jakie znalazły się w listach do Redakcji w nrze majowym Pana doskonałego miesięcznika. Dr E. K. Bernaut nie czytała chyba dokładnie mego listu w sprawie pominięcia wybitnych uczonych polskich, którzy wykładali lub wykładają na uniwersytetach amerykańskich: wyraźnie podkreśliłem, że mówiąc o wykładowcach na uniwersytecie w Chicago należałoby wspomnieć o socjologu, prof. Znanieckim i ekonomście, prof. Oskarze Langem. Nie zaliczałem ich na pewno do „slawistów”, gdyż znam zbyt dobrze ich naukowy dorobek i znałem ich osobiście. Sądzę natomiast, że miałem prawo zaliczyć do slawistów prof. Wac-

ława Lednickiego i prof. Manfreda Kridla. Upomina się o nich w swoim angielskim liście w nrze majowym „Kultury” pani Kathryn B. Feuer. Uwaga zatem p. Dr. E. K. Bernaut jest całkowicie nietrafna i wynika przypuszczalnie z niedokładnego przeczytania mego sprostowania.

Jan Darowski w polemice z p. Bohdanem Brodzińskim pisze, że p. Brodziński „jest obecnie jednym z *de facto* chociaż nie *de nomine*, redaktorów” pisma „Kontynenty”. Szkoda, że p. Darowski nie sprawdził tego u źródła, a zatem u mnie; dowiedziałyby się wtedy, że p. Brodziński nie jest ani *de nomine* ani *de facto* redaktorem miesięcznika. P. Brodziński jest współpracownikiem „Kontynentów” i nic więcej. Redakcją „Kontynentów” z nikim się nie dzielę, chociażby dlatego, że pismo jest zbyt skromne — 20 stron druku miesięcznie — a żeby miało więcej niż jednego redaktora: „redaktorzy” takiego skromnego pisma to zakrawałyby doprawdy na manię wielkości.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Zbigniew GRABOWSKI

Londyn, 7 maja 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Janusz Kowalewski w kwietniowym numerze „Kultury” br. (paryskiej), broniąc przewrotu majowego i jego następstw, tj. Brześcia, wystąpił z chorobliwymi insynuacjami pod adresem mas endeckich i chienio-piastowskich. Zamiast „maja 1926 r.”, przewiduje „jakiś maj długich noży” jako alternatywę pierwszego.

Jak na świeżo mianowanego przez siebie sanatora, robi to z neoficką gorliwością. Przy każdej okazji i w każdym dostępnym mu piśmie oświadcza o swym przystąpieniu do sanacji i deklaruje się być gorącym piśmudczykiem. Czy nie jest to za późno co najmniej o 27 lat?

Dialektyka o „długich nożach” i o „masach endeckich i chienio-piastowskich” jest przekonująca. Temu nie należy się dziwić. Doświadczenie z przeszłości swoje zrobiło. Jedno pozostaje zagadką, czy jest to dialektyka marksistowsko-leninowska, stalinowska czy też trockistowska? Nie jest natomiast zagadką, że „maj rodzimego hitlerysty” jest tylko hipotezą, ale „maj 1926 r.” i jego następstwa są niezaprzeczalną tezą. Oczywiście, przy tych inwektywach, dla podbudowania swej hipotezy, nie mogło obyć się bez przypomnienia Narutowicza. Autor nie chce wiedzieć, że zbrodnia ta nieplanowana i z impulsu jednostki została ukarana przez legalne sądy polskie, jak również zapomniął, że były zbrodnie ukarane przez legalne sądy polskie, ukryte i nieukarane, (bez wymieniania nazwisk), ale już po maju 1926 r. O tym dziennikarz i publicysta powinien wiedzieć.

Może demokratyczny autor hipotezy o „długich nożach”, zechce wyjaśnić tym, którzy nie godzili się na krakowskie prowokacje, Brześć i Berezę, kapturowe morderstwa, policję w sejmie choćby nawet przeciw ówczesnym współwyznawcom p. Kowalewskiego, jak i „przesuwania” oficerów w czworakach w sejmie, kult jednostki i białe plamy w gazetach, gołędziniaków na codzień, rozbijanie wieców i salwy, kiełbasy wyborcze i cuda nad urną, łamanie kości i „nikt nam nie robi nigdy nic”, — czy dobrze ronią, że noszą w pamięci wyczyny „ruchu ultrademokratycznego” na wypadek prowokacyjnej hipotezy?

Z bohaterstwem narażania się „wiadomo na co” — na odpowiedź, o ile Redaktor zechce ją umieścić — może p. Kowalewski być spokojny, bo nikt na niego nie nasle pałkarzy. Inni gorliwcy byli tak czynni. Autor hipotezy może spać spokojnie. Zresztą „kto by tam nastawał na nędzne waści życie”, spóźnionego sanacyjnego neofity.

Z poważaniem,

Kazimierz GÓRSKI

Paryż, dn. 10 maja 1966 r.

Drogi Panie Jerzy,

Z największą przyjemnością zabieram się do tych kilku słów, aby na Pana ręce złożyć najserdeczniejsze gratulacje w dwudziestolecie Instytutu Literackiego.

Uważam, że kilka osób skupionych przy Redakcji „Kultury” i przy Instytucie Literackim ma w chwili obecnej większy dorobek, niż cała emigracja razem wzięta.

Zostaje więc zatem jedynie życzyć dalszej, równie owocnej pracy i sukcesów. Te jednak wymagają pewnego „zaplecza” materialnego. I dlatego przekazuję niewielki datek na Fundusz Prasowy „Kultury”, mając nie tylko nadzieję, ale wręcz całkowitą pewność, że stanie się on początkiem całkiem poważnej zbiórki. Jej wyniki będą w moim pojęciu odpowiedzią najistotniejszą na pytanie, jak emigracja ocenia dotychczasowe wyniki pracy Pana i Jego Zespołu.

Ze swojej strony mogę jedynie gorąco zachęcić wszystkich P. T. Czytelników „Kultury” i wydawnictw „Instytutu Literackiego” do uczczenia dwudziestolecia Instytutu właśnie przez zbiórkę pieniędzy. Są one potrzebne i każdy to rozumie. A jeśli rozumie — chętnie da.

Dłoń serdecznie i mocno ściskam,

Janusz LASKOWSKI

Londyn, 24 kwietnia 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z umieszczeniem mojej odpowiedzi na ankietę „O religii bez namaszczenia” bez przytoczenia, jak były sformułowane pytania, pragnę zaznaczyć, że właśnie ich „styl” spowodował sarkastyczność mych odpowiedzi.

Wskutek czego na pytanie odnośnie pontyfikatu Jana XXIII, idące po linii „modnej”, odpowiedziałem przekornie. Rzeczywiście oceniam skutki tego pontyfikatu pod wielu względami krytycznie, ale niesposób w krótki sposób ocenić wszystkich stron złych i dobrych, tym bardziej, że brak jeszcze perspektywy historycznej. Sam zresztą osłabiłem swój krytycyzm uwagą o możliwości „złośliwego uproszczenia”.

Nie czuję się powołany do wypowiadania sądów o wartości duchowej papieża Jana XXIII i mimo mego krytycyzmu pierwszy będę się cieszył, jeśli zapowiedziany wraz z procesem beatyfikacyjnym wielkiego papieża Piusa XII proces jego następcy również zostanie potwierdzony znakami od Boga. Warto tu też dodać, że odpowiedzi na ankietę pisane były przed ostatnią sesją Soboru, co dla uniknięcia nieporozumień należy podkreślić wobec opublikowania odpowiedzi w trzy miesiące po zakończeniu Soboru.

Z poważaniem,

J. PŁOSKI

Lane Cove, Australia, 3 maja 1966.

Do Pana Redaktora „Kultury”,
Przed kilku dniami otrzymałem nr 3/66 z wynikiem ankiety w sprawie Chrześcijaństwa.

Zdażyłem już ogólnie przeczytać treść poszczególnych wypowiedzi. Cieszę się, że p. Chmielowiec jest z nich zadowolony lecz z pewnymi zastrzeżeniami, które podzieli wielu czytelników wraz ze mną.

Wydaje mi się że dla większości respondentów Bóg, Religia i Kościół Katolicki to zagadnienie wyłącznie polskie? Nawet p. W. Jedlicki nie uniknął zamknięcia się w tym ciasnym światopoglądzie. Ujął je: Kościół a Polska i Kościół i Żydzi czy Izrael. Przecie chcieliśmy przeczytać, prócz Tonbyeego naszych inteligentów na temat ogólnego kryzysu kultury chrześcijańskiej w świecie, jej możliwości na przyszłość i jej wpływów na świat pozaeuropejski.

Dziwi mnie też bardzo utrzymująca się wśród odpowiedzi dodatnia opinia o chrześcijaństwie w Stanach Zjednoczonych. Obawiam się że korespondenci nie widzą lub nie pojmują jaką szkodę duchowi każdej religii przynosi jej komercjalizacja typu amerykańskiego. Osobiście jestem zdania, że jest to większe barbarzyństwo niż pogaństwo, gdyż w wyrafinowany sposób spycha całą dziedzinę życia duchowego na płaszczyznę cynizmu i korupcji. Wielkie możliwości finansowe poszczególnych kościołów w Stanach nie są dowodem rozkwitu życia religijnego. Tak jak o poziomie wiary nie wiele mówią wspaniałości ceremoniałów liturgicznych. Treść duchowa i umysłowa wyznawców jest wyłącznym miernikiem kultury religijnej.

Łączę serdeczne wyrazy,

A. RACIEŃSKI

Monachium, 28 kwietnia 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie wiem, czy artykuł p. Juliusza Mieroszewskiego pt. „ABC polityki 'Kultury'” można nazwać wydarzeniem epokowym w historii polskiej myśli politycznej. Osobiście uważam, że jest on wydarzeniem ważnym, albowiem jest to, niewątpliwie, próba stworzenia nowej koncepcji politycznej. Główna myśl zdaje się być zawarta w następujących słowach:

„Nasze niezmiernie trudne położenie geopolityczne zdyskontowalibyśmy w pełni na naszą korzyść tylko wówczas — gdybyśmy w przyszłości przekonali Rosjan, że potrafimy być głównym pośrednikiem pomiędzy Moskwą a Zachodem. Równocześnie musielibyśmy przekonać Zachód, że Polska jest kluczem do Rosji”.

Dalej, w końcu artykułu, znajdujemy następujący ustęp:

„Wschodni Europejczycy, a przede wszystkim Polacy, mogliby odegrać poważną rolę w procesie „europeizacji” Rosji. Lecz warunkiem wstępnym w tej sprawie jest przekonać i upewnić Rosjan, a w szczególności inteligencję rosyjską, że przez europeizację rozumiemy wyłącznie likwidację totalizmu a nie likwidację Rosji jako mocarstwa”.

A więc, główną tezą p. Mieroszewskiego jest porozumienie z Rosją, tj., jeśli dobrze rozumiem, porozumienie z narodem rosyjskim, ściślej, z jego inteligencją, niejako ponad głowami dzisiejszych kierowników państwa sowieckiego, czy też po ich odejściu. Tę nową — a właściwie odmalowaną tylko — koncepcję uzasadnia autor obiektywną potrzebą europeizacji Rosji i rolę, jaką Polacy mogą odegrać w tym procesie. W obecnym układzie stosunków w świecie, przy dalszym rozwoju konfliktu chińsko-sowieckiego, który uniemożliwia Moskwie prowadzenie polityki rewolucyjnej, przy powolnym ale ciągłym rośnięciu dobrobytu, Rosja, być może, jest rzeczywiście skazana na

europelizację i Polacy, być może, rzeczywiście będą mogli odegrać w tym niepoślednią rolę. Ale jaka to ma być europeizacja? Jak można, w czasach dzisiejszych, europeizować Rosję i równocześnie zapobiec likwidacji jej jako mocarstwa? Przecież potęga wojskowa i ekonomiczna Rosji jest w dużej mierze, choć nie wyłącznie, wynikiem okupacji przez rząd moskiewski terenów nie-rosyjskich i wykorzystywania zasobów materialnych i ludzkich tych terenów. Zdawałoby się, więc, że europeizacja Rosji, likwidacja totalizmu w tym kraju, musi pociągnąć znaczne osłabienie jeśli nie zupełną likwidację mocarstwowości rosyjskiej; albowiem likwidacja totalizmu, tj. systemu komunistycznego, doprowadzi do przyjęcia mniej lub więcej demokratycznej formy rządów, co, z kolei, będzie sprzyjało wysunięciu najrozmaitszych żądań przez narody nierosyjskie, obecnie ujarzmione. Jest rzeczą jak najbardziej pewną, że niektóre z tych narodów będą żądały zupełnego oddzielenia od Rosji. Jak więc można „przekonywać i upewniać” inteligencję rosyjską, że „przez europeizację rozumiemy wyłącznie likwidację totalizmu a nie likwidację Rosji jako mocarstwa”? Moim zdaniem, zrobić tego nie można nie stawiając kropek nad i. Można, owszem, prowadzić politykę porozumienia z Rosją i można nawet szczerze mówić, że się nie chce likwidować mocarstwowości rosyjskiej pod warunkiem, że się myśli o *commonwealth* rosyjskim, o Rosji w jej granicach demograficznych będącej częścią federacji wschodnio-europejskiej czy też po prostu europejskiej. Taka Rosja też może być mocarstwem; natomiast nie może być Rosji mocarstwowej i, równocześnie, demokratycznej bez rozwiązania najważniejszego problemu państwowości rosyjskiej, tj. bez ustalenia między Moskwą a narodami nie-rosyjskimi obecnego Związku Sowieckiego stosunków, które by te narody uważały za sprawiedliwe i możliwe do przyjęcia bez przymusu. To wszystko będzie, oczywiście, możliwe tylko wtedy jeśli Moskwa będzie coraz bardziej się odsuwała od koncepcji rewolucji światowej, od „internacjonalizmu proletariackiego” i będzie się zbliżała do naszego, tj. ogólnie przyjętego znaczenia takich pojęć jak naród, narodowość, państwo i t.d. Jeśli właśnie o taką europeizację Rosji chodzi — zgadzam się najzupełniej z p. Mieroszewskim, że Polacy mogą bardzo dopomóc w tej sprawie.

Ale, moim zdaniem, będą oni mogli jeszcze bardziej dopomóc jeśli nie będą działać sami, lecz wspólnie z innymi. P. Mieroszewski wspomina wprawdzie o „wschodnich Europejczykach” w cytowanym już przeze mnie miejscu, lecz dokładnie się zastanawia tylko nad położeniem i rolą Polski, wysuwając ją na jakieś specjalne miejsce i — tak przynajmniej ja rozumiem treść artykułu — właściwie pomijając tych innych „wschodnich Europejczyków”. O narodach nie-rosyjskich wewnątrz ZSSR mówi bardzo mało i niewyraźnie, natomiast dużo mówi o polskiej racji stanu i o „pragmatyzmie”. Ogólne wrażenie jest takie, że p. Mieroszewski bardzo chce, by stosunki polsko-rosyjskie ułożyły się w sposób dla Polski jak najbardziej pomyślny, natomiast nie bardzo zdaje się zważać na interesy sąsiadujących z nami narodów. Nie rozumiem dlaczego p. Mieroszewski z góry zręka się tego źródła siły moralnej i materialnej, jakim może być porozumienie i współpraca wszystkich narodów, które są zainteresowane w rozwiązaniu sprawy Europy Wschodniej. Prowadzenie polityki „pragmatycznej”, tj. jednostronne i wąskie pojmowanie polskiej racji stanu może doprowadzić do rezultatów wręcz odmiennych od tych, które autor artykułu chciałby osiągnąć. Powoływanie się na „pragmatyczną” politykę Stanów Zjednoczonych brzmi wprost śmiesznie i pachnie megalomanią. To, na co sobie mogą pozwolić Stany Zjednoczone jest poza możliwościami jakiegokolwiek innego państwa, nawet bardzo silnego — cóż dopiero Polski. Klasycznym przykładem polityki „pragmatycznej” opartej o bardzo wąskie pojmowanie racji stanu jest polityka prezydenta de Gaulle'a — ale nie można mu odmówić tego, że ma ona pewną podstawę w tradycji mocarstwowej Francji, w postawie społeczeństwa, w legendzie i działaniach

ności samego de Gaulle'a (tj. w obecności męża opatrnościowego) i, przede wszystkim, w tych bardzo poważnych zasobach materialnych, artystycznych i naukowych, jakimi dysponuje Francja. Przy tym wszystkim nie można nie zauważyć, że polityka ta dotychczas nie dała żadnych specjalnie dla Francji korzystnych rezultatów i jest przez bardzo wielu ludzi uważana za wielce szkodliwą dla sprawy zjednoczenia europejskiego. W ogóle, uważam, że o żadnej „racji stanu”, w tym znaczeniu jakie te słowa miały jeszcze pięćdziesiąt lat temu, nie można już teraz mówić. Nawet Stany Zjednoczone nie zawsze i nie wszędzie mogą być tak bardzo „pragmatyczne” jak p. Mieroszewski sobie myśli. Właśnie nieuchronne, nieuniknione i coraz większe przenikanie etyki do polityki hamuje „pragmatyczność” amerykańskiej polityki — chociażby w tym samym Wietnamie, a również na przykład w Ameryce Południowej: doktryna Monroe tu pozostała, w głównych zarysach ta sama, ale jakże się zmieniło jej zastosowanie! Dziwi mnie to bardzo, że p. Mieroszewski nie zauważa coraz to większego wpływu jaki etyka ma na politykę i że może on ujmować tę sprawę z taką dezynwolturą. Z jednej strony mówi on, że „etyka i moralistyka nie wchodzi w zakres polityki” — co jest oczywistym błędem, bo wszystko wchodzi w zakres polityki; z drugiej — „obywatele mają prawo domagać się odpowiedniego poziomu moralno-etycznego od swoich reprezentantów politycznych”. A więc: wewnątrz kraju ma panować „odpowiedni poziom moralno-etyczny” a na zewnątrz obowiązuje „polska racja stanu”, pragmatyzm, bo „zwycięzcy o moralności i etyce mówią niezmiernie rzadko, a argumenty moralne mobilizują zawsze ci, którzy ponieśli klęskę”. No, proszę: ja, w mojej naiwności, przez 21 lat sądziłem, że Polska poniosła największą w swoich dziejach klęskę i mobilizowanie argumentów moralnych zawsze uważałem za absolutną konieczność, za niezbędny warunek jakiegokolwiek działania politycznego.

Wydaje mi się, że rozumowanie p. Mieroszewskiego prowadzi wstecz do anachronistycznego układu stosunków sprzed 50-ciu laty, gdy we wszystkich państwach kolonialnych panowała moralność o dwóch poziomach — jedna dla swoich, druga dla Murzynów. Rozwój i rozpowszechnienie pojęć demokratycznych uniemożliwiły utrzymanie tej podwójnej moralności. Anglia musiała wyrzec się kolonii z wielu przyczyn, ale między innymi także i dlatego, że społeczeństwo angielskie (przynajmniej jego najbardziej aktywni przedstawiciele) nie chciało udzielać poparcia systemowi opartemu o eksploatację kolonialną — tj. sprawa ta została przesądzona właśnie przez wkroczenie etyki do polityki. Stany Zjednoczone są najpotężniejszym państwem jakie kiedykolwiek istniało — a jednak państwo to musi, pod presją pojęć etycznych, załatwiać swój problem murzyński zgodnie z zasadami sprawiedliwości społecznej, choć może byłoby rzeczą bardziej „pragmatyczną” po prostu zapędzić tych Murzynów do pieców gazowych, jak zrobili hitlerowcy z Żydami — i nie tylko z Żydami — w imię niemieckiej racji stanu. W naszych czasach wszystkie wielkie problemy polityczne są, przede wszystkim, problemami moralnymi na skalę światową — a problem ujarzmionych narodów nie-rosyjskich jest problemem moralnym i międzynarodowym par excellence. Od rozwiązania tego problemu zależy los Rosji, los Polski oraz, prawdopodobnie, przyszłość wszystkich europejskich koncepcji federacyjnych.

Ograniczę się tym razem do tych paru uwag zasadniczych, choć dałoby się jeszcze wiele powiedzieć o artykule p. Mieroszewskiego. Powtarzam, że sprawę uważam za bardzo ważną i mam nadzieję, że Pan Redaktor umożliwi przeprowadzenie jak najbardziej szerokiej dyskusji na ten temat na łamach „Kultury”.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku,

Witold RYSER-SZYMAŃSKI

Londyn, 15 maja 1966.

Drogi Panie,

W majowym numerze „Kultury” pisze Pan, że „dwudziestolecie istnienia Instytutu Literackiego jest datą ważną jedynie dla kilku osób, które włożyły w Instytut całą pasję i znaczną część życia”. W moim przekonaniu jest to skromność przesadna. Rocznicą Instytutu jest bowiem ważna dla wielu tysięcy Polaków rozsianych po całym świecie. Te 223 numery miesięcznika i sto kilkadziesiąt książek, wydanych przez Pana, to bardzo poważne osiągnięcie dla kultury polskiej, osiągnięcie, które tym bardziej cenić należy w trudnych warunkach życia emigracyjnego. Londyński „Observer” mówi o sobie: „The Observer is part of your Sunday”. Z pełnym uzasadnieniem można powiedzieć: „Kultura jest częścią życia intelektualnego polskiego inteligenta”. Mówiąc to, abstrahując od politycznej treści pisma, z którą się w pewnych wypadkach nie zgadzam.

Łącząc uścisk dłoni,

Stanisław ZARZEWSKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1966.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1966.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliothek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csalky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél.: 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. 153311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; M. Krel, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; « Zwiakowisc », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491 ; W.T. Drymer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr. Union, N.Y. 07083; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R.J. Sas-Babczynski, 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
INSTITUT LITTÉRAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM CXXVI

BARBARA TOPORSKA

SIOSTRY

Eksperymentalna powieść, będąca debiutem w prozie literackiej Barbary Toporskiej — dziennikarki, publicystki i poetki.

Str. 216. Cena 13,50 F. (dol. 3,00; 20 sh.)

◆

TOM CXXVII

Seria "Dokumenty"

SĄD IDZIE!

Stenogram z procesu Andreja SINIAWSKIEGO (A. Terca) i Julija DANIELA (N. Arzaka) — odbytego w Moskwie, w lutym 1966 — wraz z „ostatnim słowem” oskarżonych.

Wstęp Heleny ZAMOYSKIEJ

Str. 120. Cena 7,50 F. (dol. 2,75; 11/6)

◆

TOM CXXVII

MAREK HŁASKO

PIĘKNI, DWUDZIESTOLETNI

Powieść autobiograficzna, której fragmenty drukowane były przed kilku miesiącami w „Kulturze” wywołując wielkie zainteresowanie czytelników.

Str. 216. Cena 13,50 F. (dol. 3,00; 20 sh.)